

Prof. Dariusz Rosati
Tropię kłamstwa Morawieckiego

Czym straszy
abp Jędraszewski

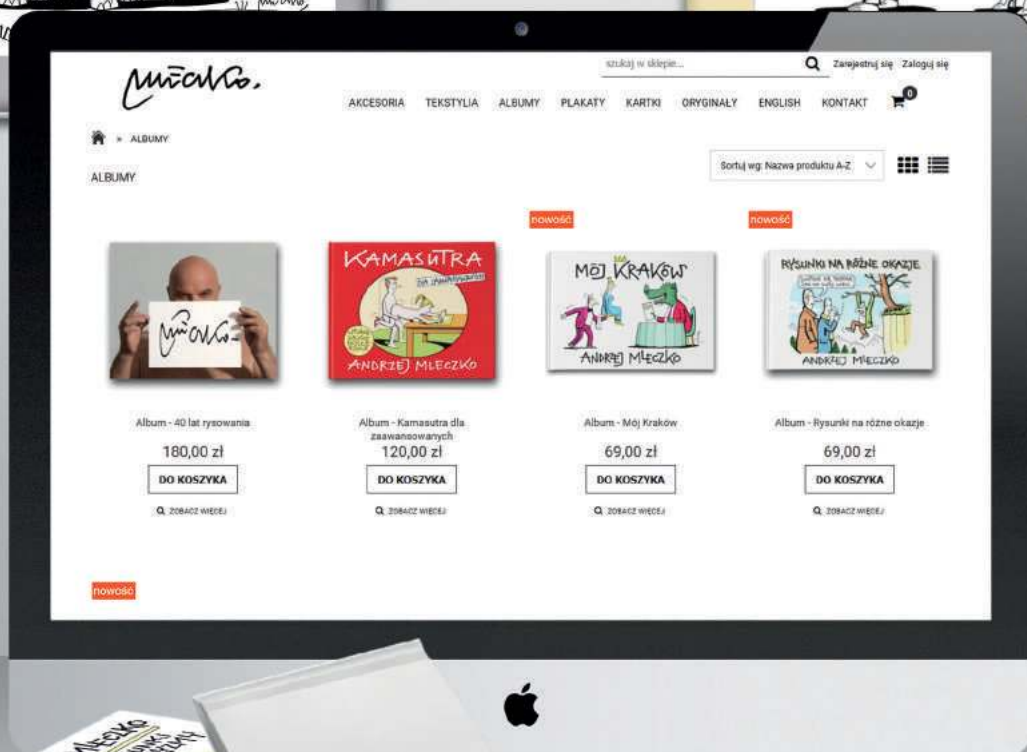
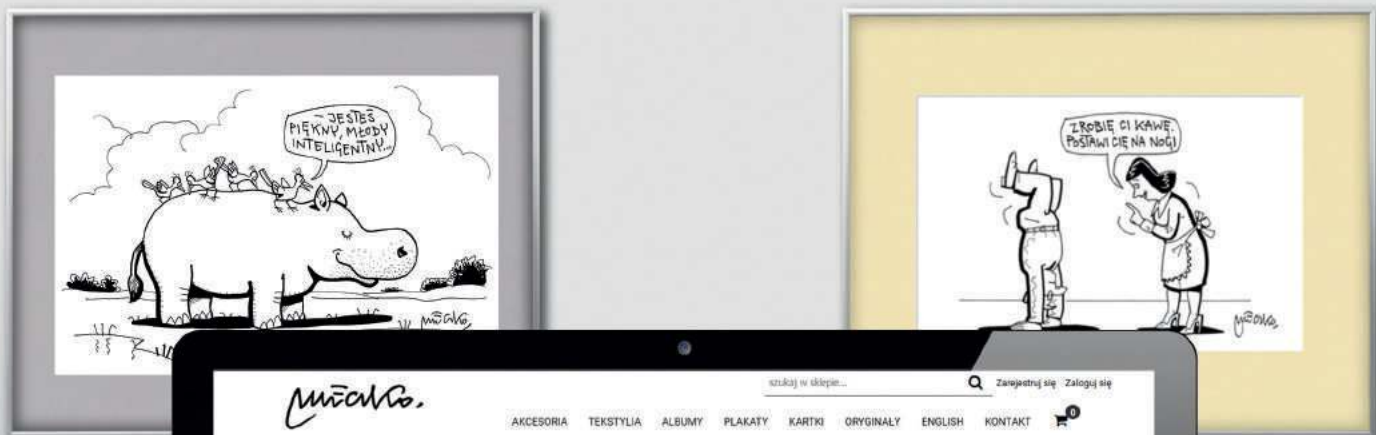
Rząd oszukuje
górników

Chłujem,
a potem utoniem

Rozmowa z gen. broni
Waldemarem Skrzypczakiem



WOJSKO ŁUPEM POLITYKÓW



sklep.mleczko.pl

CYTATY

JANUSZ GAJOS,
aktor, laureat Busoli
PRZEGLĄDU

*Mały człowiek jednym
ruchem ręki podzielił
nasz kraj i nas samych
na dwie części. To jest
zbrodnia.*

Akademia Sztuk Pięknych,
Pol'and'Rock

RAFAŁ DUTKIEWICZ,
były prezydent
Wrocławia

*Elektorat negatywny
PO jest wciąż liczny
i znaczący.*

„Polska The Times”

IVAN KRASTEV,
bułgarski filozof

*Zamknięcie granic
i izolacja zrobiły z nas
większych kosmopolitów.
Na całym świecie wszyscy
dzielą te same lęki.*
„Forum”

**JOANNA
SZCZEPKOWSKA,** aktorka

*Konsekwencją
samodzielnego myślenia
jest osamotnienie.*
„Twój Styl”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Demokrata samozwaniec

Iść na Zgromadzenie Narodowe i wysłuchać przysięgi prezydenckiej Dudy? Albo nie iść z wielu oczywistych powodów? Przed takim wyborem stanęli posłowie i senatorowie. Wyborem politycznym – bo jakim prezydentem był Duda przez pięć lat, wiemy. Ale też estetycznym – bo skoro wiele razy zarzucano mu, i słusznie, że łamie konstytucję, że kłamie i obraża całe środowiska i grupy społeczne, to udawanie przez kilka godzin amnezji byłoby hipokryzją i kpina z paru milionów ludzi poniewieranych przez prawicę. Przy aprobacie, a nieraz też z inicjatywy, samego Dudy.

Prezydent często odwołuje się do przedwojnia, ale jego interpretacja historii jest tak nieprawdziwa i zaciętrzewiona ideologicznie, że eliminuje go z grona poważnych polityków. Zresztą gdyby wtedy żył, to postępując tak, nie miałby zdolności honorowej. Robiąc rzeczy nieprzystojne, nie ma jej i teraz. Rządząca prawica stawiała na głowie, by na ślubowanie przyszło jak najwięcej parlamentarzystów. Do pełnej władzy potrzebują jeszcze legitymizacji ze strony tej Polski, która głosowała na Trzaskowskiego (10 mln), i tej niegłosującej (też 10 mln).

Dobrze się stało, że znacząca część parlamentu nie patronowała tej farsie. Właśnie z szacunku dla konstytucji. I z szacunku dla urzędu prezydenta, który to urząd od paru lat jest przez Dudę ośmieszany.

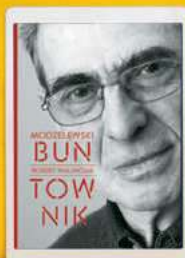
Dla polityków ważne powinno być lojalne zachowanie wobec własnych wyborców. Czy wyborcy Trzaskowskiego, Hołowni i Biedronia chcieli obejrzeć ich jako tło kolejnych kłamstw bardzo z siebie zadowolonego Dudy? To już nie był ten Duda z kampanii, żebrzący o każdy głos i gotowy za to obiecać krocie. Kilka dni po wyborach ten wór pustych obietnic już się rozsypał. Na Śląsku.

Duda sam siebie ocenił wysoko. I zaliczył do grona polskich demokratów. To chyba jakiś nowy szczebel z grupy demokratów samozwańczych. Mamy Polskę podzieloną jak nigdy. I prezydenta, który ma w tym duży udział, a jeszcze dokłada do pieca.

Lewica wybrała widowiskowy happening. Przyszła, zastaniając się szacunkiem dla wyborców Dudy. A szacunek dla swoich? Nie można oczekiwać od milionów ludzi poniewieranych dzień w dzień przez Kaczyńskiego, Dudę, Ziobrę czy Morawieckiego, że będą nadstawiali drugi policzek. I że będą głosowali na taką lewicę, która bardziej się martwi o dziesiątki tysięcy pisiewiczów rozkradających Polskę niż o nich. Lewica nie ma dla nich oferty. Nie ma nawet chęci na bliższe więzi, bo to wymaga pracy i spotkań. Wiem, że jest koronawirus. Ale wiem też, że obecna ekipa z Wiejskiej daleko nie zajędzie. Będzie tak jak w ostatnich wyborach. Kandydat poszedł w jedną stronę, a wyborcy w drugą.

KUP E-BOOKA
PRZEGLĄDU

SIĘGNIJ PO MĄDRE
I CIEKAWY KSIĄŻKI



www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Tropię kłamstwa Morawieckiego**
– rozmowa z prof. Dariuszem Rosatim
- 12 Pod prąd**
Małe szanse na zieloną energetykę
- 16 Wojsko łupem polityków**
– rozmowa z gen. broni
Waldemarem Skrzypczakiem
- 20 Chłusniem, a potem utoniem**
Najczęściej topią się mężczyźni
po pięćdziesiątce
- 24 Po co nam konwencja stambulska**
– rozmowa z Urszulą Nowakowską

KOŚCIÓŁ

- 28 Wszyscy wrogowie**
abp. Jędraszewskiego
Niezlomny w walce z lewackimi plagami

ZAGRANICA

- 32 Bejrutszima**
Czy Liban podniesie się po katastrofie?
- 34 Bułgarzy wyszli na ulice**
Protesty przeciw korupcji i rządowi
- 38 Owocowe piekło pracy**
Obozy na południu Europy
- 40 Nadziei nigdy nie straciliśmy**
Korespondencja z Chile
- 44 Konserwator Hawany**
Pożegnanie Eusebia Leala Spenglera

ZDROWIE

- 44 Nie ma przełomu w leczeniu COVID-19**
– rozmowa z dr. Pawłem Grzesiowskim

HISTORIA

- 46 Kto odpowiada za katastrofę**
Dowódcy bronią decyzji
o powstaniu warszawskim

OPINIE

- 50 Bogdan Galwas**
Pani Zuzanno, proszę zostać z nami

KULTURA

- 52 Jak się kochają na świecie**
– rozmowa z Aleksandrą Gumowską
- 54 Kulturalia**
- 66 Oskar Weiss. GastroComics**

NAUKA

- 56 Humanoidy i przyszłość ewolucji**
Fantastyka naukowa a życie

EKOLOGIA

- 58 Zombie osa i groźne szerszenie**
Zrobią wszystko w obronie gniazda

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Demokrata samozwaniec
- 15 Andrzej Romanowski**
Walczą z nauką
- 37 Roman Kurkiewicz**
Tłumaczymy ten obłęd
- 43 Tomasz Jastrun**
Najazd
- 55 Wojciech Kuczek**
Smutek wyprowadzacz psów



32
ZAGRANICA

BEJRUTSZIMA

Czy Liban podniesie się po katastrofie?



52
KULTURA

JAK SIĘ KOCHAJĄ NA ŚWIECIE

– rozmowa z Aleksandrą Gumowską



58
EKOLOGIA

ZOMBIE OSA I GROŹNE SZERSZENIE

Zrobią wszystko w obronie gniazda

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. KRYSZTOF MAJ/FORUM, MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM



Lech Majewski

Jak się pracuje
z hollywoodzkimi aktorami

Psychologowie o lęku
przed bliskością

Hiszpańskie bary flamenco
na skraju bankructwa

Mślałem, że umieram

Doskonale, że powstał ten artykuł. Będę go linkował pod wypowiedziami internetowych fachowców, którzy piszą, że pandemia to ściema, grypa i spisek Gatesa...

Wojciech Berd



COVID-19 to choroba, która może zaatakować każdego, w tym osobę zdrową, w sile wieku. Nie trzeba mieć obniżonej odporności, żeby umrzeć, chociaż to faktycznie zwiększa ryzyko. Choroba oczywiście znacznie bardziej

dotyka osoby starsze, ale jak jestem za dostępem do eutanazji, tak naprawdę wołałabym, żeby moi rodzice i znajome osoby starsze nie umierały, bo ktoś łap nie umył czy nacharchał.

Sohvi Uutinen

W pierwszej fali grypy hiszpanki też umierali tylko starsi i schorowani, ale już w drugiej i trzeciej przede wszystkim ludzie w sile wieku. Oby to się nie powtórzyło.

Ryszard Łodygowski

Ten wirus ma już kilka mutacji, a przebieg choroby jest straszny. Moja koleżanka chorowała w lutym i wyzdrowiała, ale do dziś odczuwa skutki. Choroba atakuje również dzieci i młodych, a nierozsądne komentarze powodują, że ludzie bagatelizują chorobę i nie stosują się do zaleceń noszenia maseczek.

Barbara Uhl

Co robić z kierowcami, którzy w czasie jazdy piszą SMS-y, oglądają filmy, rozmawiają przez komórki

Edukować. Ale raczej nic nie da się zrobić. Dopóki wszędzie się śpieszymy, zawsze jesteśmy spóźnieni, a więc znerwicowani i zestresowani, edukacja nic nie da. Rozkojarzenie kierowców to skutek, a nie przyczyna.

Zobaczcie też, jaka jest zmiana kultury jazdy po przekroczeniu granicy na Odrze. Ci sami kierowcy, którzy w Zgorzelcu chcieli się na drodze pozabijać, w Görlitz jadą spokojnie i kulturalnie.

Można jeszcze przywrócić transport zbiorowy do pracy i z pracy. Wtedy mogliby pisać SMS-y do woli.

Zdzisław Nowak



Cudaczność

III RP to jest piekielna groteska. No bo jak to nazwać? W Jaworznie-Jeziorkach stał pomnik ofiar pacyfikacji leśniczków z 1943 r. Było na nim napisane zgodnie z prawdą, że ofiary były z Gwardii Ludowej (tej z PPR). Poza tym pomnik, odsłonięty w 1971 r., oddawał hołd także AK i BCh. Na polecenie IPN pomnik został zburzony zgodnie z ustawą dekomunizacyjną i w 2018 r. postawiono na jego miejscu nowy, z nowym napisem. Ofiary pacyfikacji leśniczków zapisano do „podziemia niepodległościowego”. Wedle IPN należały one co prawda do Gwardii Ludowej, ale tej z PPS-WRN, która podlegała AK.

Bohdan Piętko



ZDJĘCIE TYGODNIA

Tęcza nie obraża? Postanowił i postawie Lewicy z przepisowo zakrytymi twarzami podczas zaprzysiężenia Andrzeja Dudy na prezydenta 6 sierpnia. Zdjęcie zostało szybko usunięte z relacji Kancelarii Sejmu w serwisie Flickr.





www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Jakie rozwiązania systemowe skutecznie ograniczyłyby zaśmiecanie kraju?

SŁAWEK BRZÓZEK,

ekspert w zakresie społecznej odpowiedzialności biznesu

Kluczowe w walce z wszechobecnością odpadów i zaśmiecaniem są edukacja i wychowanie. Powinniśmy systemowo wzmacniać poczucie uczestniczenia we wspólnocie, współwłasności i współodpowiedzialności za otoczenie oraz podnosić poziom kultury osobistej. To podstawa trwałej zmiany, ale sama edukacja nie wystarczy. Niezwykle istotne jest tworzenie skutecznych systemów odbierania odpadów, a w ich ramach rozwiązań, np. opartych na kaucjach, premiujących tych, którzy sami oddają odpady do systemu. Podstawą systemów gospodarowania odpadami musi być pewna i skuteczna obsługa, bo gdy nie działają one pod względem terminów i częstotliwości odbioru, ludzie zazwyczaj tracą motywację, by w nich uczestniczyć. Istotne jest również eliminowanie sytuacji, w których dochodzi do śmiecenia. Mam tu na myśli w pierwszej kolejności „upraszczanie” produktów i niewprowadzanie na rynek rzeczy niepotrzebnych. Gdy otrzymujemy towar nadmiernie opakowany, np. w papierze i w dwóch warstwach folii, od razu mamy odruch, aby pozbyć się

niepotrzebnych elementów opakowania. I wreszcie, w przypadku tych, którzy wymagają „silnych” motywacji, należałoby wzorem m.in. Singapuru dotkliwie karać finansowo za śmiecenie w przestrzeni publicznej, nie tylko w lasach.

PROF. MAREK GÓRSKI,
*Instytut Nauk Prawnych
Uniwersytetu Szczecińskiego*

Całkowita przebudowa systemu gospodarowania odpadami nie miałaby sensu, bo byłaby to kolejna rewolucja, a ludzie muszą mieć czas na przyzwyczajenie się do zmian. System należy raczej usprawniać, przede wszystkim skuteczniej egzekwując obowiązki gmin, mieszkańców i właścicieli nieruchomości w odniesieniu do jego finansowania, bo obecnie zaległości są tu znaczące. Istotna jest także egzekucja odpowiedzialności za nieprawidłowe postępowanie z odpadami. Myślę, że większe nakłady na działania kontrolne szybko przełożyłyby się na znaczny spadek ilości odpadów nielegalnie usuwanych np. do lasów, a więc i na spadek kosztów ich zagospodarowywania. Trzecim niezbędnym działaniem jest jaśniejsze ustalenie wymagań wynikających z obowiązujących przepi-

sów. Przykładem może tu być doprecyzowanie odpowiedzialności producentów za odpady powstające z produktów lub ich opakowań.

AGNIESZKA SADOWSKA-KONCZAL,
Polskie Stowarzyszenie Zero Waste

Wciąż tkwimy mentalnie w systemie, w którym pierwszym nasuwającym się rozwiązaniem problemu odpadów jest ich utylizacja. Tymczasem potrzebujemy reorientacji gospodarki, w tym gospodarki odpadami, w kierunku obiegu zamkniętego. Potrzebujemy mądrego projektowania i rozwiązań wspierających prewencję powstawania odpadów, zwłaszcza pochodzących z produktów jednorazowych, oraz ponowne użytkowanie. Z kolei działania edukacyjne powinny wykraczać poza naukę poprawnej segregacji odpadów. Aktualnie najbardziej oczekiwanym rozwiązaniem systemowym jest wprowadzenie tzw. rozszerzonej odpowiedzialności producenta, w tym systemu kaucyjnego na wszystkie rodzaje opakowań napojów. To nie tylko zwiększyłoby efektywność recyklingu dzięki poprawie selektywnej zbiórki, ale również pomogłoby zlikwidować zjawisko zaśmiecania przestrzeni publicznej.

Not. Michał Sobczyk

Tropię kłamstwa Morawieckiego

Morawiecki to mistrz propagandy w najgorszym stylu.
On to robi z premedytacją

Rozmawia Robert Walenciak

Widzę, że pan nie wytrzymał i opublikował listę kłamstw Morawieckiego.

– Siedziałem w ławach sejmowych, premier mówił o szczycie Unii, a że na tych sprawach trochę się znam... Premier zaczął od tego, że ze wszystkich państw Polska zyskała najwięcej. Że będzie 700 mld zł.

A będzie?

– Gdy to mówił, wszystko pomieścił. Budżet unijny na siedem lat z nadzwyczajnym, jednorazowym pakietem odbudowy, który kieruje się zupełnie innymi zasadami, granty dodał do pożyczek, pominął warunkowość wypłat. Wszystko wrzucił do jednego wora i mówił, że przywiózł 700 mld. A posłowie PiS piszczeły z radości. Więc jak usłyszałem te opowieści...

...to pan nie wytrzymał.

– Znam pana premiera od tej strony. Wielokrotnie wysłuchiwałem jego wystąpień, to jest mistrz propagandy, muszę powiedzieć, w najgorszym stylu. Mijanie się z prawdą, kłamanie w żywe oczy... I myślę, że nie mamy tu do czynienia z brakiem świadomości. On to robi z pełną premedytacją.

Ale przecież wiadomo, że kłamstwo ma krótkie nogi. Że znajdzie się ktoś, choćby prof. Rosati, który to wszystko mu wygarnie.

– Wtedy Rosatiego się opluje w TVP. Przecież słucham wyborców czy raczej wyznawców PiS. Orientuję się, że oni zadowolają się przekazem z telewizji publicznej, nie sięgają do źródeł i w efekcie niewiele wiedzą. Zwłaszcza że tym razem ramy finansowe Unii plus plan odbudowy to sprawy dość skomplikowane – są tam różne fundusze, pożyczki, dotacje, są określone warunki przy przyznawaniu środków. Większość ludzi tego nie analizuje, tylko słucha przekazu. A przekaz jest właśnie taki,



PROF. DARIUSZ ROSATI

że premier pojechał i dlatego, że był twardy, odniósł sukces.

Skoro tyle pieniędzy przywiózł...

– Ale w dużej mierze to nieprawda. Na przykład powiedział, że wywalczono 70 mld euro dla Polski z Funduszu Spójności. Zwróciłem na te słowa uwagę, ponieważ premier znowu celowo wprowadzał nas w błąd. Na obecną chwilę Fundusz Spójności, na całe siedem lat i na całą Unię, wynosi trochę ponad 50 mld euro. A on mówi, że załatwił dla Polski 70 mld.

Po co to mówi?

– Żeby pokazać, że zdobył więcej pieniędzy niż nasz rząd w 2014 r. I w tym celu dodał wszystkie pieniądze w ramach polityki spójności z różnych źródeł – z funduszu regionalnego, z funduszu społecznego, funduszy rolnych itd. Ale to są różne środki, różne fundusze,

one idą na regiony itd. A prawda jest taka, że – po pierwsze – nawet cała suma tych wszystkich środków dla Polski też jest niższa od kwoty, którą w Sejmie podał premier, i – po drugie – jeśli chodzi o pieniądze z budżetu UE, dla Polski będzie to o ok. 20 mld euro mniej, niż mieliśmy na lata 2014-2020.

W sprawach pieniędzy europejskich premier cudownie różne kwoty sumuje, w sprawach dotyczących budżetu – równie cudownie odejmuje.

– Ogłaszając tzw. budżet bez deficytu! Rząd na początku roku przedstawił nam „budżet tysiąclecia”, który okazał się jedną wielką mistyfikacją. Po pierwsze, mieliśmy tam ok. 35-40 mld zł wypchniętych poza budżet państwa, do innych części sektora finansów publicznych. Na przykład 13. emeryturę, która

Dariusz Rosati – profesor nauk ekonomicznych, były minister spraw zagranicznych, członek Rady Polityki Pieniężnej, poseł do Parlamentu Europejskiego VI i VIII kadencji, poseł na Sejm VII i IX kadencji.

obciążyła Fundusz Solidarności, albo Fundusz Dróg Samorządowych, który również ma być finansowany poza budżetem państwa, czyli z Banku Gospodarstwa Krajowego. Ponadto 10-15 mld zł to wydatki przesunięte na poziom samorządów, głównie w oświacie, na które rząd nie dał samorządom dodatkowych środków. Kolejne 40 mld zł to były stałe wydatki, umocowane w ustawach, ale finansowane dochodami, które mogą się zdarzyć raz, tylko w tym roku, takie jak wyjątkowo wysoka wpłata

Mam wrażenie, że Morawiecki po prostu nie może się powstrzymać, żeby nie kłamać.

z zysku NBP, dochody ze sprzedaży częstotliwości 5G, dochody ze sprzedaży pozwoleń na emisję dwutlenku węgla czy dochody z tzw. opłaty przekształceniowej pobieranej przy przeniesieniu środków z OFE na IKE.
A 2 mld zł dla telewizji?

– W budżecie nie ma takiego wydatku. Telewizja dostała pieniądze w postaci obligacji skarbu państwa. Czyli rośnie dług, ale wedle polskich reguł rachunkowych w budżecie tego nie ma. Bo operacja zadłużania jest operacją, jak to się mówi, pod kreską, operacją majątkową, a nie bieżącym wydatkiem.

Przecież na końcu państwo będzie musiało te obligacje wykupić. To w pewnym momencie wyjdzie.

– Ale w którym momencie? Od lat mówimy o kłamstwie smoleńskim czy o kłamstwie „Polska w ruinie”, jednak nadal wielu ludzi wierzy w te bzdury. Jak widać, prawda tak szybko nie wychodzi na jaw. Nie doceniliśmy siły kłamliwego przekazu telewizji publicznej, łatwości, z jaką można oszukać tę część społeczeństwa, która nie sięga do alternatywnych źródeł informacji, nie sprawdza tego, co głosi rządowa propaganda, i słucha bezkrytycznie przekazu telewizyjnego. Nie przyszło nam do głowy, że można nas tak łatwo oszukać. Swoją rolę, negatywną, odegrało też wielu proboszczów i hierarchów, którzy wspierali te kłamstwa i tę złą politykę, szkodliwą dla przyszłości Polski. Nie pamiętam sytuacji, żeby Kościół tak jednoznacznie angażował się w poparcie jednej partii politycznej. Kłamstwo, mówi pan, ma krótkie nogi... Ono ma dłuższe nogi, niż

myślimy, bo jednak 10 mln uwierzyło w kłamstwa i nadal w nie wierzy.

Bo ludzie dostali do ręki pieniądze.

– Pisowcom sprzyjała wyjątkowo dobra koniunktura. Mieli szczęście, można powiedzieć. Nasz rząd został zdrowe finanse publiczne, były pieniądze, więc można było je wydawać. A tak długo, jak się wypłaca prezenty wyborcze, ludzie są zadowoleni. Rząd PiS wydał wszystkie pieniądze, jakimi dysponował. Nie bacząc na to, że trzeba coś zostawić na gorsze czasy, że mamy do

czynienia z upadkiem służby zdrowia, z głębokim kryzysem edukacji, z brakiem mieszkań, ze spadkiem inwestycji, że to tam potrzebne są nakłady. Kryzys covidowski obnażył te wszystkie deficyty i w tym roku będzie bardzo duża dziura w finansach publicznych – prawdopodobnie ok. 200 mld zł deficytu w sektorze finansów publicznych, czyli ok. 10% PKB. Minister finansów mówi o 100 mld zł deficytu w budżecie państwa, ale budżet państwa to mniej niż połowa całego sektora finansów publicznych.

200 mld zł? Pamiętam czasy, kiedy taka kwota to był cały budżet państwa.

– To nie było tak dawno. A teraz, lekko licząc, tyle będzie deficytu. Bo bardzo mocno wzrosły wydatki – wszystkie trzy tarcze plus tarcza finansowa to już ok. 180-200 mld zł. Dodajmy do tego spadek dochodów podatkowych. 200 mld to ostrożny szacunek.

Z budżetu UE dla Polski będzie o ok. 20 mld euro mniej, niż mieliśmy na lata 2014-2020.

To się odbije na gospodarce?

Może ją rozkręci?

– Mam pretensję do rządu nie o to, że teraz wydaje pieniądze, bo teraz wydawać je trzeba, to nie jest czas na oszczędzanie. Teraz trzeba zrobić wszystko, żeby ludzie nie tracili pracy. A ludzie nie będą tracić pracy, jeżeli firmy nie będą upadać. Natomiast mam pretensję o to, że – po pierwsze – nie mieliśmy żadnych rezerw, a weszliśmy w pandemię z propagandą sukcesu, jacy

to jesteśmy świetni. I jak jesteśmy świetnie przygotowani na COVID-19. Pamiętamy te wypowiedzi – premiera, ministra zdrowia czy głównego inspektora sanitarnego, że jesteśmy absolutnie przygotowani na wszystko. A tym, którzy alarmują, radzimy włożyć łódź do majtek.

Tak mówił do opozycji. A minister mówił, że maseczki nie pomagają.

– I co się okazało? Nie było żadnych rezerw, więc teraz trzeba się zadłużać na bardzo dużą skalę. A także wycofywać z ogłoszonych obietnic. Przez najbliższe trzy lata nie będzie wyborów, więc emerytom można przykręcić śrubę.

Po drugie, mam pretensję o to, że nie ma żadnej analizy, jak działają te instrumenty, które rząd stosuje. Czy pomagają, czy nie pomagają, czy to pieniądze dobrze wydane, czy wyrzucone w błoto? Czy rzeczywiście chronią ludzi przed utratą pracy, czy nie chronią? Nie mogliśmy się doprosić o tego typu analizy. Rząd tylko mówi, ile miliardów poszło. Natomiast o koszcie utraconych miejsc pracy, zamkniętych firm – cisza. A pamiętajmy – bardzo trudno odbudować firmę, która została zamknięta i zlikwidowana. O wiele bardziej opłaca się ją podtrzymywać jakiś czas, dotować, żeby nie zwalniała pracowników. Bo to jest wtedy organizm funkcjonujący, który w każdej chwili może zacząć normalnie produkować.

Mówimy, że Morawiecki taśmowo mija się z prawdą. Ale czy tak nie wygląda współczesny świat?

Że wszędzie się oszukuje?

– Grecja oszukiwała na statystykach budżetowych, żeby wejść do strefy euro. Potem oszukiwała, żeby

ukryć deficyt. Wykryto te fałszerstwa. We Włoszech w roku 1999 podkolowano statystyki budżetowe, żeby Włochy mogły wejść do strefy euro, i wszyscy przymknęli na to oko. Węgry – tam były premier Ferenc Gyurcsány przyznał się, jak oszukiwali społeczeństwo. Można więc powiedzieć, że Morawiecki nie jest jakimś wyjątkiem. Ale to, co on robi, to świadectwo moralnego upadku tego rządu. O tym, że oni kłamią, opozycja trąbi od rana do wieczora. ▶

► Pokazujemy fakty, liczby, całą prawdę, ale ta prawda nie trafia do wyznawców PiS. Oni wierzą rządowi. Kierują się wiarą zamiast wiedzą, wierzą w to, co mówią ich idole, wierzą w to, co mówi TVP – że polityka rządu jest wspaniała, a opozycja to zdrajcy i złodzieje i nie ma co jej słuchać. To walka o emocje, o to, komu ludzie zawierają. I na razie my tej walki nie wygrywamy, jak widać po wyniku wyborów.

Mam do rządu pretensję, że nie mieliśmy żadnych rezerw.

A może Morawiecki nauczył się tego oszukiwania w korporacji?

– Nie wiem. W korporacjach dochodzi oczywiście do oszustw, mieliśmy słynną aferę Enronu i Arthura Andersena. Ale właśnie dlatego mamy w tej chwili zasady ładu korporacyjnego i przepisy dotyczące spółek notowanych na giełdach, które wymagają m.in. niezależnych

audytorów. A to, że ludzie oszukują w wielu sytuacjach... To jest rzeczą spotykaną. Ale naszą rolą nie jest robienie z ludzi aniołów, my musimy stworzyć system, który będzie wyłapywał tego typu sytuacje i skutecznie je eliminował.

Morawiecki oszukuje nas w sposób świadczący o dużej wprawie. Jemu to przychodzi z ogromną łatwością, mam wrażenie, że po prostu nie może się powstrzymać, żeby nie kłamać. To nie jest człowiek, który budzi zaufanie. Powiedziałbym, że jest przeciwieństwem premiera Mazowieckiego, człowieka absolutnie uczciwego.

Mazowiecki nigdy nie zniżyłby się do oszukiwania innych, żeby wygrać wybory. Natomiast ten gość, niestety, kłamie w żywe oczy, bez żadnych skrupułów. A był już dwukrotnie skazany wyrokiem sądowym za kłamstwa.

A gdy pan mówi mu w Sejmie, że on kłamie? I przedstawia na to dowody? Jak on reaguje?

– Nie reaguje. Dyskusja w Sejmie polega na tym, że ja mówię: „Panie premierze, to nieprawda, że nie ma deficytu, proszę nas nie wprowadzać w błąd, bo ja panu pokazuję, że jest 70 mld zł deficytu ukrytego w różnych miejscach”, ale premier w ogóle na to nie odpowiada.

Nie doceniliśmy siły kłamliwego przekazu telewizji publicznej.

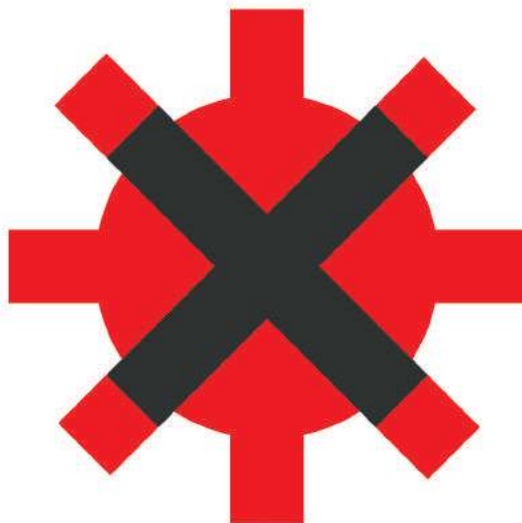
Z ław PiS słyszę: „Czyś ty zwariował?!” albo „Puknij się w głowę!”. A na koniec takiej debaty premier wychodzi i wygłasza kolejną propagandową tyradę. Że jest świetnie, a wy z Platformy to podczas swoich rządów ukradliście pieniądze OFE i podstępnie podnieśliście wiek emerytalny.

Które z tych kłamstw jest najgroźniejsze?

– Które kłamstwo ma pan na myśli? Cała ta polityka opiera się na kłamstwie, które z jednej strony ma



WWW.BADZBEZPIECZNY.PCK.PL



RAZEM W WALCE Z KORONAWIRUSEM!

POMÓŻ NAM POMAGAĆ. WPŁAĆ NA KONTO PCK 16 1160 2202 0000 0002 7718 3060

Z DOPISKIEM KORONAWIRUS

Premier Morawiecki lansuje przekaz, że pojechał do Brukseli i dlatego, że był twardy, to odniósł sukces.

stworzyć wrażenie, że ten rząd jest najlepszy w Europie, z drugiej – ma oczerniać opozycję, robić z nas zło-dziei i chamską hołotę. To nie jest więc jedno kłamstwo. Cały system rządów piśmowskich jest oparty na kłamstwie i podporządkowany jednemu celowi – utrzymaniu władzy. Dwa filary tego systemu to kłamliwa propaganda i niemaskowana niczym taktyka kupowania głosów wyborczych. Przed wyborami europejskimi dali 13. emeryturę, przed wyborami parlamentarnymi dali wyprawkę, była piątka Kaczyńskiego i podniesienie płacy minimalnej, przed wyborami prezydenckimi pojawiły się bony turystyczne, kolejne emerytury itd. To w ogóle kupy się nie trzyma. Na przykład wzrost płacy minimalnej w zapowiadanych



W tym roku będzie bardzo duża dziura w finansach publicznych – prawdopodobnie ok. 200 mld zł deficytu, czyli ok. 10% PKB.

tempie spowodowałby upadek bardzo wielu firm i duże bezrobocie. Zwłaszcza w sektorze małych i średnich firm, one jadą na niskich płacach, to nie są firmy zaawansowane technologicznie, więc to nie jest tak, że można decyzją prezesa podnieść wszystkim płace, a gospodarka dalej będzie jechała do przodu. To ignorowanie praw ekonomii. Piśmowcy nam fundują, w średniej perspektywie, kolejną zapaść gospodarczą.

Siebie też oszukują?

– Myślę, że co najmniej połowa posłów PiS nie ma zielonego pojęcia, jaki jest stan gospodarki i co nam grozi. Przykro mi, że tak mówię o kolegach, ale przecież oni wchodzą na mównicę i uzasadniają te wszystkie rządowe fantazje. Albo więc kłamią, albo – co będzie bardziej liłościwe w stosunku do nich – nie wiedzą, co mówią.

Morawiecki wie!

– On na pewno jest świadom tego, w jakiej w tej chwili jesteśmy

pułapce, i tego, że mija się z prawdą, uprawia propagandę sukcesu. Ale to jest polityczny radykał, dla którego cel – czyli utrzymanie władzy – uświęca środki. To zaprzeczenie etyki. Zachowanie premiera przyczynia się do tego, że w całym obozie władzy obserwujemy upadek standardów moralnych, czego smutnym świadectwem są afery SKOK-ów, KNF, GetBacku, niejasne interesy Szumowskiego i Banasia, finansowe nadużycia byłych marszałków Sejmu i Senatu czy zarzuty prokuratorskie wobec niektórych europosłów.

Robert Walenciak

KŁAMSTWA MORAWIECKIEGO – uporządkowane przez Dariusza Rosatiego

Kłamstwo nr 1: Polska dostanie z Funduszu Spójności 70 mld euro.

Nieprawda, bo cały Fundusz Spójności na całą UE i na siedem lat będzie wynosił mniej niż 70 mld euro.

Kłamstwo nr 2: W budżecie na lata 2021-2027 Polska dostanie 700 mld zł, o wiele więcej niż w latach 2014-2020.

A jaka jest prawda? W budżecie 2021-2027 dla Polski będzie tylko ok. 80 mld euro, a w latach 2014-2020 było ok. 105 mld euro.

Kłamstwo nr 3: „Tak zwana” praworządność nie będzie warunkowała dostępu do funduszy.

W pkt 23 konkluzji czytamy tymczasem, że w przypadku naruszeń Komisja proponuje środki, które Rada przyjmuje większością kwalifikowaną.

Kłamstwo nr 4: Dostaliśmy więcej pieniędzy na rolnictwo. Jaka jest prawda? Na rozwój obszarów wiejskich otrzymaliśmy o 2 mld euro mniej niż w latach 2014-2020.

Kłamstwo nr 5: Mamy więcej pieniędzy na politykę klimatyczną.

Jaka jest prawda? Fundusz Sprawiedliwej Transformacji został zmniejszony z 40 mld euro do 10 mld euro, a Polska dostanie ok. 2 mld euro zamiast 8 mld euro.

Głównym celem negocjacji rządu PiS w Brukseli nie były pieniądze dla Polski. Tym celem było usunięcie zapisów o związku funduszy z praworządnością. Rząd PiS walczył w Brukseli o bezkarność w łamaniu prawa, a nie o dobro naszego kraju.

Pod prąd

Do roku 2050
powinniśmy
od podstaw zbudować
przyjazny środowisku
sektor energetyczny.
Tylko jak?

Marek Czarkowski

Ta sprawa jest rozstrzygnięta. W Polsce produkcja energii elektrycznej oparta na węglu kamiennym i brunatnym, stanowiącym dziś ok. 70% surowców w przemyśle energetycznym, odchodzi w przeszłość. Co prawda, prezydent Andrzej Duda zapewniał górników, że czarnego złota mamy na 200 lat, ale nie wspominał, że jego wydobycie z każdym rokiem staje się coraz mniej opłacalne. W większości śląskich kopalń koszty fedrowania rosły, a efektywność spadała. Rosły też zapasy na przykopalnianych hałdach. Odbiorcom bardziej opłacało się kupować węgiel rosyjski, australijski, a nawet kolumbijski. Na początku kwietnia br. okazało się, że Agencja Rezerw Materiałowych, ratując sytuację, bez większego rozgłosu zajmowała się zakupami rodzimego surowca. Teraz tymi wydatkami zainteresowała się Najwyższa Izba Kontroli.

Ratując sytuację kopalń, Agencja Rezerw Materiałowych skupowała rodzimy surowiec.

Ujawnienie przez podwładnych ministra aktywów państwowych Jacka Sasina planów restrukturyzacji Polskiej Grupy Górniczej, której kondycja finansowa jest fatalna, wywołało wściekłość związkowców. Na pomysł zamknięcia kopalni Wujek oraz trzech ruchów kopalni Rudna, zawieszenia wypłat 14. pensji i uzależnienia 30% wynagrodzenia od wydobycia odpowiedzieli groźbą wybuchu czwartego, a nawet piątego powstania śląskiego.

Projekty te uświadomiły jednak wszystkim, że PiS pogodziło się z przechodzeniem kopalń do historii



Wszystko wskazuje na to, że z transformacją polskiej energetyki będzie tak, jak z zapowiadaniem przez premiera Mateusza Morawieckiego milionem samochodów elektrycznych.

i z tym, że do roku 2050 musimy niemalże od podstaw zbudować sektor energetyczny opierający się na przyjaznych środowisku, nisko- bądź zeroemisyjnych technologiach. To największe wyzwanie cywilizacyjne, jakie stanęło przed nami w pierwszej połowie XXI w., a jesteśmy do niego kompletnie nieprzygotowani.

Na czym стоимy

Przez dziesięciolecia żyliśmy złudzeniami, że węgla kamiennego nam nie zabraknie. Że to dzięki niemu Polska rośnie w siłę, a ludzie żyją dostatniej. Wspominaliśmy, jak strasznej pierwszej powojennej zimy

Z budowy elektrowni atomowej w Żarnowcu zrezygnowano, alternatywne źródła energii były pełną egzotyką nawet w krajach bogatego Zachodu. Poza tym wszelkie wątpliwości polityków rozwiewały regularnie nawiedzające Warszawę zwarte szeregi związkowców zaopatrzonych w styliska od kilofów i stare opony. Mimo że kopalnie dotowano miliardami złotych, ich sytuacja ekonomiczna się nie poprawiała. Ludzi zwalniano, ale zbyt wolno. Brakowało pieniędzy na inwestycje. Reforma górnictwa przeprowadzona przez rząd Jerzego Buzka spowodowała odejście z zawodu ponad 92 tys. górników, co z dzisiejszej perspektywy wydaje się sukcesem. Niestety, po kilku latach część kopalń znów okazała się trwale nierentowna.

W roku 2016 została powołana Polska Grupa Górnicza, największe w Europie przedsiębiorstwo górnicze, obejmujące dziś osiem kopalń i pięć zakładów. Kapitałowo w PGG zaangażowały się trzy spółki energetyczne: Energa, PGE i PGNiG, wkładając 500 mln zł, oraz kontrolowany przez państwowy Polski Fundusz Rozwoju Fundusz Inwestycji Polskich Przedsiębiorstw (FIZAN) – ten na kwotę 300 mln zł. Wyemitowane też zostały obligacje na ponad 1 mld zł. Pozwoliło to odroczyć do roku 2026 spłatę emisji obligacji z roku 2013. Ale nic to nie dało. Dziś Polska Grupa Górnicza balansuje na granicy wypłacalności

1945/1946 r. transporty śląskiego węgla ratowały przed zamarznięciem mieszkańców zniszczonych wojną europejskich miast – Wiednia, Mediolanu, Budapesztu... W PRL górnictwo było potęgą. Każdy I sekretarz PZPR uczestniczył w obchodach Barbórki, a Jarosław Iwaszkiewicz, zgodnie z ostatnią wolą, został pochowany w górnym mundurze galowym.

Pod koniec lat 80. XX w. w kopalniach zatrudnionych było 388 tys. osób. W latach 90. kolejne ekipy rządzące stawiały na energetykę węglową. Nie było innego pomysłu.

– w roku ubiegłym miała 400 mln zł straty – i wymaga natychmiastowych decyzji. Niedawno wystąpiła do Polskiego Funduszu Rozwoju o wsparcie w ramach tarczy antykryzysowej na kwotę 1,75 mld zł. Jeśli otrzyma pieniądze, złapie oddech na kilka miesięcy. Co będzie później? Nie wiadomo.

W ostatnich tygodniach wydarzenia nabrały tempa. Pojawiły się spekulacje dotyczące kierunku planowanych zmian w górnictwie i energetyce. Czyżby rząd premiera Morawieckiego rozpoczął proces dekarbonizacji gospodarki? Na przykład zamykając kopalnie i zastępując drogi węgiel krajowy tańszymi importowanymi? Przypomnę, że jeszcze w lutym minister Sasin oficjalnie zakazał polskim elektrowniom kupowania węgla za granicą.

W nieznane

Dotychczasowe doświadczenia w reformowaniu górnictwa i energetyki uczą jednego – wszelkie rządowe plany obarczone są wielkim ryzykiem, a ze względu na koszty transformacji sektora energetycznego liczone muszą być w setkach miliardów złotych. Dla Śląska oznacza to bardzo poważne konsekwencje ekonomiczne. Bez przyzwolenia społecznego i pomocy Komisji Europejskiej się nie obejdzie.

Minister Jacek Sasin w jednym z wywiadów oświadczył, że proces odchodzenia od węgla i wygaszania kopalń będzie trwał do roku 2050, a nawet 2060. Dlaczego zatem teraz rząd PiS tak ostro zabrał się do tego problemu?

Po pierwsze – jest po wyborach i można spokojnie zapomnieć o złożonych obietnicach.

Po drugie – transformacja systemów energetycznych w rozwiniętych krajach Zachodu jest już bardzo zaawansowana, a to oznacza, że jeśli nic nie zrobimy, przestaniemy być konkurencyjni.

Po trzecie – na realizację programu Europejski Zielony Ład Komisja Europejska przewidziała do roku 2050 udzielenie 1 bln euro wsparcia w formie dotacji, kredytów preferencyjnych itp.

Po czwarte – nasze górnictwo i energetyka nie są przygotowane na zmiany, podobnie jak nasza nauka. Co

oznacza, że urządzenia i technologie będziemy musieli importować. Na to potrzebne są ogromne pieniądze, których w kraju nie ma.

Najpoważniejszym rządowym dokumentem opisującym plany transformacji krajowej energetyki i górnictwa jest opublikowany w listopadzie 2018 r. przez nieistniejące już Ministerstwo Energii projekt „Polityka Energetyczna Polski do roku 2040”, znany jako „PEP2040”.

Polska Grupa Górnicza balansuje na granicy wypłacalności – w roku ubiegłym miała 400 mln zł straty i wystąpiła o 1,75 mld zł w ramach tarczy antykryzysowej.

Na początku 2019 r. ten sam resort przygotował także scenariusz polityki energetyczno-klimatycznej, zawarty w „Krajowym Planie na rzecz Energii i Klimatu na lata 2021-2030”. 30 grudnia 2019 r. dokument przekazano Komisji Europejskiej.

Najważniejsze cele, jakie mają zostać zrealizowane, to redukcja o 56-60% udziału węgla w produkcji energii elektrycznej oraz osiągnięcie 21-23% udziału odnawialnych źródeł energii w finalnym zużyciu energii brutto. Rząd zaznaczył, że będzie to możliwe pod warunkiem przyznania Polsce dodatkowych środków unijnych, w tym przeznaczonych na sprawiedliwą transformację.

Dokumenty te cechuje wysoki stopień ogólności, choć można się

zorientować, że ich autorzy najwięcej uwagi poświęcili wykorzystaniu tradycyjnych paliw kopalnych, czyli węgla, ropy i gazu ziemnego. Rząd zdaje sobie sprawę z małej innowacyjności polskiej gospodarki i niewielkiego potencjału nauki, dlatego zaplanował zwiększenie nakładów na działalność badawczo-rozwojową do 1,7% PKB w 2020 r. oraz 2,5% PKB w 2030 r.

Oba dokumenty zakładają utrzymanie w przyszłości strategiczne-

go znaczenia węgla kamiennego i brunatnego w bilansie surowcowym i energetycznym, przy ograniczeniu zanieczyszczeń powstających podczas ich spalania oraz emisji dwutlenku węgla. Wymaga to nowych, wysokoefektywnych, elastycznych i niskoemisyjnych technologii, a także nowych regulacji prawnych. Postuluje się też dostosowanie rodzimego potencjału produkcji energii elektrycznej do spalania wielopaliwowego, wykorzystującego m.in. biomasę i odpady.

„Polityka Energetyczna Polski do 2040 roku” zakładała budowę sześciu bloków jądrowych o łącznej mocy 6-9 GW i uruchomienie pierwszego bloku do roku 2033. Czy ten termin zostanie dotrzymany? Nie wiadomo. 5 czerwca ▶



pah
Polska Akcja Humanitarna

62% osób w Sudanie Południowym nie ma dostępu do czystej wody

POMÓŻ NAM TO ZMIENIĆ
Wpłać: www.pah.org.pl

► 2020 r. zapytanie w tej sprawie złożyła postanka Hanna Gill-Piątek oraz grupa postów. Odpowiedź Piotra Działy, sekretarza stanu w Ministerstwie Klimatu, była bardzo ogólna. Moim zdaniem w założonym terminie żadna elektrownia atomowa w Polsce nie powstanie. Tak jak w roku 2025 po polskich drogach nie będzie jeździł milion samochodów elektrycznych zapowiadany przez premiera Mateusza Morawieckiego. Kryzys gospodarczy wywołany pandemią koronawirusa brutalnie weryfikuje rządowe plany dotyczące transformacji polskiej energetyki i górnictwa.

Opcja niemiecka

Najbardziej zaawansowanym krajem w Europie pod względem rozwoju i zastosowania przyjaznych środowisku technologii energetycznych są Niemcy. Po katastrofie elektrowni jądrowej w Fukushima w marcu 2011 r. kraj ten ogłosił rezygnację z technologii jądrowej i zastąpienie jej w gospodarce energią wiatrową, słoneczną oraz pochodzącą z wodorowych ogniw paliwowych. Zaczęto modernizować istniejące stare elektrownie węglowe, zastępując czarne złoto sprowadzanym z Rosji gazem ziemnym. Na wielką skalę zaczęto też wprowadzać rozwiązania służące oszczędzaniu ciepła i energii. Tempa nabrały prace nad „internetem rzeczy” – koncepcją urządzeń mogących łączyć się ze sobą w celu wymiany informacji i zapewnienia efektywnego współdziałania. Niemal każdy przedmiot – smartfon, komputer, lodówka, telewizor, kamera, zmywarka itd. może zostać połączony z siecią. Gdy „internet rzeczy” powstanie, obejmie wszystkie dziedziny aktywności gospodarczej. Dla energetyki będzie to rewolucja, która pozwoli na lepsze wykorzystanie dostępnej mocy i wielkie oszczędności. Kraj, który jako pierwszy wdroży te rozwiązania, zyska ogromną przewagę konkurencyjną. I będzie mógł zarabiać na eksporcie technologii. W Polsce ledwo wspomina się o tym, że będziemy dla zachodnich sąsiadów świetnym rynkiem zbytu owych rozwiązań. Finansując w ten sposób niemieckie prace badawczo-rozwojowe.

Podobnie rzecz się ma z programami rozwoju ogniw paliwowych

opartych na wodorze. Nie myślę o samochodach osobowych i ciężarowych czy pociągach, ale o przemyśle. Microsoft już testuje zasilanie swoich centrów danych za pomocą potężnych ogniw wodorowych. W ubiegłym miesiącu taka instalacja o mocy 250 kW zasilala przez 48 godzin pełny szereg serwerów w centrum Azure w pobliżu Salt Lake City. Za 10 lat Microsoft ma się stać firmą o zerowym śladzie węglowym.

Podobną drogą kroczy Japonia. Koncern Panasonic we współpracy z Tokyo Gas Co. Ltd. opracował już w roku 2011 model domowego zasilanego wodorem ogniwa paliwowego o nazwie Ene-Farm, o najwyższej wówczas sprawności generowania prądu. Urządzenie to ma rozmiary dużej lodówki i jest montowane przy domach jednorodzinnych. Zapewnia nie tylko energię elektryczną, ale też ciepłą wodę mogącą służyć do ogrzewania pomieszczeń. Pierwsza partia tych urządzeń, 5 tys. sztuk, została szybko sprzedana. W Japonii koszt urządzenia wynosił w przeliczeniu ok. 115 tys. zł. W roku 2015 Panasonic zaoferował Ene-Farm Europie, ale ze względu na wysoką cenę nie zyskały one większej popularności. Władze Japonii

Ani górnictwo i energetyka, ani nauka nie są przygotowane na zmiany. Urządzenia i technologie będziemy musieli importować.

zakładają, że do roku 2025 liczba zainstalowanych urządzeń Panasonic osiągnie kilkudziesięciu tysięcy.

Niemcy i Skandynawowie rozwijają technologie pozyskiwania tzw. zielonego wodoru, czyli pochodzącego z urządzeń zasilanych energią z elektrowni wiatrowych i słonecznych. W ciągu trzech lat duńskie konsorcjum HyBalance zbudowało jedną z największych w Europie instalacji wytwarzania wodoru w drodze elektrolizy wody. Energia pochodziła z elektrowni wiatrowej. Koszt projektu wyniósł niewiele ponad 15 mln euro, z czego połowa była dotacją ze środków unijnych.

Niemieccy naukowcy z centrum badawczego Helmholtz-Zentrum Berlin wspólnie z naukowcami z Uniwersytetu w Uppsali pracują nad pozyskiwaniem wodoru z rozwiązań fotowoltaicznych. Chodzi o bezpośrednie sprzężenie elektrolizera z modułem fotowoltaicznym. Nie ma tygodnia,

by profesjonalne serwisy niemieckie, francuskie czy brytyjskie poświęcone energetyce i nauce nie przynosiły informacji o wynikach badań, eksperymentów i zastosowań w przemyśle technologii wodorowych.

Polska w tej rywalizacji się nie liczy. Stać nas na ciekawostki, takie jak samochód Hydrocar Premier. W maju 2015 r. zespół uczonych z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie we współpracy z naukowcami z Wojskowej Akademii Technicznej przedstawił roadster napędzany wodorowym ogniwem paliwowym. Zainteresowanie było spore, lecz, jak się okazało, model nie miał być wstępem do czegoś większego, prezentował jedynie możliwości eksperymentalnego zbiornika wodoru opracowanego przez naukowców z WAT.

Minister obrony narodowej, pytany w roku 2018 przez postów, odpowiedział, że WAT nie prowadzi już prac pod kątem prób eksploatacyjnych owego zbiornika. Wyjaśnił, że stałyby się one niezmiernie kosztowne i nie są możliwe do wykonania ze środków własnych WAT. Ani ze środków z niewielkich projektów badawczych.

To pokazuje, jak wielkie jest zapóźnienie naszego kraju w stosunku do

sąsiadów. Politycy potrafią pięknie mówić o ekologii, energii odnawialnej, innowacjach itp. Gdy przychodzi do konkretów, okazuje się, że albo trzymamy się coraz droższych tradycyjnych rozwiązań węglowych, albo ze względu na zapóźnienie nauki i brak środków nie jesteśmy w stanie zaproponować niczego nowego. Co gorsza, nie jesteśmy również w stanie wykorzystać możliwości, jakie otworzyły się przed Polską z chwilą wejścia do Unii Europejskiej. Marnujemy unijne dotacje, śnimy o milionach samochodów elektrycznych, budujemy ich modele, oczekując, że znajdzie się 4-5 mld zł, by uruchomić produkcję bez żadnych gwarancji na sukces. Ale czego można się spodziewać po gospodarce opartej na węglu, wieprzowinie i służbach specjalnych, zwłaszcza gdy rządzi Prawo i Sprawiedliwość.

Marek Czarkowski



Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Walczą z nauką

Gdy Stańczyk, Błazen Starego Króla, udawał na rynku krakowskim ból zębów, zbiegło się z poradami pól miasta, on zaś zareagował uwagą: „Najwięcej doktorów na świecie”. Dziś doktorów mamy o iluż więcej. To przecież cały ogromny front antyszczepionkowy. To także Andrzej Duda. Prawnik, doktor. Ostatnio wyznał, że nie szczepi się na grypę, i zaoponował przeciw szczepieniom obowiązkowym. Warto zaufać doktorom.

A czy trzeba ufać prawnikom? Prawnik Duda prawnikom nie ufa. Władza też im nie ufa. Jeden z moich kolegów, profesor polonistyki, na stwierdzenie, że Duda łamał konstytucję, odrzekł: „moim zdaniem nie łamał”. Ujmujące było to „moim zdaniem” w ustach polonisty, który nagle stał się prawnikiem. Lecz przecież ludzi uznających, że Duda nie łamał konstytucji, jest w Polsce dziesięć milionów. Dziesięć milionów prawników! Jesteśmy najlepsi na świecie.

Ale też najwięcej w świecie mamy uczonych. Na przykład genetyków. Najlepszym jest książd profesor Franciszek Longchamps de Bérier. Zastąpił niegdyś odkryciem „bruzd dotykowych”, charakterystycznych ponoć dla dzieci poczętych metodą in vitro. Książd jest na UJ kierownikiem Katedry Prawa Rzymskiego. Już bowiem starożytni Rzymianie...

A ilu mamy historyków.

Tysięczne kadry wykształcone przez IPN. Tysiące dzieci ukształtowanych przez IPN-owskie komiksy. Dziś wresz-

cie każdy wie, że PRL była złem. A wielu wie, że złem była też III RP. Natomiast dobrem była na pewno Polska międzywojenna. Z podręczników wydanych w tym czasie magister historii Elżbieta Witek uczyła się (jak twierdzi) o Katyniu.

Wśród historyków zaś mamy wielu mediewistów. Kiedyś jeden z nich był nawet prezesem IPN. I co powiecie? Dotąd nie było pewności w sprawie daty chrztu Polski i oto – hokus-pokus – wszystko wiemy! Więc 14 kwietnia mamy święto państwowe. A do grona mediewistów dołączył nawet ostatnio pewien teolog. To sam arcybiskup metropolita krakowski, profesor (a jakże) Marek Jędraszewski. Odkrył on średniowiecznego kronikarza, Kpinomira. Postać ta była dotąd historykom nieznaną, ale arcybiskup ma przecież prawo do objawień. Swoje odkrycie opublikował w piśmie (a jakże) naukowym.

A ilu jest w Polsce fizyków. „Podkomisja” Antoniego Macierewicza udowodniła, że brzoza (o ile nie jest pancerna) nie jest w stanie naruszyć konstrukcji lecącego szybko samolotu. „Mamy próby zastąpienia praw aerodynamiki argumentami opartymi na parówkach i puszkach z coca-colą”, mówił w odpowiedzi nestor polskich fizyków, prof. Iwo Białynicki-Birula. Co z tego? Przecież prawa fizyki też można zmienić!

„Filozofowie rozmaicie tylko interpretowali świat; idzie jednak o to, aby go zmienić”, pisał Karol Marks w „Tezach o (tfu, tfu!) Feuerbachu”.

Śmieszne? Nie bardzo. Nauka stała się w Polsce niepożądana. Jeżeli chce istnieć – musi ugiąć się przed polityką. Jeżeli tego nie robi – zostanie przeznaczona na odstrzał. No ale jeśli robi – przestanie być nauką. Węgrzy już się nie pacykują: powołali Instytut Węgierskości. Jego głównym zadaniem jest udowodnienie, że przed tysiącem lat Madziarzy wcale nie przybyli z Azji. Jest to niezgodne z wiedzą historyczną i archeologiczną, nawet z odwiecznym stanem świadomości samych Węgrów, no ale skoro premier każe... Nowe kadry, nowa nauka. „Cybernetyka – reakcyjna pseudonauka” – doprawdy nie wiem, czemu przypominało mi się to hasło. Źródło: „Krótki słownik filozoficzny”, Moskwa 1954.

Praktyka jest zaś zawsze taka sama. Zaczyna się od niszczenia autorytetu. Sędziowie to złodzieje (głównie wiertarek), a lekarze – łapówkarze („pokaż, lekarzu, co masz w garażu”), o ile nie mordercy („nikt już przez tego pana życia pozabawiony nie będzie”). A potem, gdy autorytet zostanie unurzany w błocie, następuje podważanie jego ustaleń. Tak właśnie stało się z sędziami. Ale też – dzięki antyszczepionkowcom – z lekarzami.

Fizyka bowiem bez trudu oparła się hochsztaplerom, ale medycyna musiała już z nimi walczyć. I to mając za

przeciwnika samego Pana Prezydenta. A tu i ówdzie słychać już o próbach zastąpienia teorii ewolucji przez kreacjonizm. A nawet o niezgodzie na system heliocentryczny, co jednak jest mało prawdopodobne, bo jego twórcą był przecież Kopernik, a jego „polskie wydało plemię”.

Potem zaś następują zmiany strukturalne. Powstają nowe instytuty, zaprzęgane do zadań politycznych. Obcina się dotacje gremiom, uprawiającym naukę tradycyjną (kiedyś się mówiło: „burżuazyjną”). Przydziela się granty swoim, podobnie lub identycznie myślącym. Do grona decydentów też powołuje się swoich, podobnie lub identycznie myślących. No i spójrzmy na uniwersytety po „reformie Gowina”: na nakładające się kompetencje rad wydziałów i rad dyscyplin, na rady uczelni, z samej definicji ograniczające tychże uczelni autonomię. W nauce – na każdym szczeblu – zapanował chaos. Spokojne uprawianie swojej dyscypliny będzie z czasem coraz trudniejsze.

Warto, by wszystko to miała na uwadze nasza opozycja. By głośno i w każdym miejscu krzyczeć: w Polsce trwa zorganizowany atak na naukę. A atak na naukę – to przecież atak na cywilizację. Polską i europejską. Stoimy przed polskim „być albo nie być”.

**W Polsce trwa zorganizowany atak na naukę.
A atak na naukę to atak na cywilizację.**

Wojsko łupem polityków

To, że wojskowi dali się wciągnąć w personalno-polityczne gierki, jest największą tragedią Wojska Polskiego po roku 1989

Rozmawia Marcin Ogdowski

Podczas ostatniej kampanii wyborczej niewiele mówiło się o wojsku i jego potrzebach.

– Nic nadzwyczajnego. Minęło ponad 30 lat od zmiany systemu, ale na dobrą sprawę niewiele dla armii w tym czasie zrobiono. Generalnie wojsko służy politykom do tego, do czego aktorzy używają ścianki.

Ma stanowić tło, przy którym warto się zaprezentować.

– Dokładnie tak. Proszę zauważyć, że choć było już kilka planów rozwoju sił zbrojnych, to żaden rząd nie wykazał się tu konsekwencją. Każdy chciał robić po swojemu, psuć i dewastować to, co zrobili poprzednicy. W efekcie zamiast kompleksowych zmian mamy w Polsce ileś programów wyspowych. Dziś kupujemy patrioty¹, jutro HIMARS-y², a pojutrze wrzucimy sobie jakiś nowy temat. Bierzymy po trochu, bo drogie, a co gorsza, w oderwaniu od realnych potrzeb armii.

Warunki gry dyktują lobbyści?

– To oni przekonują polityków do zakupów. Ci z kolei wydają dyspozycje wojskowym, by znaleźli uzasadnienie dla konkretnych wydatków. Doskonale to widać po niektórych

Choć było już kilka planów rozwoju sił zbrojnych, to żaden rząd nie wykazał się konsekwencją.

ważnych politykach, którzy wręcz chodzili i nadal chodzą na pasku lobbystów. Nie są przy tym zupełnie bezwolni, bo godzą się na takie warunki świadomości korzyści propagandowych, jakie da się uzyskać przy zakupach. Niech pan sobie przypomni, jak ograno medialnie zakup dwóch baterii patriotów.

Jakbyśmy nagle skoczyli do militarnej ekstraklasy.

– A nic się nie zmieniło, bo wyrutnie otrzymamy za kilka lat,



**GEN. BRONI
WALDEMAR
SKRZYP CZAK**

– były dowódca
Wojsk Lądowych

w takiej liczbie, że będą mogły bronić co najwyżej same siebie. Rozwój sił zbrojnych powinien być podporządkowany planom wojennym. Narodowym i sojuszniczym, opartym na wiedzy i doświadczeniu wojskowych, nie polityków.

Ten polski, i dla Polski, zakłada, że największym zagrożeniem jest dla nas Rosja. I że w razie ataku mamy

wytrzymać rosyjski napór do czasu rozwinięcia głównych sił nатовskich. Czy to realistyczne zadanie?

– Nie lubię słowa wytrzymać w tym kontekście, za bardzo przypomina mi rok 1939. Wtedy też mieliśmy wytrzymać pierwsze uderzenie niemieckie i czekać na operację zaczepną sił francusko-brytyjskich...

...która nigdy nie nastąpiła.

– Cóż, zdradzono nas. Świadomości tych doświadczeń powinniśmy mieć potencjał zdolny nie tylko przyjąć

pierwsze uderzenie. Nie mamy zginać między Bugiem a Wisłą. Mamy przetrwać, czyli zachować istotną część armii do prowadzenia dalszych operacji. Oczywiście jest, że dziś – w przypadku zaskakującego uderzenia – nie sprostamy temu. Wojsko Polskie jest za słabe, no i nie stacjonują u nas znaczące komponenty innych armii NATO. Amerykańska obecność jest w tej chwili symboliczna.

To odpowiednik jednej brygady.

– Czyli nic, co mogłoby Rosjan odstraszyć i zatrzymać. Rosjanie dojdą do Wisły w ciągu dwóch-trzech dób, Odrę osiągną po dziewięciu-dziesięciu. Tymczasem Amerykanie potrzebują 60 dni, by przerzucić do Europy odpowiednio silny kontyngent. A dziś ani Niemcy, ani Francuzi, ani Hiszpanie czy Włosi nie są w stanie poderwać w trybie alarmowym i przesunąć do Polski przed upływem tych dziesięciu dób wojsk o wystarczającym potencjale. Ktoś powie: „No dobra, ale NATO dysponuje raketami, ma bomby

jądrowe i samoloty". Prawda, tylko wiemy, czym skończyłoby się użycie broni atomowej.

Strach pomyśleć...

– Zwłaszcza gdy uświadomimy sobie, że natowscy wojskowi nie posługują się w ćwiczeniach doktrynami rosyjskimi. Jednostki grające w manewrach Rosjan opierają się na strategiach i taktykach NATO. A przecież to droga donikąd.

Amerikanie nie znają rosyjskich doktryn?

– Znają je słabo. My też, czego dowodem jest demonizacja Przesmyku Suwalskiego. W efekcie jako Sojusz źle uczymy sztaby i dowódców. Istotą działań rosyjskich wojsk lądowych są operacje zaczepne. Szybkie uderzenia, których celem jest rozbięcie przeciwnika i wyjście na określoną rubież. *Blitzkrieg*, którego Rosjanie nauczyli się od Niemców.

W tej sytuacji łatwo o argument, że nie warto nic robić, bo i tak przegramy.

– Warto, ale najpierw NATO musi się otrząsnąć z miłości do Władimira Putina.

Nie otrząsnęło się jeszcze?

– Nie, co widać po kolejnych redukcjach sił zbrojnych. U nas, za ministra Bogdana Klichy, zmniejszono wojska operacyjne o prawie 30%. Gdyby politycy na serio

myśleli o bezpieczeństwie państwa, zadbaliby o rozwój armii i przemysłu zbrojeniowego.

Zbrojeniówka po 2015 r. stała się obiektem ciągłych restrukturyzacji. Co rusz zmieniały się zarządy poszczególnych firm i całej Polskiej Grupy Zbrojeniowej.

– Zbrojeniówka to relikwiarz poprzedniej epoki. Scentralizowany i zależny od polityków. Tylko ekipy się wymieniają, traktując przemysł zbrojeniowy

Byłbym ostrożny z optymizmem, że Stany nam pomogą. A wiara w to, że wojny nie będzie, jest nieuzasadniona.

jak „ujeżdźalnię”, z której wyciąga się pieniądze. Bez prawdziwej i głębokiej restrukturyzacji wciąż będziemy mieli przemysł, któremu zrobienie karabinu zajęło kilkanaście lat, a samobieżnej armatohaubicy niemal ćwierć wieku.

Zastanawiam się na powodami nonszalancji polityków. Czy aby nie chodzi o przekonanie, że przecież Ameryka nas obroni, a samo ryzyko wojny jest niewielkie?

– Atlantyku nie da się zasypać, trzeba go przepłynąć – co byłoby nie lada wyzwaniem. Dlatego byłbym ostrożny z tym optymizmem, że Stany nam pomogą. A wiara w to, że wojny nie będzie, jest

nieuzasadniona. W ciągu dekady musimy się liczyć z konfrontacją chińsko-amerykańską.

To chyba nie nasze zmartwienie.

– Jak najbardziej nasze. To Chińczycy trzymają w ryzach Putina, nie pozwalają mu na wywoływanie kolejnych konfliktów, bo naraziłoby to stabilność ładu gospodarczego. Ale gdy USA na serio zagrożą chińskim interesom w Afryce, Azji czy Ameryce Południowej, Pekin zwolni hamulce.

Peryferyjność nas nie uratuje?

– Nie, bo Moskwa chce odzyskać dawne strefy wpływów w Europie Wschodniej.

Z Donaldem Trumpem jako prezydentem USA może być jej łatwiej.

– Polityka Trumpa jest za bardzo konfrontacyjna w stosunku do Unii Europejskiej, najbliższego sojusznika. Ten człowiek błądzi, bo w pewnym momencie Niemcy i Francuzi przestaną z nim rozmawiać. A jak z nim, to i z nami, bo powiedzieć o naszej polityce zagranicznej, że jest proamerykańska, to jakby nic nie powiedzieć.

Trump chyba nie wygra listopadowych wyborów.

– Ma poważne kłopoty. Widać to po reakcji Pentagonu na groźby prezydenta, że użyje wojska do tłumienia demonstracji. „Nie ma takiej opcji”, usłyszał od sekretarza obrony. Przeczy to politycznej charyzmie Trumpa i pokazuje siłę amerykańskiej demokracji.

No właśnie, Amerykanie przetrwają Trumpa, a czy my przetrwamy Jarosława Kaczyńskiego?

– Młodzież nie da się zbałamucić – jestem tego pewien.

A armia? Coś złego stało się w ostatnich latach z jej morale.

– W zbyt dużym stopniu zależy ono od tego, czy żołnierze dostaną podwyżki, czy nie. Wojskowi zarabiają dziś bardzo dobrze – i to nie jest złe. Lecz gdy zestawimy ich pensje z innymi sektorami budżetówki, wiadać jak na dłoni intencje polityków. ▶

Za obrzydliwą służalczość, z jaką wobec Misiewicza zachowywali się niektórzy oficerowie, powinno się wyrzucać z wojska.



► Ci po prostu kupują sobie lojalność wojska.

Rządy PiS pokazały, że w armii jest wiele giętkich kręgosłupów. Warto przypomnieć Bartłomieja Misiewicza.

– Za obrzydliwą służalczość, z jaką zachowywali się wobec niego niektórzy oficerowie, powinno się wyrzucać

– wciąż tkwi ta paskudna uległość wobec władzy. Pozostałość chyba jeszcze z epoki rozbiorów.

Raczej efekt tego, że 90% społeczeństwa ma chłopskie korzenie, a chłop właściwie aż do nastania PRL był traktowany niczym niewolnik. Jednak dziedziczony społecznie rys osobowościowy to za mało –

Rosjanie dojdą do Wisły w ciągu dwóch-trzech dób. Amerykanie potrzebują 60 dni, by przetrwać do Europy odpowiednio silny kontyngent.

z wojska. Ale czy to znaczy, że armia stanie przy władzy i zwróci się przeciwko narodowi? Wielokrotnie mówiłem kolegom generałom: „Nie wolno powtórzyć sytuacji z 1981 r. Jeśli ktośkolwiek chciałby użyć wojska w taki sposób, macie powiedzieć »nie« i zostać w koszarach”.

Zostaną?

– Wszystko może się zdarzyć. Rządzą nami ludzie o zapędach autorytarnych, a tacy łatwo stołków nie oddają. No i w wielu z nas, Polaków – a więc również w wojskowych

muszą być jeszcze ludzie władzy w samych szeregach wojska.

– Pełno ich w wojskowych służbach – wychowanków Antoniego Macierewicza.

Czym się zajmują? Bo łapanie szpiegów nie bardzo im wychodzi.

– Rosyjski szpieg jest sto razy mądrzejszy od polskiego kontrwywiadowca. Ci panowie od Macierewicza to amatorzy, bez dostępu do najważniejszych tajemnic NATO. Nie ufano Macierewiczowi, nie ufa się też im. I nie tylko o profesjonalizm tu chodzi.

Za dużo dziwnych historii wydarzyło się wokół tego towarzystwa. Afganistan jest klinicznym przykładem zdrady polskiej racji stanu. Macierewicz w sposób zamierzony doprowadził tam do osłabienia odporności naszych oddziałów na zagrożenia wywiadowcze. Efektem było Nangar Khel, skandaliczne śledztwo w tej sprawie oraz późniejsze straty w ludziach, które poniósł nasz kontyngent. **Użyteczny idiota, agent?**

– Albo amator. Kim był Macierewicz, zanim został szefem Służby Kontrwywiadu Wojskowego, a później ministrem obrony? Co on wiedział o wojsku? Albo ludzie, którymi się otoczył? Nic. Wciąż za to płacimy. Od lat powtarzam, że w Polsce działają rozległe sieci wywiadowcze, które penetrują nasz przemysł i scenę polityczną. Swoboda, z jaką agenci rosyjscy poruszają się wśród elit politycznych i biznesowych, to dla nas obecnie największe niebezpieczeństwo.

JESTEŚMY SĄSIADAMI. RAZEM MOŻEMY POKONAĆ EPIDEMIĘ

Wszyscy mamy trudny czas. Martwimy się o zdrowie, o bliskich, o pracę – ale wierzymy, że wkrótce będzie lepiej. Dookoła mieszkają **życzliwi ludzie**. Uśmiechnijmy się do siebie!

Jesteśmy grupą sąsiadów, która **uruchamia wspólnotę na naszym piętrze**. Będziemy współdziałać, by wszystkim było lepiej. **Chcesz się przyłączyć? Potrzebujesz pomocy?**

Zadzwoń albo napisz, byśmy mogli nawiązać kontakt
Zrób zdjęcie naszych numerów.

Imię, numer mieszkania, numer telefonu

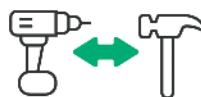
Imię, numer mieszkania, numer telefonu

Imię, numer mieszkania, numer telefonu

CO MOŻEMY ROBIĆ:



Wspólne zakupy,
by obniżyć
ryzyko zarażenia
wirusem



**Pożyczanie
narzędzi
do drobnych
napraw**



**Rozmowy
sąsiedzkie,
by utrzymać
kontakty**



**Zajęcia zdalne
dla dzieci,
by odciążyć
rodziców**

**WYTNIJ I POWIEŚ
W TWOIM SĄSIEDZTWIE**

Kandydat na prezydenta Rafał Trzaskowski chciał Macierewicza postawić przed Trybunałem Stanu.

– Boże broń! Żaden polityczny trybunał ani sąd. Nic, czego decyzje można podważyć w Sejmie, co daje możliwość politycznych targów. Wszystkich, którzy szkodzili Polsce i armii, trzeba postawić przed czymś w rodzaju sądu narodowego, niezależnego od kaprysów i gier polityków. Mam nadzieję, że kiedyś do tego dojdzie. To jeden z warunków odpolitycznienia armii. I przywrócenia jej szacunku.

Polacy cenią sobie wojsko.

– Ale ich przedstawiciele polityczni nie. Pamiętam ministra Jerzego Szmajdzińskiego – to, z jakim szacunkiem odnosił się do wojskowych. Z jaką uwagą wysłuchiwał ich opinii. W czasach Aleksandra Szczygły było podobnie. To za Klicha pojawiła się arogancja w stosunku do mundurowych, dzielenie ich na „swoich” i „nie swoich”. A wojskowi dali się wciągnąć w te personalno-polityczne gierki, co jest największą tragedią Wojska Polskiego po 1989 r. Rezerwano bowiem spoistość armii, zawodową lojalność ludzi, którzy jadą na tym samym wózku. Zaczęło się budowanie koterii – krakowskiej, warszawskiej – co później przeniosło się na niższe poziomy. Dziś łatwiej zastanie pan lokalnego dowódcę

Dowódcami są często ludzie, którzy nigdy nie wyprowadzili całej brygady czy dywizji w pole.

na kawie u starosty niż na poligonie z wojskiem.

I łatwo znaleźć generała bez należytego przygotowania.

– Dowódcami są często ludzie, którzy nigdy nie wyprowadzili całej brygady czy dywizji w pole. Nie przeszli żmudnej ścieżki kariery, od dowódcy plutonu, kompanii, batalionu i pułku. Dziś generałem zostaje się z automatu, bez ćwiczeń, testów, doświadczenia. Trzeba przywrócić właściwą rangę temu stopniowi. **I skończyć dwuwładzę. Mamy w tej chwili w armii dwóch czterogwiazdkowych generałów – „prezydenckiego” i „ministerialnego” – których kompetencje w wielu obszarach się pokrywają.**

– Radziłbym szefowi sztabu generalnego i dowódcy generalnemu, by

spotkali się przy wódce i między sobą rozwiązywać patową sytuację, w jaką wpakowali ich politycy. Bo wojsko na dole patrzy i się demoralizuje. Ale rozumiem intencje polityków.

Walczą o wpływy w wojsku.

– I celowo generują konflikty, bo skłóconymi koteriami łatwiej się steruje.

Dlaczego USA i NATO pozwalają na taki stan rzeczy?

– Znam Amerykanów, chociażby z Iraku, i dobrze wiem, że oni Wojsko Polskie obserwują. I wyciągają często srogie dla nas wnioski. Ale niczego nie narzucają, bo jest dla

Macierewicz doprowadził w Afganistanie do osłabienia odporności naszych oddziałów na zagrożenia wywiadowcze.

nich oczywiste, że sprawy narodowe układamy sobie po swojemu. NATO z kolei powinno rozliczać Polskę za poziom zdolności do realizacji wspólnych zadań. I choć jest on niski, nic nam z tego powodu nie grozi. Sojusz bowiem znajduje się w głębokim kryzysie, zawłaszczony przez polityków, trawiony przez zbytni pacyfizm, a od kilku lat regularnie turbowany przez Trumpa, który kompletnie nie rozumie idei NATO. Jako struktura wojskowa Sojusz za długo nie brał udziału w wojnie z prawdziwego zdarzenia.

Zardzewiał.

– Tak, jak rdzewiejący, poradziecki sprzęt w naszej armii.

Potrzeba nam zatem wojny?

– Wojny albo determinacji, z jaką działają nasi sąsiedzi z basenu Morza Bałtyckiego – Szwedzi, Norwegowie i Finowie. Oni sukcesywnie rozbudowują potencjał sił zbrojnych, na przekór zachodnioeuropejskim tendencjom. Wzorem – chyba niedoścignym – jest tu Finlandia. Tam nie dość, że wciąż inwestuje się w wojsko, to jeszcze nie ma zmiłuj dla polityka, który popełnia rażące błędy w obszarach dotyczących zbrojeń i bezpieczeństwa. Taki ktoś traci stół z dnia na dzień.

W Rosji nieudolność nie jest kryterium, z którego jakoś szczególnie rozlicza się polityków, co nie zmie-

nia faktu, że Moskwie determinacji w budowaniu potencjału militarnego nie brakuje.

– Putin szkoli, modernizuje, stawia przed wojskiem trudne zadania. A do dyspozycji ma twardego żołnierza. W dawnych czasach, podczas wspólnych ćwiczeń, przeprowadzałem kolumnę czołgów koło rosyjskiej regulacji ruchu. Radzieccy czekali na swoje pułki, które miały wziąć udział w manewrach. W nocy wracaliśmy tą samą drogą – a tam wciąż stali ci sami żołnierze. Następnego dnia sytuacja się powtórzyła. Zaintrygowany zatrzymałem kolumnę, podchodzę

i pytam: „Jak długo tu jesteście?”. A oni, że trzy dni. „A co jedliście?”, zaciekało mnie. „Mieliśmy jedną tuszonkę na dwóch, na trzy dni”, usłyszałem. Zebrałem trochę prowiantu od moich żołnierzy i daliśmy go tym chłopakom. Nie było w tym żadnej polityki – ot, zwyczajny żołnierski gest.

Dziś walczylibyśmy z synami tych chłopaków.

– Ale byłoby to tacy sami twarde. Jakiś czas temu obejrzałem rosyjski film instruktażowy, zdobyty pewnie przez sojuszników, w którym brygada pancerna forsowała Don lub Dniestr. Szeroką jak diabli rzekę. Czołgi się zatrzymały, załogi przygotowały wozy do przeprawy po dnie. 45 minut później wszystkie trzy bataliony były już na drugim brzegu.

A ile zajęłoby to nam bądź Amerykanom?

– I my, i oni czekaliłoby na most, który następnie trzeba by rozwinąć. Przypuszczam, że przeprawa potrwałaby dwa dni.

No to nie mam więcej pytań.

Dziękuję za rozmowę.

Marcin Ogdowski jest wydawcą portalu Interia.pl, pisarzem, specjalistą ds. wojskowych. Przez kilkanaście lat pracował jako korespondent wojenny

¹ Patriot – amerykański system rakietowy ziemia-powietrze, służący do obrony przeciwlotniczej i przeciw-rakietowej.

² HIMARS – amerykański system artylerii rakietowej dalekiego zasięgu opracowany pod koniec lat 90. XX w.

Ewa Smolińska-Borecka

W czerwcu było dziewięć dni bez topielca, w lipcu już tylko cztery. Najtragiczniejsze były ostatni weekend lipca – 17 topielców – i ostatni weekend czerwca – 14. Pierwszy sierpniowy weekend pochłonął 12 ludzkich istnień, m.in. w Częstochowie, Lubiatowie, Kątach Rybackich, Władysławowie, Starych Sadach, Opolu Lubelskim... Czyli od morza przez Mazury po Lubelskie i Śląskie. Najbardziej widowiskowe akcje ratownicze są nad morzem. Pokazują je telewizje, nagrywają telefonami plażowicze. Topielców już nie.

Łańcuch życia

Kąty Rybackie. Sobota, 1 sierpnia, dochodzi godz. 12.40. Na plaży czerwona flaga, kąpiel wzbroniona. Nastolatek się kąpie. Jego 47-letni ojciec widzi, że syn zaczyna się topić. Rusza mu na pomoc. Ratuje syna, ale sam nie może wrócić na brzeg, tonie. Natychmiast zjawiają się ratownicy uczestniczący w mistrzostwach Polski, które odbywają się w pobliżu. Dojeżdża też OSP Sztutowo, jednostka Brzegowej Stacji Ratowniczej oraz Jednostka Ratowniczo-Gaśnicza Nowy Dwór Gdański. Przylatuje śmigłowiec pogotowia lotniczego. Armia ludzi. Mężczyzna zostaje odnaleziony, doholowany na brzeg. Reanimacja trwa godzinę, ale nie przynosi rezultatu.

Ta sama sobota. Chałupy, Półwysp Helski. 31-letni mężczyzna znika pod wodą. Plażowicze szybko skrzykują się, by udzielić mu pomocy. Kilkadziesiąt osób chwytą się za ręce i tworzy tzw. łańcuch życia. Poruszają się w kierunku otwartego morza, licząc, że natrafią na tonącego. Bez skutku. W końcu rezygnują, rozchodzą się. Wtedy jeden z plażowiczów kilkadziesiąt metrów dalej zauważa dryfującego mężczyznę. Z pomocą innego wyciąga go na brzeg. Reanimacja jest bezskuteczna.

I kolejny łańcuch życia. Sarbinowo. Niedziela, 2 sierpnia, godz. 11. Plaża niestrzeżona. 45-letni ojciec i 14-letni syn pływają na materacach. Nagle ojciec zsuwa się z materaca, zaczyna tonąć. Syn próbuje go ratować. Bezskutecznie. Plażowicze tworzą łańcuch życia. Zjawiają się

Chluśnięm, a potem utoniem

Lato w pełni: w czerwcu utopiło się 60 osób, w lipcu 86. Co dalej?

ratownicy Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, strażacy, policja, pogotowie. Mężczyzna zostaje odnaleziony po godzinie. Godzinna reanimacja nie daje rezultatu.

Do wody spod budki z piwem

Od 1 kwietnia utonęło w Polsce 226 osób. To dopiero półmetek wakacji. Trudno powiedzieć, czy topielców będzie więcej niż w ostatnich latach, czy może mniej: w 2017 r. utonęło 457 osób, w 2018 r. – 545 osób, w 2019 r. – 456. W czerwcu br. utopiło się 60 osób, w lipcu – 86. Nie wiadomo, co przyniesie sierpień. Najwięcej topi się osób w wieku powyżej 50 lat, najczęściej w jeziorze albo w rzece, w morzu zaledwie kilka procent, zdecydowana większość (80%) topielców to mężczyźni. Co czwarty topielec był pod wpływem alkoholu.

– Alkohol jest największą plagą – twierdzi Jacek Krawczyk, były wykładowca w stołecznej AWF,

choć mamy coraz więcej pływalni i nawet trzy-, czterolatki czy niemowlęta uczą się pływania. Trudno w to uwierzyć, ale zdarza się, że na egzaminy na AWF zgłaszają się osoby, które nie potrafią pływać.

Ratownicy niechętnie mówią o ludziach, których ratowali. Jeśli są zatrudnieni w prywatnych firmach, zazwyczaj mają w umowach zastrzeżenie, że nie wolno im rozmawiać na temat pracy. Co najwyżej mogą wyjawiać, że mają 100% skuteczności. Kuba, ratownik od czterech lat, na swoim kąpielisku w czerwcu dwa razy ratował życie tonącemu. – Mam dobrą passę – stwierdza. Andrzej, ratownik od pięciu lat, też ma za sobą kilka interwencji. Każdy z nich jak mantrę powtarza, że nie wolno wchodzić do wody po alkoholu i że najlepiej korzystać z kąpielisk strzeżonych.

Paweł Błasiak jest prezesem Stołecznego WOPR i Zarządu Głównego WOPR, organizacji, która ma w strukturach 16 jednostek wojewódzkich.

Co czwarty topielec był pod wpływem alkoholu.

w Zakładzie Pływania i Ratownictwa Wodnego, obecnie prezes WOPR w Warszawie, instruktor ratownictwa, trener pływania, współwłaściciel szkoły pływania. – Gdyby przeszła się pani po plażę, zobaczyłaby pani, ilu mężczyzn trzyma w jednej ręce papierosa, a w drugiej butelkę z piwem. A ten, który pił, potem pływa. U nas wiele kąpielisk ma budki z piwem na plaży, bo właściciel plaży zarabia na jedzeniu i piwie. Nad jeziorami i rzekami zdarza się picie alkoholu nawet przez żeglarzy czy wędkarzy. Gdy zwracaliśmy im uwagę, to nas obrażano. Często też utonięcie wynika z braku umiejętności pływania,

Na pytanie o liczbę osób uratowanych i nieuratowanych odpowiada: – Uratowanych, jak to się mówi wśród nas, po pierwszej setce przestałem liczyć. Po prostu jest ich wielu. Nieuratowanych było czterech. Wszystkie przypadki utonięcia zdarzyły się na morzu, poza kąpieliskiem strzeżonym. Dwie osoby były reanimowane przez prawie godzinę, dwie zostały wyciągnięte z wody i lekarz od razu stwierdził zgon.

Czy ratownik ma traumę, po tym jak tonący umrze? Paweł Błasiak powinien być zahartowany, bo jako zawodowy nurek niejednokrotnie wyciągał z wody ciała topielców.



Ratownicy mają duże umiejętności, ale jest ich za mało.

Uważa jednak, że aby być ratownikiem, trzeba być osobą empatyczną, ale też twardą i odporną. Pamięta, jak po raz pierwszy wyciągał topielca jako nurek zawodowy. – Człowiek, który wcześniej nie miał do czynienia z osobą nieżywą, nie ma pojęcia, jak to jest – wyjaśnia. – Topielec jest ciężki. To ok. 100 kg bezwładnej masy. Są osoby w ratownictwie wodnym, które nie mogą sobie poradzić z widokiem topielca, tak jak zdarzają się osoby w Ochotniczej Straży Pożarnej, które nie radzą sobie z widokiem spalonego ciała. Niektórym to wraca w pamięci, i to w najbardziej niespodziewanych sytuacjach.

Ci czterej nieuratowani to mężczyźni w wieku 30-40 lat. Czy pojawiają się w jego snach? Na szczęście nie. Są ratownicy, którzy po takim zdarzeniu muszą się odstresować, idą pobiegać albo stosują inne środki. Każdy reaguje inaczej. Ale pewne jest, że jeśli po kimś taka historia spływa jak woda po kaczce, powinien się zastanowić, czy nadaje się na ratownika. Zdarza się jednak, że po takiej akcji ratunkowej trzeba wrócić od razu na swoje stanowisko, by nadal strzec pozostałych kąpielących się. Choćby stres gdzieś na pewno się odkłada.

– Wszystkie te cztery akcje były akcjami grupowymi, czyli zespołu ratowników. Najbardziej pamiętam jedną, z lat 90. – mówi Błasiak. – Dostaliśmy sygnał, że ludzie się topią. Biegiem na miejsce i do wody.

Osoby były już pod powierzchnią. Było nas najpierw trzech, potem dobiegło kolejnych trzech i kolejnych... W sumie kilkunastu. Trafiłem na tę osobę pod wodą. Wtedy krzyczy się: „Mam!”, żeby inni ratownicy wiedzieli. Jest nadzieja, że akcja zakończy się powodzeniem. Jeden kolega przybiegł z brzegu z liną na tzw. szelkach, wyciągnęliśmy tonącego na brzeg. Reanimowaliśmy go jakieś 20-30 minut, do przyjazdu karetki.

Najczęściej toną mężczyźni po pięćdziesiątce. W rzekach albo jeziorach.

Potem przejął to lekarz. Około godziny to trwało. Jednak stwierdził zgon. Odczucie znalezienia człowieka pod wodą jest tak silne, że do dzisiaj, kiedy nurkuję w jeziorze, przypominam sobie: „O, kiedyś natrafiłem...”. Niektórzy ratownicy znalezienie topielca chcą wymazać z pamięci. Nie chcą o tym rozmawiać. A inni odchodzą z ratownictwa.

Jacek Krawczyk nigdy nie prowadził akcji ratowniczej na kąpielisku, którego strzegł. – Najwięcej akcji jest poza terenem strzeżonym – wyjaśnia. – Gdy jest czerwona flaga, niektórzy ludzie przenoszą się na część niestrzeżoną i pływają na granicy. Przepisy tego nie zabraniają. Ratownicy chodzą i informują, że jest zakaz. Skrajne stanowiska na plaży strzeżonej mają większą obsadę ratowników i więcej sprzętu. Na

wszelki wypadek. Zdarzało się, że byliśmy wzywani przez telefon na strefę niestrzeżoną, bo kilka osób było w wodzie i sytuacja stawała się niebezpieczna. Pewnego dnia kilka osób w strefie niestrzeżonej nie mogło wrócić na brzeg. Udało nam się uratować prawie wszystkie. Niestety, jedna osoba się utopiła i holowaliśmy ją do brzegu martwą.

Z „pamelką” łatwiej

– Wszyscy studenci ze wszystkich wydziałów AWF mają w programie zasób wiedzy praktycznej i teoretycznej z ratownictwa oraz reanimacji – mówi Krawczyk. – Tak się obecnie szkoli ratowników wodnych. Do roku 2012 kształcenie ratownika zaczynało się od stopnia młodszego ratownika i mogły ten stopień zdobywać osoby nawet 12-letnie. Teraz jest tylko jeden stopień – ratownik wodny. Żeby nim zostać, trzeba być pełnoletnim.

Jedni uważają, że uproszczenie jest korzystne, drudzy, że nie bardzo, choćby z tego powodu, że nie szkoli się 12-latków.

– Radykalnie zmniejszyła się od czasów PRL liczba ratowników, którzy pracują na kąpieliskach na wodach otwartych – twierdzi Krawczyk. – Kiedyś zespoły ratowników obsługiwały kąpieliska w nadmorskiej

miejsowości liczyły 50, 60, a nawet 70 osób. Tak było m.in. w Mielnie, gdzie plaża miała kilka kilometrów długości. Teraz ze względu na koszty tworzy się dwa-trzy stanowiska, zatrudnia 10-20 ratowników. Skracą się długość strzeżonej linii brzegowej, chociaż zwiększa się liczba osób na plaży. Za to teraz jest lepszy sprzęt: skutery wodne, łodzie motorowe, pontony motorowe. Kiedyś były jedynie łodzie wiosłowe. Standardowym wyposażeniem ratowników są tzw. węgorze, czyli wypełnione materiałem wypornościowym pływak na linie, które dopływający ratownik może podać tonącym, nie zbliżając się do niego, może go opasać, a potem ciągnąć na linie w kierunku brzegu. Są też jaskrawopomarańczowe bojki „pamelki” (od Pameli Anderson ze „Słonecznego patrolu”), ▶



Jedynie kąpielisko strzeżone na wodach otwartych w Warszawie znajduje się na Jeziorku Czerniakowskim.

► zwane także „SP” (od tytułu serialu). Wkracza poza tym nowa technika – na plaży w Międzyzdrojach testuje się patrolowanie wody za pomocą drona. A jednak wciąż co roku topi się kilkaset osób. Trzeba mieć nadzieję, że już nigdy nie powtórzy się rekordowy rok 1994, kiedy utopiły się 1782 osoby.

66 godzin i wystarczy

Zdarza się usłyszeć, że teraz ratownicy są gorzej wyszkoleni niż przed laty, bo prawo szkolenia i egzaminowania mają prywatne firmy.

– Moim zdaniem nie brakuje poprawnie wyszkolonych ratowników wodnych – mówi Błasiak, ale zaznacza: – Kiedyś był podział na ratowników basenowych, śródlądowych i morskich. Teraz w MSW jest jeden stopień. Uprawnienia ratownika można zdobyć na basenie i po jednych zajęciach na wodach otwartych. Jak można na Śląsku czy Mazowszu, do tego w zimie, przeprowadzić szkolenie i egzamin na ratownika, który od razu ma uprawnienia do pracy nad morzem? Uważam, że na śródlądziu nie zdobędzie się umiejętności ratownika morskiego. 66 godzin szkolenia bez nawet liźnięcia morza nie powoduje, że umie się ratować na morzu.

Do 2012 r. wszyscy ratownicy byli szkoleni i pracowali według zasad WOPR. Teraz ramy szkolenia zostały wyznaczone przez MSW. – Przez lata WOPR było monopolistą, jeśli chodzi o szkolenie ratowników, i w zakresie standardów technik ratowniczych było to bardzo dobre – wyjaśnia Paweł Błasiak. – Ustawa z 2011 r. wprowadziła możliwość powoływania organizacji ratownictwa wodnego,

niestety, na to pozwala. Teraz każdy z tych podmiotów ma prawo szkolić ratowników wodnych i instruktorów. Ramowy program szkoleń na stopień instruktora ratownictwa wodnego obejmuje 38 godzin, a na ratownika wodnego 66 godzin. Co najciekawsze, teraz instruktorem może zostać osoba, która nigdy nie była ratownikiem wodnym. W WOPR instruktorem mógł zostać tylko ratownik

Kiedyś na kąpieliskach w nadmorskiej miejscowości było nawet po 70 ratowników. Teraz ich liczbę ogranicza się do 10-20.

które są niezależne od ZG WOPR. W tej chwili na liście podmiotów, które mogą wykonywać ratownictwo wodne, jest 115 firm. Połowa to typowe WOPR, prowadzące szkolenia ratowników w sposób jednolity i dość wymagający. Inne, np. WOPR w Warszawie, choć w nazwie też ma WOPR i szkolenia prowadzi tak jak my – w strukturach nie jest. Ale są również kluby tenisowe czy firma, która zajmuje się inwestycjami kapitałowymi. A także, niestety, WOPR, które poszły w typowy rynek, gdzie decyduje cena usługi, co dla bezpieczeństwa dobre nie jest. Konieczność obniżania kosztów, przy braku wymagań zleciodawców, powoduje obniżenie standardów. Ustawa,

wodny, i to z doświadczeniem na wszystkich akwenach oraz przeszkolony w ratownictwie na rzekach, podczas powodzi i na akwenach pokrytych lodem. Obecnie MSW nie może kontrolować szkoleń. Stopień ratownika wodnego można zdobyć w dwa weekendy albo w sześć dni – masakra.

Młodzi ludzie mniej garną się do pracy ratownika. Pieniądze nie są oszafami, a odpowiedzialność bardzo duża. W przypadku utonięcia plażowicza wkracza prokurator. W tym sezonie za godzinę pracy ratownika można podobno otrzymać od 17 do 22 zł netto. Bywa, że na kąpielisku nic złego się nie dzieje, więc wydaje się, że ratownik bierze te

pieniądze za nicnierobienie. Trudno o bardziej mylną ocenę! Jak mówi Andrzej, on i inni ratownicy bacznie przyglądają się każdemu, kto wchodzi do wody. Jeśli wydaje im się, że taki osobnik jest pod wpływem alkoholu lub środka odurzającego, mają prawo wyprosić go z wody. Czasem delikwent przyjmuje argumenty i rezygnuje z kąpeli, czasem nie. Wtedy zwykle asekuruje się go z łodzi.

Andrzej denerwuje się, kiedy opowiada o tym, jak często rodzice lub dziadkowie próbują zrzucić odpowiedzialność za dzieci na ratowników. Na przykład przychodzi babcia i prosi: „Niech pan zwróci uwagę na mojego wnuczka”. A przecież on ma pod opieką w tym momencie nawet kilkadziesiąt osób, więc nie może się skupiać na jednej. Albo mama przychodzi z pretensją: „Syna by mi pan utopił!”. Wtedy spokojnie tłumaczy, że to ona sama by syna utopiła, bo dziecko nie ma ośmiu lat i musi być pod opieką rodziców.

Balangowiczu, radź sobie sam

Akwen na terenie miasta czy gminy to z jednej strony atrakcja dla mieszkańców i przybyszów, z drugiej kłopot i obciążenie finansowe dla samorządu. – W 2013 r. Stołeczne WOPR wystawiało łódź na Wiśle – wspomina Błasiak. – Przez trzy lata ratownicy pracowali społecznie w weekendy, finansując te działania jako WOPR. W latach 2016-2018 władze Warszawy ogłosiły konkurs i podpisały umowę z naszym WOPR, wspierały nas finansowo, byśmy patrolowali Wisłę. Mieliśmy bazę w Porcie Czerniakowskim i miejsce na łódzie motorowe, ponton, skutery. Z pieniędzy od miasta finansowaliśmy też paliwo do

motorówek. W sezonie letnim wystawialiśmy przy plażach Poniatówka i Saska Łódź z dwoma ratownikami, żeby interweniować, gdyby któraś z osób bawiących się wieczorem na plaży zapragnęła się wykąpać. Z piątku na sobotę dyżurowaliśmy do godz. 1, z soboty na niedzielę do 3, a w niedzielę do 23.

Umowa z samorządem Warszawy skończyła się dwa lata temu. Po tym terminie Stołeczne WOPR

Konsekwencją podtopień jest często niedotlenienie mózgu prowadzące do kalectwa.

z mediów dowiedziało się, że miasto nie przedłuży umowy. Uznano, że wystarczy komisariat rzeczny policji i straż pożarna.

Tylko ryba nie tonie

Przed laty ratownicy w pewnym sensie mieli łatwiejszą sytuację, bo rygory wobec pływających były większe. Ludzie wiedzieli, że mają pływać w granicach oznaczonych przez boje, a jeśli je przekroczą, dostaną mandat od policji wodnej.

– Pływanie poza kąpieliskami strzeżonymi było zakazane, chyba że pływak miał przy sobie kartę pływacką, która pozwalała pływać do 50 m od brzegu, lub tzw. żółty czepek, pozwalający pływać niemal wszędzie – wyjaśnia Błasiak. – Teraz prawo wodne mówi, że „każdemu przysługuje prawo do korzystania ze śródlądowych powierzchniowych wód publicznych, morskich wód wewnętrznych wraz z wodami Zatoki Gdańskiej i z wód morza terytorialnego, jeżeli przepisy nie stanowią inaczej”. Na przykład nie wolno pływać na szlaku wodnym, który jest

oznaczony bojami, na akwenach zamkniętych lub przy budowach wodnych. Ale nawet jeśli korzysta się z pozornie spokojnej wody, pływak i tak nie jest do końca bezpieczny. Dwa lata temu kobieta, która na jeziorze wypłynęła poza kąpielisko, zginęła uderzona przez skuter wodny.

Ważne jest, by ktoś, kto chce wypłynąć poza kąpielisko strzeżone, zastanowił się, czy ma dość umiejętności i czy wypite piwo nie dodaje

mu zbytniego animuszu. Poza tym powinien zabrać ze sobą „pamelkę”, dzięki której będzie lepiej widoczny dla innych użytkowników i której będzie mógł się chwycić, kiedy opadnie z sił. – Polecam też wszystkim aplikację Ratunek pozwalającą skorzystać z ratownictwa wodnego i górskiego – radzi Jacek Krawczyk. – Warto również znać telefon ratunkowy 601 100 100 i telefon alarmowy 112. Nigdy nie wiadomo, kiedy mogą okazać się bezcenne.

Chwała ratownikom, że uratowali wielu tonących. Jednak Rafał Halik z Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego – PZH zwraca uwagę na inny aspekt. – Rzadko się wspomina o ofiarach podtopień lub osobach odratowanych z tonięcia – zauważa. – Szacuje się, że takich osób jest dwa razy więcej niż ofiar utonięć. Konsekwencją podtopień są często niedotlenienie mózgu i uszkodzenia układu nerwowego prowadzące do kalectwa.

Zanim wejdiesz do wody, pomyśl. Ratownicy ostrzegają: „Tylko ryba nie tonie”.

Ewa Smolińska-Borecka

Oszczędność czasu i pieniędzy!

Zamów pocztową prenumeratę PRZEGŁĄDU

Zamówienia można składać do **25 sierpnia 2020 r.**

Realizacja od października 2020 r. po dokonaniu przedpłaty

74 zł na IV kwartał

- we wszystkich placówkach pocztowych na terenie kraju lub u listonoszy;
- drogą elektroniczną pod adresem: prenumerata.poczta-polska.pl.



Po co nam konwencja stambulska

Często przemoc między obcymi osobami jest karana surowiej niż przemoc wobec osoby najbliższej

Rozmawia Anna Brzeska

Po co nam konwencja antyprzemocowa? Według przeciwników odpowiednie zapisy mamy w Kodeksie karnym albo w ustawie o przeciwdziałaniu przemocy domowej.

– Problem w tym, że nie do końca mamy, a te zawarte w naszych ustawach zostały wprowadzone pod wpływem konwencji stambulskiej. Przykładem jest zmiana trybu ścigania sprawców zgwałcenia – dlatego od 2014 r., decyzją rządu PO-PSL, gwałt jest ścigany z urzędu, czyli tak jak zakładają zapisy konwencji.

Czy obecny rząd również zrobił cokolwiek pod jej wpływem?

– W tym roku, po kilku zapowiedziach, przed wyborami prezydenckimi PiS zdecydowało o nadaniu uprawnień policji w kwestii nakazu opuszczenia domu przez sprawcę przemocy, zakazu zbliżania się do ofiary i kontaktowania z nią. Zapis ten wejdzie w życie za kilka miesięcy. Niestety, w jego przypadku mamy do czynienia z aż sześciomiesięcznym okresem *vacatio legis*. Wcześniej jednak żaden rząd, mimo zabiegów organizacji pozarządowych, nie zdecydował się na takie rozwiązanie. PiS zrobiło to zaś tuż przed złożeniem przez Polskę sprawozdania z realizacji konwencji stambulskiej i przed wizytą ekspertów GREVIO (Group of Experts on Action against Violence against Women and Domestic Violence, Grupa Ekspertów ds. Przeciwdziałania Przemocy wobec Kobiet i Przemocy Domowej). Widać tu wpływ konwencji na ustanawianie standardów.

Czyli realizujemy jej założenia?

– Niestety, zapisy w polskim prawie wciąż nie wypełniają wielu zobowiązań, pod którymi Polska się podpisała. Jednym z nich jest zmiana definicji przestępstwa zgwałcenia. W naszym prawie wciąż jest ona inna niż w zapisach konwencji. W polskim

Kodeksie karnym, aby czyn mógł być uznany za gwałt, musi być poprzedzony przemocą fizyczną, groźbą bezprawną lub podstępem. Konwencja natomiast mówi, że warunkiem stwierdzenia gwałtu jest brak zgody na seks.

Dlaczego ta różnica jest tak istotna?

– W orzecznictwie polskich sądów często kobieta musi udowodnić, że była wobec niej stosowane przemoc, groźby lub podstęp. To standardowa zasada prawa karnego, że osoba oskarżająca musi udowodnić winę, jednak w przypadku gwałtów, jeśli nie ma fizycznych oznak przemocy i bronięcia się ofiary, domniemywa się, że kobieta „sama chciała”, „prowokowała”, a później fałszywie oskarża. Przy uwzględnieniu kryterium braku zgody mamy zaś częściowe przerzucenie odpowiedzialności na sprawcę, by to on wykazał, że zaistniała zgoda na seks. To jest ważne też dlatego, by karane były czyny, na które nie ma zgody. U nas gwałt wciąż jest czynem, gdzie oczekiwania ustawodawcy w stosunku do osób pokrzywdzonych są znacznie wyższe niż w wypadku innych przestępstw.

Kobiety ulegają stereotypom, że dla dobra dziecka ważne jest, aby wychowywało się w pełnej rodzinie.

Co jeszcze trzeba zmienić w ustawach, by lepiej chronić ofiary?

– Choćby naszą definicję przemocy w rodzinie, ponieważ polskie ustawodawstwo wciąż nie uwzględnia w niej pojęcia przemocy ekonomicznej. Zawarty jest w nim także wymóg wspólnego zamieszkiwania, by rozpocząć procedurę zakładania niebieskiej karty. To również sprzeczne z konwencją stambulską. W niej podkreśla się bowiem konieczność chronienia ofiary bez względu na to, czy mieszka z agresywnym partnerem, czy nie. Nieraz miałam w pracy do czynienia z sytuacjami, gdy dochodziło do aktów

przemocy ze strony byłego partnera, ale padał argument, że skoro nie mieszkają już razem – bo np. ofiara uciekła od sprawcy – niebieska karta nie jest potrzebna.

Polska ciągle nie wprowadziła też kompleksowych narzędzi szacowania ryzyka zagrożenia przemocą czy zabójstwem ani procedur niezbędnych, by chronić ofiary, w przypadku których takie ryzyko jest duże.

Ale to nadal nie wszystko.

– Brakuje nam uregulowań w przepisach dotyczących wymiaru kary, które wskazałyby, że przemoc w bliskich związkach jest okolicznością obciążającą. Często przemoc między obcymi osobami jest karana surowiej niż przemoc wobec osoby najbliższej. Widać to w przypadku przestępstw z użyciem przemocy, w tym zgwałcenia żony, partnerki. Rząd PiS chwali się podwyższaniem kar za gwałt – w wypadku gwałtu zbiorowego oraz ze szczególnym okrucieństwem jest to zbrodnia, za którą można dostać od 3 do 15 lat więzienia – ale wyroki za przemoc wobec bliskich, w tym seksualną, są orzekane w granicach dolnego

zagrożenia. Maksymalnych kar w praktyce w ogóle się nie stosuje. W wielu przypadkach orzekane są wyroki w zawieszeniu, nawet za gwałt. Samo podwyższanie kar tego problemu nie rozwiąże. Potrzebne są kompleksowe rozwiązania, edukacja i specjalistyczna pomoc dla pokrzywdzonych kobiet.

Bycie bliskim ofiary jest uznawane za okoliczność łagodzącą?

– W pewnym sensie niestety tak. Jeśli popatrzymy np. na kary orzekane za znęcanie się nad rodziną, to widać, że o ile w ogóle zostaną zasądzone, najczęściej są niskie i wynoszą do roku, maksymalnie dwóch lat



URSZULA NOWAKOWSKA

– prezeska Fundacji
Centrum Praw Kobiet

pozbawienia wolności, i to w 80-90% w zawieszeniu.

Od osób działających na rzecz ochrony praw dziecka często słyszę, że polskim problemem jest nadmierny nacisk na zachowanie rodziny w całości. Czy to dotyczy też kobiet jako ofiar przemocy?

– Oczywiście. Same kobiety również ulegają stereotypom, takim jak ten, że dla dobra dziecka ważne jest, aby wychowywało się w pełnej rodzinie. Wiele z nich cierpi w milczeniu, wierząc, że to dobre dla dziecka. „Prorodzinne” podejście do rozwiązywania „problemów” widać w popularności, jaką cieszą się wśród prokuratorów i sędziów mediacje. Rozwiązania w tej kwestii stosowane przez nasz system idą wręcz w kierunku przeciwnym niż założenia konwencji antyprzemocowej. Choć konwencja stambulska zaleca,

aby w wypadku przemocy w rodzinie korzystać z instytucji mediacji z dużą ostrożnością, u nas często stosuje się je i w sprawach karnych, i w rodzinnych.

Są obowiązkowe?

– Nie, nie ma już zapisów, które by do nich obligowały, ale kobiety często boją się odmawiać. Obawiają się, że jeśli nie będą brać udziału w mediacjach, może to być źle widziane przez sąd czy prokuraturę. Martwią się, że ktoś pomyśli, iż nie chcą pojednania czy porozumienia, a przecież „rodzina jest najważniejsza”.

Dlaczego nie powinno być nacisku na mediacje?

– Bo w relacji kat-ofiara nie ma równowagi sił i łatwo o wtórną wiktyzację ofiar. Zdarza się, że w ich trakcie dochodzi do różnych przykrych dla ofiar incydentów. Mediacje często są wykorzystywane

przez sprawców przemocy do tego, by uniknąć odpowiedzialności karnej. Chodzi o wywołanie wrażenia, że skoro „on chce się porozumieć” albo „jednak się dogadali”, kara powinna być niższa. Niestety, tendencja do kierowania na mediacje w sprawach dotyczących przemocy widoczna jest w polskich sądach i prokuraturach. Kierowanie na mediacje bez uwzględniania kwestii przemocy domowej wynika z przekonania, że rodzina jest najwyższą wartością, że trzeba się porozumieć i tę rodzinę ratować.

Czyli oczekuje się, że kobiety bite lub gwałcone przez partnerów wybaczą im, odstąpią od oskarżeń?

– Tak, część kierujących na mediacje najwyraźniej podziela taki pogląd. W dodatku jeśli postępowanie zostanie zamknięte na drodze mediacji i umorzy się je warunkowo albo sprawca dobrowolnie podda się minimalnej karze, sprawa spada z wokandy i nie trzeba już nic robić. Ponadto panuje przekonanie, że sprawy o przemoc nie są łatwe dowodowo. Bierze się ono w dużym stopniu stąd, że ofiarom się nie wierzy i patrzy podejrzliwie na wszystko, co mówią.

Kobiety nierzadko kontaktują się z CPK już po zamknięciu sprawy, bo wciąż doświadczają przemocy?

– Kary bezwzględnie pozbawienia wolności rzadko są orzekane, a nawet jeśli tak się stanie, po pół roku lub co najwyżej dwóch latach sprawca wraca do domu – i znów w nim mieszka z ofiarą czy ofiarami. W tak krótkim czasie najczęściej nie dochodzi do uregulowania kwestii prawnych, które pozwoliłyby pokrzywdzonej kobiecie rozpocząć nowe życie z dala od oprawcy. W Polsce niezbyt często orzeka się środek karny w postaci nakazu opuszczenia domu lub zakazu zbliżania się – albo jest on łamany nawet za „zgoda” samych pokrzywdzonych, które są zależne od sprawcy. Właśnie taka była sytuacja w rodzinie przestępcy seksualnego, wobec którego prezydent Duda zastosował prawo łaski odnośnie do nakazu opuszczenia domu i zakazu zbliżania się.

Ta kwestia łączy się z problemem przemocy ekonomicznej?

– Trudno nie wpuścić sprawcy do domu, jeśli nie ma się dokąd pójść czy za co wynająć mieszkania, zwłaszcza jeśli mieszkanie należy do

► oprawcy lub jego rodziny. Na mieszkania socjalne bądź komunalne czeka się latami. Jeśli dojdzie do skazania, najczęściej nikt nie martwi się o to, co dalej dzieje się w takich rodzinach, jak dają sobie radę, czy potrzebują wsparcia.

Powrót sprawcy do domu bywa dla ofiary niebezpiecznym momentem. Ten może chcieć ją ukarać za to, że „wsadziła go do więzienia”. W takich okolicznościach doszło w Polsce do kilku zabójstw. Przypomnijmy sprawę z Chodla, sprzed 10 lat. Tam zastosowano wobec sprawcy przemocy tymczasowy areszt (wcześniejsze sprawy były umarzane). W trakcie postępowania zażaleniewego agresywny mąż obiecywał poprawę,

wymagając dalszych poprawek – bo w proponowanej formie również odbiegają od standardów konwencji. Przewidują wprowadzenie szybkiego narzędzia izolacji sprawców, ale okres tej izolacji ma wynosić zaledwie dwa tygodnie. Takie rozwiązanie obowiązywało w Austrii, tyle że ponad 20 lat temu. Europejskim standardem jest co najmniej miesiąc izolacji, aby ofiara miała więcej czasu na podjęcie odpowiednich kroków. W Polsce załatwienie czegośkolwiek w dwa tygodnie jest tym trudniejsze, że nasz wymiar sprawiedliwości działa wolno i jest przeciążony. Brakuje też procedur przyspieszających tryb tego typu spraw. Podobnie jest z cywilnym nakazem opuszczenia domu,

partnerki i drugiego dziecka, pierwsze może zostać z ojcem.

Sąd uznał, że sprawca przemocy będzie wystarczająco dobrym ojcem?

– Tak. To wynika z wąskiego rozumienia przemocy, na który to problem zresztą zwraca uwagę konwencja, polskie prawodawstwo zaś nie. Tymczasem dzieci, które są świadkami przemocy – np. wobec matki czy rodzeństwa – są ofiarami przemocy psychicznej. Mimo to kontakty sprawców z dziećmi często nie zostają ograniczone. Konwencja stańska szczególnie podkreśla kwestię bezpieczeństwa pokrzywdzonych. Jeśli nie da się zapewnić go inaczej niż poprzez pozbawienie sprawcy przemocy władzy rodzicielskiej lub ograniczenie kontaktów, należy je zastosować.

W czasie pandemii mieliśmy nawal telefonów związanych z tym problemem. Jednak minister Ziobro zapewniał, że pandemia nic nie zmienia i jeśli ojcowie mają zasądzone kontakty, dzieci mają być im wydawane.

Czy konwencja zawiera zapisy, by nie rozdzielać kwestii stosowania przemocy – np. wobec matki – i opieki nad dziećmi?

– Niestety, w naszych sądach górze bierze myślenie: on może jest złym mężem czy partnerem, ale dobrym ojcem. Rzeczywiście, zdarza się, że ojcowie starają się z tym ukrywać, ale dzieci widzą i czują o wiele więcej, niż dorosłym się wydaje. Jeśli kobieta usiłuje chronić dzieci lub nie wydawać ich ojcu, jest karana. Wiele matek w Polsce ma już dziesiątki tysięcy złotych zaległych kar za utrudnianie kontaktów z ojcami, tylko dlatego, że chcą chronić dzieci.

Przeciwnicy konwencji mówią, że wypadamy dobrze w statystykach FRA (Agencji Praw Podstawowych), z których wynika, że Polki rzadziej są ofiarami przemocy ze strony partnerów niż kobiety w Skandynawii czy krajach Europy Zachodniej. Tam doświadczających przemocy jest znacznie więcej.

– Bądź po prostu tylko tyle do tego u nas się przyznaje. Eksperci FRA sami uznali, że wyniki badania są też odzwierciedleniem świadomości kobiet, kiedy mówimy o przemocy. Widzimy to w CPK – wiele kobiet nie zdaje sobie sprawy, że to, co je spotyka, można już tak określić. W zeszłym roku zjawiała się u nas

Polskie ustawodawstwo wciąż nie uwzględnia pojęcia przemocy ekonomicznej.

sędzia zwolniła go więc z tymczasowego aresztu. Sprawca wrócił do domu i zabił żonę jeszcze tego samego dnia. Na oczach dzieci.

Z kolei kilka lat temu nasza klientka została zamordowana na zlecenie męża w związku z toczącą się sprawą o mieszkanie, którego on nie chciał sprzedać. Klientka chciała, by za pieniądze ze sprzedaży kupić dwa osobne lokale. Na skutek sporu o cenę mieszkania miał zadecydować sąd, wyznaczono już termin rozprawy. Kobieta została zamordowana dzień wcześniej.

Czy ofiary dzwonią do CPK i mówią o lęku przed zgłoszeniem przemocy, bo partner o tym się dowie?

– Często mamy takie sytuacje. Kobiety nierazko znają z autopsji przypadki, gdy państwo nie stanęło na wysokości zadania i nie zapewniło im ochrony. Czują więc, że muszą same sobie radzić. Z drugiej strony jeśli kobieta wycofa zgłoszenie, zarzuca się jej labilność, chronienie sprawcy. Możemy przypuszczać, że w niektórych przypadkach wycofanie oskarżeń lub niezgłaszanie przemocy rzeczywiście chroni życie ofiar – sprawca ma wtedy poczucie, że jego kontrola nad ofiarą się utrzymuje, nie podejmuje zatem bardziej radykalnych kroków.

Co mogą zmienić nowe zapisy dotyczące izolowania sprawców?

– Jak wspomniałam, przepisy te jeszcze nie obowiązują. Co więcej,

uzupełnionym w ostatniej nowelizacji o zakaz zbliżania się i kontaktowania z ofiarą.

Zna pani przypadki, gdy zakaz zbliżania się w formie, w jakiej stosuje się go w Polsce, okazał się niewystarczający?

– Po pierwsze, zakazy zbliżania się są wciąż stosowane w ograniczonej liczbie spraw, a wyznaczana przez sądy odległość jest często absurdalnie mała i nie chroni ofiar. Niedawno dzwoniła nasza dawna klientka, której były mąż wyszedł z więzienia i miał orzeczony środek karny w postaci nakazu opuszczenia domu i zakazu zbliżania się na odległość 20 m. Mężczyzna zamieszkał u swoich rodziców, w odległości ok. 20 m od domu, w którym mieszkała pokrzywdzona. Miał dodatkowo elektroniczny dozór, więc urządzenie, które otrzymała ofiara, często się uruchamiało, co uniemożliwiała jej normalne funkcjonowanie. Znowelizowane przepisy nie zmieniają tej sytuacji, gdyż zakaz zbliżania się dotyczy mieszkania i jego najbliższego otoczenia.

Jedną z naszych klientek została zaatakowana siekierą obok miejsca pracy. Innej pani były partner zabrał dziecko, gdy szła z nim do szkoły czy przedszkola. Co jeszcze bardziej absurdalne, sąd przychylił się potem do wniosku ojca, by dziecko pozostało z nim, choć wcale tego nie chciało. Sąd uznał jednak, że skoro sprawca stosował przemoc jedynie wobec



Protest przeciwko planom wypowiedzenia konwencji antyprzemocowej przez rząd. Gdańsk, 24 lipca 2020 r.

adres. Ma to znaczenie z punktu widzenia bezpieczeństwa. Miałymy już przypadek, że do prowadzonego przez nas ośrodka z ukrytym adresem ewakuowano panią z ośrodka niespełniającego tego warunku. To tam namierzył ją partner i usiłował oblać ją kwasem.

Jakich jeszcze warunków nie spełniają polskie ośrodki?

– Wiele z nich w polityce dotyczącej przyjęć ma zapis, że przyjmuje też mężczyzn, co również jest odstępstwem od europejskiej praktyki i może być niebezpieczne dla przebywających tam kobiet. Dlaczego? Sprawcy przemocy nieraz bronią się poprzez oskarżenie partnerek o przemoc i próbują szukać pomocy w tych samych placówkach. Chcą stwarzać wrażenie, że przemoc była obustronna. Kontakt ze sprawcami może być dla tych kobiet wiktymizującym doświadczeniem. Dla wielu traumatyzujące bywają nawet spotkania z mężczyznami w ogóle, dlatego wolontariuszami w naszym ośrodku są zasadniczo tylko kobiety.

Zna pani dokument Ordo Iuris, mający być alternatywą dla konwencji antyprzemocowej?

– Tak, to Konwencja o Prawach Rodziny – kuriozalny dokument cofający nas do innej epoki, jeśli chodzi o prawa człowieka, chociaż w rozdziale o przemocy domowej usiłujący częściowo posługiwać się

dziewczyna zgwałcona przez byłego chłopaka. Przyszła z pytaniem, czy to, co ją spotkało, to był gwałt, bo przecież była z nim przez kilka lat, sama poszła do jego domu. Kobiety na Zachodzie zapewne nie miałyby wątpliwości, że był to gwałt. U nas skoro kobieta nie protestuje i nie krzyczy, może wcale nie mamy do czynienia z gwałtem. I to podejście niestety często jest podzielane przez organy ścigania czy wymiaru sprawiedliwości. W krajach skandynawskich i w Europie Zachodniej od lat 70. są prowadzone kampanie, programy edukacyjne na temat przemocy oraz równouprawnienia płci.

Co jednak z konkretnymi pytaniami, gdzie wprost pytano, czy sprawca dokonał pewnych czynności?

– W Polsce i w innych krajach, gdzie tzw. wartości rodzinne mają większe znaczenie, więcej jest także wstydu przed przyznaniem się do bycia ofiarą przemocy, nawet jeśli chodzi o anonimowe ankiety. Jeśli kobieta jest tradycyjnie wskazywana jako osoba odpowiedzialna za to, jak układają się relacje w rodzinie, pojawienie się przemocy stawia ją w złym świetle. Warto wspomnieć, że są różne badania i szacunki dotyczące skali zjawiska, również takie, które wskazują, że nawet jedna trzecia kobiet w Polsce doznała różnych form przemocy.

Konwencja zobowiązuje też do zapewnienia bezpiecznego schronie-

nia ofiarom przemocy. Czy to jest realizowane?

– Moim zdaniem nie. Nie wiem dokładnie, jaką liczbą miejsc Polska dysponuje, ale zarówno ten rząd, jak i poprzednie ujmują w statystykach miejsca w różnych placówkach oferujących nocleg kobietom, a zdecydowana większość to nie są placówki specjalistyczne. Konwencja tymczasem mówi wyraźnie o placówkach specjalistycznych dla kobiet doświadczających różnych form przemocy. Rada Europy jasno określa standard, ile miejsc w stosunku do liczby mieszkańców kraju powinno zostać zapewnionych

Konwencja zaleca ostrożne korzystanie z instytucji mediacji w wypadku przemocy w rodzinie, u nas stosuje się je często.

w specjalistycznych hostelach, a ile w poradniach. Polska nie spełnia tych standardów. W sprawozdaniach zwykle podaje się miejsca w placówkach niespecjalistycznych, takich jak domy samotnej matki, ośrodki interwencji kryzysowej, noclegownie dla bezdomnych kobiet. Konwencja natomiast podkreśla znaczenie specjalistycznych usług, właśnie dla kobiet doświadczających przemocy. Takich jest w Polsce mało, szczególnie tych, które spełniają standardy przyjęte w Europie. Standardem europejskim, którego większość polskich ośrodków nie spełnia, jest ich ukryty

językiem konwencji stambulskiej. Dokument gloryfikuje rodzinę, niezależnie od tego, jaka ona jest. Według autorów z Ordo Iuris „rodzina stanowi środowisko dające najlepsze gwarancje ochrony przed przemocą, w szczególności dla kobiet i dzieci”. Podobnie interpretuje się „dobro dziecka” – priorytetem jest nie jego bezpieczeństwo, lecz pozostanie w biologicznej rodzinie, jak również pilnowanie praw ojców. Mam nadzieję, że nie będzie woli politycznej rządzącej większością, by przyjąć ten dokument.

Anna Brzeska

Wszyscy wrogowie abp. Jędraszewskiego

Jest niezłomnym rycerzem w walce z lewackimi plagami tego świata. Gdyby nie istniał, katolicka prawica musiałaby go wymyślić

Jarosław Makowski

Nie przebiera w słowach. Karci, piętnuje, potępia. Nic sobie nie robi z krytyki czy głosów wzywających do opamiętania. Abp Marek Jędraszewski – gdyby nie istniał, katolicka prawica musiałaby go sobie wymyślić. Jest on bowiem jej niezłomnym rycerzem w walce z tzw. lewackimi plagami tego świata, wręcz twarzą polskiego Kościoła.

Abp Jędraszewski uprawia myślenie za pomocą młota. I nie byłoby to dziwne, gdyż wśród polskich hierarchów ta metoda jest popularna i powszechna, gdyby nie fakt, że metropolita krakowski miał wszelkie

uczył się, że w „twarzy Innego” znajduje się ślad Boga, który sprawia, że zawsze i wszędzie spoczywa na mnie odpowiedzialność za drugiego człowieka. Dialog, godność, szacunek – to kategorie, którymi karmił się filozof Jędraszewski, czytając Levinasa.

Sam jako student, chcąc zrozumieć podejście żydowskiego filozofa, czytałem z zapartym tchem książkę obecnego metropolity krakowskiego „Wobec innego. Relacje między podmiotowe w filozofii Emmanuela Levinasa”. I do dziś mogę ją polecić każdemu, kto chce przybliżyć sobie myśl autora przełomowego dzieła „Całość i nieskończoność”. Cóż więc się stało, że ten subtelny, wydawać

władzy, zajmowanego stanowiska do czerpania przyjemności seksualnych.

Po słynnym tekście „Grzech w Pałacu Arcybiskupim”, opublikowanym w „Rzeczpospolitej”, wszyscy jednak nabrali wody w usta. Na czele z papieżem Janem Pawłem II. Dopiero interwencja „wpływowej przyjaciółki” (chodzi o Wandę Półtawską) papieża Wojtyły sprawiła, że abp Paetz stracił stanowisko. Watykan nigdy jednak publicznie i wprost nie potwierdził win arcybiskupa. Za to bronił go jego biskup pomocniczy – Marek Jędraszewski, zbierając m.in. podpisy poparcia dla niesprawiedliwie pomówionego kapłana. I do dziś abp Jędraszewski nie wytłumaczył się ze swojej roli w procedurze maskowania win wpływowego, także w Rzymie, przełożonego.

W nagrodę za lojalność dostał awans. W roku 2012 decyzją Benedykta XVI został biskupem ordynariuszem, metropolitą łódzkim. A kiedy zostajesz pasterzem diecezji, to w zasadzie jesteś nie do ruszenia, mówiąc kolokwialnie. Wszystko możesz, choć nie wszystko przystoi. Tym jednak abp Jędraszewski się nie przejmował. To wtedy zaczyna się też odsłaniać prawdziwa twarz ideologiczna obecnego metropolity krakowskiego, który z dnia na dzień wyrasta na niezłomnego i lojalnego bojownika tzw. Kościoła zamkniętego i „dobrej zmiany”.

Czysto katolicki charakter

A dzieje się to wszystko w Łodzi, która jest miastem zlaicyzowanym i wielokulturowym. W 1914 r. 24% populacji stanowili luteranie, 25% żydzi, 1% prawosławni, a 50% katolicy. Panował duch ekumenizmu i wzajemnej tolerancji – do budowy katedry katolickiej dokładali się przemysłowcy wyznania zarówno

Kazania Jędraszewskiego stały się barometrem tego, jak polski Kościół brata się z narodowo-prawicowym nurtem politycznym.

predyspozycje, aby być subtelnym kościelnym intelektualistą na miarę ks. Józefa Tischnera czy abp. Józefa Życińskiego. Powiecie, że żarty sobie stroję. Nic z tych rzeczy.

Levinasem karmiony

Jędraszewski jest dobrze wykształcony. Studiował w Rzymie na jezuickim Uniwersytecie Gregoriańskim – to jedna z najlepszych uczelni kościelnych w Europie. Zna kilka języków. Jego praca licencjacka „La filosofia del simbolo religioso di Paul Ricoeur” została wyróżniona złotym medalem Uniwersytetu Gregoriańskiego. Doktorat pisał o filozofii Emmanuela Levinasa – żydowskiego myśliciela, który był jednym z twórców filozofii dialogu, a którego ks. Tischner w Polsce był najwybitniejszym interpretatorem. To od francuskiego filozofa Jędraszewski

by się mogło, intelektualista Jędraszewski, zafascynowany Levinasem i filozofią francuską, przeobraził się w katolickiego siermiężnego radykała, który bez wahania staje na straży najbardziej obskurantckiego myślenia kościelnego?

Żeby zrozumieć intelektualne i duchowe przemiany krakowskiego metropolity, trzeba prześledzić jego kościelną karierę. Bo to ona, a nie przeczytane na studiach książki czy wysłuchane wykłady, warunkuje jego sposób myślenia. Momentem przełomowym w karierze obecnego arcybiskupa była jego praca jako biskupa pomocniczego w Poznaniu. Zaczął ją w 1997 r. Ordynariuszem był wówczas zmarły w ubiegłym roku abp Juliusz Paetz. To pierwszy w Polsce hierarcha, któremu publicznie zarzucono wykorzystywanie seksualne kleryków. Nie chodziło o pedofilię, ale o wykorzystywanie



luterńskiego, jak i żydowskiego. Prężnie działały chrześcijańskie i starozakonne stowarzyszenia dobroczynności. Ewangelickie rodziny Herbstów i Scheiblerów ufundowały pierwszy w Polsce szpital dziecięcy im. Anny Marii, w którym, zgodnie z ich wyraźnym życzeniem, leczono dzieci za darmo, bez względu na wyznawaną religię.

Abp Jędraszewski nie liczy się z tym kontekstem historycznym – z obecnym zresztą także nie. Już wtedy jest na „świętej wojnie”. Dobrymi katolikami są dla niego ci, którzy krzyczą: Bóg, Honor, Ojczyzna, a potem się ją nienawidzić do obcokrajowców czy osób LGBT. Krótko mówiąc, nacjonalisci. Dlatego jedną z pierwszych jego decyzji po objęciu diecezji łódzkiej była likwidacja w 2013 r. Eklezjalnej Drogi Krzyżowej w Wielki Piątek. Droga krzyżowa to wyraz pobożności katolickiej, ale w Łodzi rozpoczynała się pod kościołem luteranckim św. Mateusza i kończyła pod kościołem Jezuitów, zresztą dawnym kościołem ewangelickim św. Jana, zajęty przez obecnych gospodarzy w 1945 r. W uroczystościach uczestniczyli nie tylko katolicy, ale również duchowni innych wyznań: kalwińskiego, baptystycznego i luteranckiego. Biskupowi ta tradycja się nie podobała – postanowił więc ją

zakończyć. Obecna droga krzyżowa ma już jedynie słuszny i czysto katolicki charakter.

Likwidacja Eklezjalnej Drogi Krzyżowej była wstępem do dalszych działań łódzkiego ordynariusza. Abp Jędraszewski wkrótce rozwinął skrzydła jako orator. Jego kazania stały się świetnym barometrem bratania się polskiego Kościoła z narodowo-prawicowym nurtem

Jeśli chce jakąś grupę naznaczyć, mówi, że piętnuje nie ludzi, ale ideologię, która za nimi stoi.

politycznym. Bohatersko walczył z ideologią gender. „Gender to modna ideologia, która przez poprawność polityczną staje się obowiązującą doktryną”, mówił do uczniów szkoły w Pabianicach.

Przestrzegał przed upadkiem cywilizacji białego człowieka: „Mogę sobie łatwo wyobrazić, że za jakiś czas, mam nadzieję, że sam tego nie dożyję, że w roku 2050 nieliczni biali będą pokazywani innym rasom ludzkim – tu, na terenie Europy – tak jak Indianie są pokazywani w Stanach Zjednoczonych w rezerwach. Byli sobie kiedyś tacy ludzie, którzy tu zamieszkiwali, ale przestali istnieć na własne życzenie, ponieważ nie

potrafili uznać tego, kim są od strony biologicznej”.

Gdy w 2015 r. prezydentem został Andrzej Duda, a PiS wygrało później wybory parlamentarne, hierarcha stał się też wyznawcą teorii zamachu smoleńskiego. „Prawda z trudem przebija się przez zasieki kłamstw, które od samego początku były podawane do publicznej wiadomości”, głosił w katedrze w piątą rocznicę katastrofy pod Smoleńskiem.

Łódź jednak to tylko przystanek. Portem jest Kraków. To był szok dla obserwatorów życia kościelnego, że otwarty i życzliwy papież Franciszek mianował abp. Jędraszewskiego metropolitą krakowskim. W mieście, gdzie kardynałami byli tak wybitni kardynałowie jak Sapieha, Wojtyła, Macharski, pojawia się Jędraszewski, nazywany już wtedy duszpasterzem „dobrej zmiany”. Na papieża Franciszka za tę nominację posypały się gromy. Z tym że pokazuje ona nie tyle jego aprobatę dla działań Jędraszewskiego, ile znikome zainteresowanie Polską.

Podczas spotkania z Franciszkiem na Wawelu, gdy papież był w Polsce z okazji Światowych Dni Młodzieży, jednym z polskich biskupów, którzy zadali mu pytanie, był abp Jędraszewski. „Eksceleńco, jakiej diecezji jesteś biskupem?”, zainteresował się papież. To znaczy, że nie miał pojęcia, kim jest ówczesny metropolita łódzki. O stosunku Franciszka

do Polski świadczy jeszcze jedna drobna rzecz. Nie przyjechał na tak hucznie obchodzoną 1050. rocznicę chrztu Mieszka, za to dwa razy polecił, by spotkać się z uchodźcami: rozpoczynając pontyfikat, na Lampedusę, a potem na grecką wyspę Lesbos, skąd zabrał do Watykanu trzy uchodźcze rodziny.

Ekologizm, gender, LGBT

Oczywiście można było przez chwilę żywić nadzieję, że przenosząc się do Krakowa, kolebki „katolicyzmu otwartego”, abp Jędraszewski zmieni sposób widzenia świata. Powróci do myślenia o Kościele, który

► jest dialogiczny, otwarty, przyjazny nowoczesności. Do dziedzictwa Jana Pawła II i Jerzego Turowicza, twórcy „Tygodnika Powszechnego”. Ci, którzy mieli taką nadzieję – także piszący te słowa – szybko zostali sprowadzeni na ziemię. Właśnie w Krakowie abp Jędraszewski pokazał, co znaczy katolicki integralizm. Wybrał wizję o. Tadeusza Rydzyka – Kościoła jako oblężonej twierdzy, Kościoła upolitycznionego i sprzężonego z katolicką prawicą. Tę wizję, którą głosi od lat dyrektor Radia Maryja.

Kim są główni wrogowie abp. Jędraszewskiego, których sam kreuje, a potem dzielnie z nimi walczy? I jakimi metodami to robi? Można ich określić mianem nieświętej trójcy: ekologizm, gender, LGBT. Zaczniemy od końca. Arcybiskup grzmiał podczas, a jakże, kazania w bazylice Mariackiej: „Czerwona zaraza już nie chodzi po naszej ziemi, ale pojawiła się nowa, neomarksistowska, chcąc opanować nasze dusze, serca i umysły. Nie czerwona, ale tęczowa”. Kolejny wróg hierarchii: ekolo-

gizm. Twierdzi, że nie atakuje osób homoseksualnych, nazywając je „tęczową zarazą”. On tylko atakuje ideologię LGBT. Czyli działał tak: jeśli abp Jędraszewski chce jakąś grupę naznaczyć – ekologów czy osoby LGBT – mówi, że nie piętnuje ludzi, których szanuje, ale ideologię, która stoi np. za ekologią, czyli ekologizmem. Ten zmyślny chwyt pozwala mu odpierać wszelkie zarzuty o nienawiść czy pogardę wobec innych.

Do dziś abp Jędraszewski nie wytłumaczył się ze swojej roli w maskowaniu win abp. Paetza.

gety. Twierdzi, że nie atakuje osób homoseksualnych, nazywając je „tęczową zarazą”. On tylko atakuje ideologię LGBT. Czyli działał tak: jeśli abp Jędraszewski chce jakąś grupę naznaczyć – ekologów czy osoby LGBT – mówi, że nie piętnuje ludzi, których szanuje, ale ideologię, która stoi np. za ekologią, czyli ekologizmem. Ten zmyślny chwyt pozwala mu odpierać wszelkie zarzuty o nienawiść czy pogardę wobec innych.

kuria poinformowała, że zwolniono tylko... niezamężne matki.

Do kolekcji afrontów dodajmy też inne wydarzenie. W Krakowie jest tradycja, że na Rynku Głównym odbywa się największa w Polsce wigilia dla bezdomnych i potrzebujących. Nie powinno na niej zabraknąć lokatora Franciszkańskiej 3. Przy okazji ostatniego spotkania

jednak go zabrakło. Jak tłumaczyła potem kuria, nie otrzymał zaproszenia. Wyjaśnienie kurii kłóci się z tym, co mówi restaurator i organizator wydarzenia Jan Kościuszko: „Jak co roku zapraszaliśmy. Ja tego nie skomentuję”. Ale nawet gdyby do kurii nie trafiło zaproszenie, gdyby jakimś cudem ktoś w tym szale przygotowań zapomniał iść na Franciszkańską 3, by prosić usilnie i pokornie abp. Jędraszewskiego, aby zaszczycił spotkanie wigilijne swoją obecnością, to ten najwyczajniej w świecie powinien na tym spotkaniu się pojawić.

Hierarcha stał się wyznawcą teorii zamachu smoleńskiego.

gizm. Dlaczego jest groźny? Bo, jak głosi Jędraszewski, próbuje się go „narzucać jako obowiązującą doktrynę. I to już jest bardzo niebezpieczne”. Hierarchę przeraża to, że ta aktywistka, mowa o 16-letniej Grecie Thunberg, staje się „wyrocznią dla wszystkich sił politycznych i społecznych”. Mówi, co należy myśleć i jak postępować. I gender – w liście na tegoroczny Wielki Post w jednym akapicie abp Jędraszewski zawarł wszystkie trzy plagi, które zagrażają cywilizacji życia i Kościołowi. Píše do wiernych: „Jak ideologia ekologizmu pomniejsza wartość człowieka i, odwracając porządek rzeczy, za najważniejszą wartość uznaje samą Ziemię, tak z kolei inne ideologie – ideologia gender i związana z nią ideologia LGBT – stawiają człowieka ponad wszystko, także ponad porządek naturalny, przynajmniej »prawo« do wyboru własnej tożsamości płciowej, bez względu na tożsamość biologiczną, z jaką przychodzi on na świat”.

Przyzwoci ludzie, tak z prawa, jak i z lewa, wzywają arcybiskupa do

Tyle że idąc tym tropem, można kreować kolejnych wrogów, a potem ich piętnować i nic sobie nie robić z oskarżeń o rasizm i faszyzm. Szacunek dla drugiego człowieka – tak, ale ideologia szacunku dla innego – nie. Tolerancja – tak, ale ideologia tolerancji – już nie.

Można by prowadzić z abp. Jędraszewskim takie jałowe dyskusje, gdyby nie jego czyny, decyzje i zachowania. Te potwierdzają jednoznacznie, że szacunek, godność

Jaka pedofilia?

Jest jeszcze jeden drobny, ale z punktu widzenia kościelnej praktyki ważny szczegół w karierze metropolity krakowskiego. Do zwieńczenia kariery brakuje mu kapelusza kardynalskiego, który – z tradycji, ale nie prawa – jest przypisany do krakowskiej archidiecezji. Kraków ma wprowadzić kardynała, ale emerytowanego. To koszt relukwii Jana Pawła II, kard. Stanisław Dziwisz.

Krytycy porównują jego język do nazistowskich nagonek.

i tolerancja to dla niego puste słowa. Jeszcze nie opadł kurz po słowach o „tęczowej zarazie”, a Jędraszewski zwolnił kobiety pracujące w krakowskiej kurii. Panie tworzyły zespół medialny wiernych i oddanych aż do bólu pracownic. Arcybiskup w ramach praktykowania „katolickiej nauki społecznej” pozbawił je pracy i środków na utrzymanie dzieci. W odpowiedzi na krytykę

Nie jest jednak żadną tajemnicą, że abp Jędraszewski nie pała miłością do kard. Dziwisza. Tę szorstką kapłańską przyjaźń widać doskonale dziś, gdy o molestowanie seksualne został oskarżony biskup pomocniczy Krakowa Jan Szkołodź, przyjaciel Dziwisza. Emerytowany kardynał nawet ujął się za swoim druhem w kapłaństwie, budząc powszechne oburzenie. Jak zakłęty milczy za to

abp Jędraszewski. To dziwne, tym bardziej że zazwyczaj odiera on oskarżenia o molestowanie dzieci przez księży lub demonstracyjnie je banalizuje.

Tak było, gdy w minionym roku odbywało się w Rzymie sympozjum poświęcone reakcji Kościoła na kryzys związany z wykorzystywaniem dzieci przez księży. Nasz arcybiskup nie został na nim do końca, bo wcześniej miał zaplanowaną pielgrzymkę do Lourdes. Problem pedofilii dostrzega, ale często go bagatelizuje i – jak na kogoś, kto nie lubi postmodernizmu – relatywizuje: „Robi się z Kościoła, a właściwie z duchownych, osoby, które są jedynie odpowiedzialne za ten odrażający proceder, tymczasem w skali, jeśli chodzi o Kościół, jest to bardzo mała liczba osób winnych, duchownych winnych pedofilii”.

Dziś abp Jędraszewski ma 71 lat i zgodnie z prawem kanonicznym za cztery lata powinien przejść na emeryturę. Gdyby w tym czasie otrzymał kapelusz kardynalski, znaczyłoby to, że brałby udział w wyborze następcy papieża Franciszka. Gdyby kardynałem nie został, byłby to dla niego policzek. Czy jednak Franciszek zdecyduje się wynieść do godności kardynalskiej człowieka, który zarówno w sposobie myślenia, jak i w działaniu jest zaprzeczeniem tego wszystkiego, co głosi i czyni obecny biskup Rzymu?

W jednym z kazań abp Marek Jędraszewski mówił: „Musimy tworzyć w sobie i wokół siebie cywilizację prawdy i miłości. To wielkie zadanie, jakie stoi przed nami, przed Kościołem w Polsce, przed Polską”. Metropolita krakowski ma wielki dar, ale tworzenia w sobie i wokół siebie urojonych wrogów, których potem z pasją atakuje i tępi.

Tak się składa, że ci wrogowie – feministki, ekolodzy, osoby LGBT – to również wrogowie pisowskiego rządu. Gdyby nie koloratka i sutanna, abp Jędraszewski mógłby spokojnie być jednym z najzagorzalszych propagatorów i obrońców „dobrej zmiany”. Problem jednak polega na tym, że jest biskupem, twarzą polskiego Kościoła, jego słowa i czyny sprawiają, że wielu ludzi zwraca Kościołowi bilet.

Jarosław Makowski



Duda z Kościołem, Kościół z Dudą

W Polsce nie ma wiary. Jest religia, i to tylko obrzędowa. Doskonale scharakteryzował to o. Ludwik Wiśniewski: wprowadziliśmy w naszą religijność element, który ją rozsadza od środka – wrogość. Nie tylko jesteśmy nią zarażeni, ale wręcz przyzwyczailiśmy się do niej, stała się do pewnego

stopnia naszym znakiem rozpoznawczym. „Można więc pluć, drwić i deptać ludzi, można bezpodstawnie oskarżać ich o niegodziwość, a nawet zbrodnie, i równocześnie powoływać się na Ewangelię, stroić się w piórka obrońcy chrześcijańskich wartości i Kościoła, odbywać pielgrzymki na Jasną Górę, składać świątobliwie ręce do modlitwy i ukazywać w mediach rozmodloną twarz”.

Anna Guzowska



Kto wyznaczył wschodnią granicę Polski

W artykule Krzysztofa Wasilewskiego dotyczącym ustalenia zachodniej granicy Polski „Churchill: chcecie za dużo” (PRZEGŁĄD nr 26) znalazło się stwierdzenie: „Granica wschodnia została bowiem już dawno wyznaczona przez ZSRR”. Otóż



przebieg powojennych granic Polski, w tym granicy wschodniej, zaproponował Winston Churchill podczas konferencji w Teheranie w 1943 r. W przedostatnim dniu konferencji na dużym arkuszu papieru pakowego przedstawił zarys powojennych granic Polski, z granicą wschodnią biegnącą wzdłuż tzw. linii Curzona. Stalin obejrzał mapę i stwierdził, że Związek Radziecki w zasadzie akceptuje te propozycje, z zastrzeżeniem, że w pewnym miejscu wschodnia granica skręci ku zachodowi, aby Królewiec znalazł się w Związku Radzieckim jako jedyny niezamarzający port w tej części Bałtyku, co jest ważne z punktu widzenia powojennej równowagi sił w Europie. Churchill odpowiedział, że jeżeli to są jedyne uwagi marszałka Stalina, on jest bardzo szczęśliwy. Potwierdzeniem tego, że Churchill jako pierwszy określił powojenną wschodnią granicę Polski, są słowa prezydenta Roosevelta w rozmowie

z premierem Mikołajczykiem podczas jego wizyty w USA w czerwcu 1944 r. Cytuje za Janem M. Ciechanowskim („Powstanie warszawskie. Zarys podłoża politycznego i dyplomatycznego”): „Roosevelt upewniał Mikołajczyka, że ani on sam, ani Stalin nie wysunęli linii Curzona jako granicy pomiędzy Polską a Związkiem Sowieckim. To Churchill [w Teheranie] ją zaproponował, a Stalin oczywiście natychmiast ją podchwycił i zaakceptował”. Z zaakceptował, a nie wyznaczył.

Krzysztof Pykosz, Swarzędz

Od redakcji: Autor użył tu pewnego skrótu myślowego. Tak na dobrą sprawę granica była wyznaczona w 1941 r., a nawet w 1939 r. To dlatego opozycja chciała wyrzucić Sikorskiego już w 1940 r. za to, że nie stał on twardo na gruncie granic sprzed wojny. W układzie Sikorski-Majski też nie ma nic o nienaruszalności granic II RP.



Quo vadis, polski dziennikarzu?

III/IV RP już dawno przegrała z PRL konkurencję w wielu dziedzinach, a teraz zaczyna przegrywać nawet w tym, w czym Polska Ludowa była niewątpliwie ułomna – w wolności słowa. Oto, do czego doszliśmy: „Dziennikarzowi nierzadko trudno zadbać o prawdę, ten podstawowy wymóg etyczny, gdy za plecami czuje oddech rynku, gdy liczą się słupki czytelnictwa, oglądalności, słuchalności, cytawalności. »Jeśli puścisz to w takim kształcie, już tu nie pracujesz«, słyszy czasem od szefa, wydawcy, redaktora naczelnego”, pisze Beata Igielska w PRZEGŁĄDZIE nr 30. PRLowska cenzura groziła twórcom poszatkowaniem jego dzieła, w najgorszym razie wstrzymywała jego publikację (i też do czasu). Ale nie groziła twórcy wyrzuceniem z pracy! Mało tego, cenzorzy niejednokrotnie sami sugerowali zmiany, które sprawiały, że dzieło trafiało do publikacji i jeszcze zyskiwało na wartości. No i cenzura była jedną z barier, które uniemożliwiały dostanie się do obiegu publicznego utworów po prostu słabych czy wręcz wulgarnych i prymitywnych. Po 1989 r. przyszła tzw. wolność i polski język, pozbawiony ochrony, został splugawiony, sponiewierany jak nigdy w swojej historii. Jak śpiewał nieodżałowany Edward Dziewoński: „Co by tu jeszcze spieprzyć, panowie?”.



Radostaw



Zniszczony silos zbożowy
w porcie bejruckim.

Bejrutszima

Jakub Katulski

Jeszcze przed
wybuchem w porcie
Libanowi groziła
klęska głodu

We wtorkowe popołudnie cały świat obiegły dramatyczne nagrania z Bejrutu, na których widać eksplozję przypominającą wybuch bomby jądrowej. Od początku było wiadomo, że doszło do potężnej katastrofy, lecz skali zniszczeń jeszcze nie znano. Kolejne doniesienia międzynarodowych agencji prasowych i libańskich instytucji ukazywały prawdziwy obraz tragedii. W mediach społecznościowych katastrofę nazwano Bejrutszimą. Eksplozja magazynu portowego nr 12 ujawniła jednak znacznie głębsze problemy, z którymi od lat boryka się Liban.

Liczba ofiar eksplozji przekroczyła już 150, ponad 5 tys. osób zostało rannych. Wybuch w porcie znajdującym się niemal w centrum stolicy był tak potężny, że wywołał trzęsienie ziemi o sile 3,5 st. w skali Richtera, odczuwalne na oddalonym



W wybuchu rannych zostało
kilkę tysięcy osób.

o 240 km Cyprze. Budynki portowe i te w najbliższej okolicy zostały dosłownie zrównane z ziemią. Dach nad głową straciło ok. 300 tys. osób. Część domów od razu się zawaliła, inne są niedostępne, dopóki służby nie upewnią się, że ich konstrukcja jest stabilna.

W Bejrucie ogłoszono dwutygodniowy stan wyjątkowy, bezpieczeństwa w mieście będzie pilnowało wojsko. Władze zapowiedziały, że nie spoczną, póki winni nie zostaną pociągnięci do odpowiedzialności. Oskarżenia kierowane są w stronę celników i zarządcy portu. CNN ujawniła, że już w 2013 r. do bejruckiego portu zawinął rosyjski statek z ładunkiem 2750 ton azotanu amonu. Jednostka miała płynąć do Mozambiku, ale ze względu na kłopoty finansowe armatora utknęła w Libanie. Choć libańskie władze nie potwierdziły jednoznacznie, że właśnie z tego statku pochodziła substancja, która wybuchła, premier Hassan Diab przyznał, że do eksplozji doszło w magazynie, w którym od lat składowano azotan amonu. Zdaniem premiera w ogóle nie przestrzegano tam zasad bezpieczeństwa.

Jednak zaniedbania, o których mówi Hassan Diab, nie wzięły się z niczego. Kraj pogrążony jest w zasadzie w permanentnym kryzysie. W raporcie Transparency International z października 2019 r. ujawniono, że korupcja sięga niemal wszystkich dziedzin życia – ponad 40% osób korzystających z usług publicznych musiało w ciągu poprzedniego roku wręczyć łapówkę urzędnikom. PKB był rekordowo niski, a jednocześnie stale rósł dług państwa.

Aby poprawić sytuację, rząd byłego premiera Sada al-Haririego zaproponował program ratunkowy, który zakładał obcięcie wydatków publicznych i wprowadzenie nowych podatków. Zwiększonemu opodatkowaniu podlegać miały paliwa, tytoń, a także komunikatory internetowe korzystające z protokołu VoIP, czyli tzw. telefonia internetowa. Doprowadziło to do wybuchu protestów, które szybko przerodziły się w demonstracje przeciw całemu libańskiemu systemowi. Rząd wycofał się z proponowanych rozwiązań, ale nie uspokoiło to obywateli, którzy domagali się m.in. uporania się z korupcją i wysokim bezrobociem oraz stawianiem interesu własnej grupy religijnej lub społecznej ponad interesem kraju. W grudniu al-Hariri złożył rezygnację i wezwał prezydenta Michela Aouna do wyznaczenia nowej osoby na to stanowisko.

Protesty przyczyniły po wybuchu pandemii COVID-19, zwłaszcza że na początku marca premier Diab oznajmił, że kraj jest zbyt zadłużony, by zadbać o chorujących obywateli. W połowie marca rząd wprowadził stan wyjątkowy, co niemal całkowicie zatrzymało gospodarkę. W efekcie znacząco wzrosły ceny żywności i innych towarów pierwszej potrzeby. Jeszcze przed wybuchem w porcie Libanowi groziła klęska głodu. Często nawet sklepy nie mogły nabyć produktów spożywczych. Minister gospodarki w lipcu ostrzegł, że do końca roku ponad połowa Libańczyków może już żyć w skrajnym ubóstwie. Dzisiaj wydaje się to nawet bardziej prawdopodobne, gdyż kraj importował aż 80% zboża, a w bejruckim porcie w gruzach leży główny silos zbożowy. Dopóki nie uda się odbudować portu i stworzyć nowych możliwości produkowania żywności, Liban będzie uzależniony od zagranicznej pomocy humanitarnej. Najprawdopodobniej jednak sytuacja szybko się nie poprawi. ■



Tysiące budynków zostało całkowicie zniszczonych.



Budynki, które ocalały, muszą być sprawdzone pod kątem bezpieczeństwa.



Skala zniszczeń po wybuchu jest ogromna.

Antyrządowy protest
w Sofii, 15 lipca 2020 r.



Bułgarzy wyszli na ulice

Ponad 30% europejskich funduszy, które trafiają do Sofii, jest rozkradanych

Łukasz Grzesiczak

Już miesiąc Bułgarzy protestują na ulicach. Chcą, by premier Bojko Borisow podał się do dymisji, i żądają przedterminowych wyborów. Oskarżają rząd o kontakty z mafią, zarzucają mu, że nie walczy z korupcją i traktuje państwo jak własny folwark. W manifestacjach w całym kraju bierze udział nawet kilkadziesiąt tysięcy osób. Jednak Unia Europejska zajęta jest swoimi problemami i niewiele robi z tym, że ponad 30% europejskich funduszy, które trafiają do Sofii, zostaje rozkradzionych.

Dwa lata minęły od zabójstwa słowackiego dziennikarza Jána Kuciaka i jego narzeczonej, archeolożki Martinny Kušnírovej, co stało się impulsem do zmian politycznych na Słowacji. Ludzie wyszli na ulice w największych protestach od czasów aksamitnej rewolucji. Kiedy niedługo po śmierci Kuciaka zamordowano w Bułgarii dziennikarkę Wiktorię Marinową,

która w jednym z ostatnich programów zajmowała się kwestią korupcji, nikt nie protestował. Bułgaria jest najbiedniejszym i najbardziej skorumpowanym krajem Unii – z opublikowanego w 2019 r. raportu Ośrodka Badań nad Demokracją w Sofii wynika, że w przypadku przynajmniej 35% zamówień publicznych dochodzi do praktyk łapówkarskich. Mimo to Bułgarzy szybko uwierzyli, że Marinowa padła ofiarą przestępcy seksualnego.

Bułgaria jest najbiedniejszym i najbardziej skorumpowanym krajem Unii Europejskiej.

Na swoją iskrę Bułgaria czekała jeszcze dwa lata. Ta historia rozegrała się na plaży niedaleko Burgas i nie wiadomo, czy ma związek z tym, że dochody z sektora turystycznego stanowią aż 13% bułgarskiej gospodarki, a zatrudnienie znajduje w nim 11% wszystkich pracujących Bułgarów. Lider antykorupcyjnej partii Tak Bułgaria Christo Iwanow przypląnął

na plażę, którą zagarnął Achmed Dogan, oligarcha i jeden z najbardziej wpływowych polityków partii Turków bułgarskich. Warto wiedzieć, że zgodnie z bułgarskim prawem plaże są ogólnodostępnymi miejscami publicznymi. Jak Achmed Dogan stał się prywatnym właścicielem jednej z nich? Nie wiadomo. Podobnie jak trudno wytłumaczyć, dlaczego ochraniają go oficerowie bułgarskiego odpowiednika Służby Ochrony Państwa. Ci siłą wyrzucili Iwanowa. I tak na skąpanej w stońcu plaży zaczęły się polityczne problemy premiera Borisowa.

Następnego dnia prezydent Rumien Radew, który jest najpoważniejszym oponentem Borisowa i zdobył stanowisko głowy państwa z poparciem opozycyjnej Bułgarskiej Partii Socjalistycznej, zażądał wyjaśnienia

tej sprawy, a później dymisji rządu i prokuratora generalnego. W odpowiedzi uzbrojeni funkcjonariusze wkroczyli do biura prezydenta. Jego współpracownicy zostali zatrzymani i przesłuchani, a ich biura przeszukane.

Właśnie wtedy Bułgarzy wreszcie wyszli na ulice pod hasłem „W obronie demokracji”. Oskarżyli

rząd o konszachty z mafią, zarzucili mu brak walki z korupcją i ograniczanie swobody wypowiedzi, zażądali jego dymisji i przedterminowych wyborów. Chcą również zmian w konstytucji ograniczających uprawnienia prokuratora generalnego. Popierający demonstrantów prezydent komentuje: „Złość w ludziach narastała przez lata, dlatego nie może zostać dziś powstrzymana siłą i strachem”. W podobnych słowach do sytuacji odnosi się Wesela Czernewa z unijnego think tanku European Council on Foreign Relations, z oddziału w Sofii: „Wszystkie wydarzenia ostatnich miesięcy powodowały, że wśród ludzi narastało poczucie braku sprawiedliwości. Bułgarzy są wściekli, bo teraz już wiedzą, że oligarchia ma w ich państwie większą władzę, niż kto-

komentuje Czernewa. Wśród protestujących dominują studenci, artyści i młode osoby pracujące. Domagają się gruntownych reform – twierdzą, że żadna z większych partii nie wprowadzi decydujących zmian, bo wszystkie tworzone są przez spadkobierców systemu komunistycznego. Liczą na małe, młode partie, takie jak Demokratyczna Bułgaria. To powstała w 2018 r. koalicja proeuropejskich ugrupowań, której częścią jest m.in. Tak Bułgaria Iwanowa.

29 lipca, po trzech tygodniach od początku demonstracji, ogromna fala manifestacji przetoczyła się przez całą Bułgarię. Tłumy z bułgarskimi flagami zebrały się przed siedzibą rządu, śpiewając hymn narodowy.

Demonstranci mówią wprost, że nie wierzą, by Borisow ich posłuchał.

Bułgarzy już wiedzą, że oligarchia ma w ich państwie większą władzę, niż ktokolwiek myślał.

kolwiek sobie wcześniej wyobrażał, a prokurator generalny zachowuje się bardziej jak polityk niż jak obrońca interesu publicznego”.

W Sofii demonstrowały dotychczas tysiące osób, niektóre części miasta – jak most Orłów, popularne miejsce manifestacji – zostały zablokowane. Demonstranci dniami i nocą koczują na placach i ulicach w pobliżu siedziby rządu, co całkowicie sparaliżowało komunikację miejską. Zablokowany został też odcinek autostrady E-79 w pobliżu Błagojewgradu. 12 lipca doszło do starć z policją, w wyniku których rannych zostało dwóch demonstrantów i czterech policjantów, a 18 protestujących aresztowano. Manifestanci zebrawali się pod budynkiem MSW, domagając się rezygnacji ministra Mładena Marinowa, odpowiedzialnego ich zdaniem za brutalną akcję funkcjonariuszy.

A trwające już od miesiąca protesty nie słabną. Nie skończyły się, po tym jak 15 lipca premier Borisow odwołał kilku ministrów (w tym wspomnianego ministra spraw wewnętrznych). Wiadomość przyjęto z entuzjazmem, ale już następnego dnia na ulice znów wyległo ponad 18 tys. ludzi, domagając się rezygnacji premiera.

„Sądząc po poziomie gniewu, wielu młodych ludzi nie zadowolilo się kosmetycznymi poprawkami”,

I rzeczywiście, premier odmówił podania się do dymisji, twierdząc, że w dobie kryzysu pandemicznego państwo potrzebuje stabilizacji. Oczywiście największe protesty odbywają się w Sofii, ale dochodzi do nich i poza stolicą, m.in. w miastach Płowdiw, Wielkie Tyrnowo czy Stara Zagora. Według manifestantów na ulicach siedmiomilionowego kraju protestuje prawie 100 tys. osób, ale niektóre źródła mówią o 20-30 tys.

Dlaczego właśnie teraz w Bułgarii jest tak gorąco? „W kraju mamy specyficzny czas. W ludziach wzrasta

powiązaniami polityków ze światem oligarchii oraz polityków z przestępczością zorganizowaną: „Premier Borisow, nawet jeśli nie stoi na szczycie korupcyjnego układu polityczno-biznesowego, to nie tylko go toleruje, ale jeszcze zapewnia mu ochronę. Można zaryzykować stwierdzenie, że jest głównym rozdającym karty”. Zdaniem eksperta protesty na ulicach Bułgarii są widoczne, ale ich skali nie można porównać choćby z rumuńskimi demonstracjami przeciw korupcji i zmianom prawa antykorupcyjnego za czasów premiera Sorina Grindeanu w 2017 r. „Wtedy na ulice rumuńskich miast wyszło nawet 800 tys. osób. Przy tym – nawet biorąc pod uwagę różnicę demograficzną między oboma państwami – bułgarskie protesty wyglądają skromnie. Można zaryzykować tezę, że nie osiągają nawet skali manifestacji z 2013 r., kiedy pierwszy rząd Borisowa został zmuszony do dymisji. Wtedy Bułgarzy protestowali ze względu na podwyżkę cen prądu”, przypomina Pieńkowski.

Bułgarskie władze zdaniem eksperta zachowują się dosyć wstrzemięźliwie wobec protestujących, nie ma prób brutalnej pacyfikacji. „Być może nauczyły się czegoś doświadczenia rumuńskie. Kiedy tam władza wysłała żandarmerię do brutalnej pacyfikacji, protesty zyskały na sile. Wszystko wskazuje, że władze grają na przeczekanie. W Sofii protestujący zablokowali kilka skrzyżowań, ludzie postawili namioty. Próby zablokowania autostrady do Grecji skończyły się niepowodzeniem. Bułgarska policja

Premier zapewnia względną stabilność. Jak na warunki bułgarskie jest proeuropejski i umiarkowanie proamerykański.

frustracja, niezadowolenie i zniecierpliwienie związane z ograniczeniami wynikającymi z walki z koronawirusem”, mówi Jakub Pieńkowski, ekspert z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. Jego zdaniem sprawy zabójstwa Wiktorii Marinowej nie można porównywać z zabójstwem Jána Kuciaka: „Wiarygodny proces karny potwierdził, że Wiktorii Marinowa padła ofiarą przestępstwa seksualnego. Jej zabójstwo było czynem typowo kryminalnym, bez związku z jej pracą dziennikarską”.

Pieńkowski podkreśla, że Bułgaria nie chce walczyć z korupcją,

powstrzymała je bez specjalnych szarpanin. Jest połowa wakacji, władze liczą, że ludzie w upale zmęczeni protestem i może się rozejść”.

„Borisow uciekł do przodu, dymisjonując czterech ministrów. Jednak był to wynik nacisku nie ulicy, ale dotów partyjnych. Nie myśli o rezygnacji z fotelu premiera. Obronił się też w parlamencie, opozycja nie zebrała dostatecznego poparcia, by odwołać go z funkcji premiera”, zwraca uwagę Pieńkowski. I dodaje, że sytuację polityczną w Bułgarii komplikuje także kalendarz wyborczy: „Planowo wybory parlamentarne

► powinny się odbyć wiosną 2021 r. Rząd posługuje się argumentem, że nie warto uruchamiać procedury rozwiązania parlamentu i rozpisywania nowych wyborów, które i tak odbyłyby się ledwie kilka miesięcy przed terminem konstytucyjnym”.

Borisowa popiera nie tylko jego partia, ale i koalicjanci. Premier może też liczyć na poparcie Ruchu na rzecz Praw i Wolności, na czele którego *de facto* stoi oligarcha Achmed Dogan. Partia – oficjalnie reprezentacja polityczna bułgarskich Turków – kilka lat temu została sprywatyzowana przez oligarchów. Jej członkiem jest także magnat medialny Delan Peevski, który kontroluje 80% rynku mediów w Bułgarii i na którego rząd też może liczyć. Opozycja nie ma siły, by zmusić premiera do ustąpienia, a prezydent nie ma takich uprawnień.

Protestujący nie mają jednolitego kierownictwa. To eklektyczna grupa, która skupia niezadowolonych. Nie wszyscy popierają radykalizację protestów. Były propozycje strajków okupacyjnych w instytucjach rządowych, nieudane próby blokady dróg. Jakub Pieńkowski zwraca uwagę na brak alternatywy politycznej w Bułgarii. „Kto ma zastąpić Borisowa? Bułgarska Partia Socjalistyczna, czyli główna partia opozycyjna, która poparła także prezydenta, jest jeszcze bardziej oligarchiczna niż Obywatele na rzecz Europejskiego Rozwoju Bułgarii (GERB) Borisowa.

Doświadczenia z 2013 r. przypominają, że kiedy pierwszy rząd Borisowa odszedł, polityk po kilkunastu miesiącach rządów BPS wrócił do władzy. Socjaliści okazali się jeszcze gorsi. Kiedy w 2016 r. kandydatka GERB Cecka Caczewa przegrała wybory prezydenckie z Rumenem Radewem, Borisow obraził się na naród i podał do dymisji. Kiedy rozpisano przedterminowe wybory, znów wygrał i po raz trzeci został premierem. Trudno wyobrazić sobie przywódcę politycznego, który mógłby odsunąć GERB od władzy”, uważa ekspert PISM.

Kim jest Borisow? To specyficzny typ lidera. Były funkcjonariusz straży

pogroży się w chaosie. Koniec końców intencją Borisowa nie jest tak naprawdę oddanie władzy”, uważa Jakub Pieńkowski.

Dlaczego Unia Europejska zdaje się słabo zainteresowana sytuacją polityczną w Bułgarii? „Bułgaria bezpośrednio graniczy z Turcją. W przypadku ponownego wybuchu kryzysu migracyjnego będzie tym krajem, który w pierwszej kolejności zostanie zmuszony do zmagania się z ewentualną nową falą uchodźców”, wyjaśnia Pieńkowski. Istotne są też relacje bułgarsko-rosyjskie. „Bułgaria patrzy na Rosję zupełnie inaczej niż Polacy. W bułgarskiej historiografii

Borisow potrafi budować wizerunek silnego i odpowiedzialnego przywódcy.

pożarnej i policji ma wizerunek silnego człowieka wywodzącego się z ludu. „To w Bułgarii – może poza Sofią zamieszkaną przez ludzi o poglądach bardziej liberalnych i prodemokratycznych – się podoba. Ludzie są niezadowoleni z korupcji i złodziejstwa, ale Borisow skutecznie potrafi budować obraz silnego i odpowiedzialnego przywódcy. Bułgaria jest ciągle najbardziej skorumpowanym krajem Unii, ale premierowi udało się zapewnić stabilizację makroekonomiczną. Jest biednie, ale stabilnie”, przypomina Pieńkowski. Dowodem na sukces polityki makroekonomicznej rządów Borisowa może być wstąpienie Bułgarii w lipcu do ERM II, czyli poczekalni strefy euro.

W minioną środę Borisow podczas kongresu GERB niespodziewanie powiedział, że jest gotów ustąpić z funkcji premiera, ale chce, by koalicja GERB i Zjednoczeni Patriotci dotrwała do wyborów. „Prawdopodobnie to próba zmanifestowania, że z jednej strony Borisow przekłada dobro kraju i wolę ludu ponad osobiste ambicje, więc jest prawdziwym mężem stanu. Z drugiej jest to obliczone na podzielenie opozycji i protestujących. Chodzi o to, aby się pokłócili, czy wystarczy, by odszedł Borisow, czy ma dojść do przedterminowych wyborów. Przedterminowe wybory oznaczają rozwiązanie parlamentu, a bez niego w czasie pandemii władze nie będą mogły stanowić prawa i kraj

Rosja pomogła w wyzwoleniu kraju w XIX w. spod władzy osmańskiej. Pamięć o wspólnej walce jest żywa, podobnie jak nastroje rusofilskie i panslawistyczne. Ponadto Bułgaria to kraj prawosławny. Rosjan i Bułgarów łączy także alfabet i język. W odrodzonym w XIX w. języku bułgarskim sporo jest rosyjskich zapożyczeń, Bułgarzy i Rosjanie potrafią się porozumieć bez większego trudu. Do Bułgarii przyjeżdża dużo rosyjskich turystów”, wylicza ekspert.

Jeżeli nie Borisow, to kto? Dziś jedyną realną alternatywą byłaby otwarcie prorosyjska BPS. Wygląda na to, że liderzy UE postawili na mniejsze zło. Borisow zapewnia względną stabilność. Jak na warunki bułgarskie jest – przynajmniej deklaracyjnie – proeuropejski i umiarkowanie proamerykański – uważa Pieńkowski.

Co możemy zaoferować Bułgarii, by zmusić jej klasę polityczną i społeczeństwo do większego wysiłku i walki z korupcją? Zdaniem Pieńkowskiego długo taką zachętą była kwestia przyjęcia do strefy Schengen. Ani Rumunia, ani Bułgaria, które są obecnie poza strefą, nie mają w najbliższym czasie szansy na zmianę tego stanu rzeczy. Dziś nie ma woli politycznej do rozszerzenia strefy Schengen. Blokują to Holandia i Austria. Żyjemy w czasach, kiedy po kryzysie migracyjnym społeczeństwa raczej się zamykają, a nie otwierają.

Lukasz Grzesiczak

Gdzie się podział wyłowiony z Bałtyku iperyt?

Odpowiedź w najnowszym numerze tygodnika „NIE”.



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Natrafiam na takie tytuły, podtytuły, podpowiedzi do tytułów prasowych. Głównie dotyczy to najrozmaitszych konstruktów propagandowych, pseudoteoretycznych, tez pojawiających się gdzieś na obrzeżach świata mediów i internetu (na końcu internetu). Przykład pierwszy z brzegu – Adam Leszczyński w portalu OKO.press w tekście „Intelektualiści prawicy o LGBT: nihilizm, bolszewizm, hitleryzm. O co chodzi? Tłumaczymy ten obłęd” pisze: „Dyżurni intelektualniści prawicy w natarciu po wywieszeniu tęczyowych flag na pomnikach. Mówią o »ideologii LGBT« i porównują ją do nihilizmu,

straży poprawności myślenia funkcjonują kotwice instrumentów wypracowanych przez naukę, teorię dyskusji i prowadzenie debaty, zgoda co do podstawowych faktów. Jeśli na tym polu ponosi się nieustanne i nieuchronne klęski, powstaje pokusa (w dzisiejszej Polsce często realizowana) zbudowania alternatywnej rzeczywistości i teorii ją objaśniającej, gdzie dotychczasowy przeciwnik, adwersarz i interlokutor jest bezradny ze swoim pakietem racjonalnego instrumentarium. Oczywiście w tym prawicowym pakiecie irracjonalności mamy też sporą dawkę ignorancji, braku wiedzy i złej woli.

gie. / Myślę, że robią bardzo źle, / Bo upajają się pozorem. Sami są tylko meteorem / I lata ich czekają długie, / Gdy ich obrać będą pługiem, / I dużo wody minie w Wiśle, / Nim o nich znowu ktoś gdzieś piśnie. / Bynajmniej tobie nie doradzam, / Ażebyś w komitywie chadzał / Z tymi, co są jak ślepe krety / W jaskrawym wieku pełnym krzepy. / Chcieliby w swojej żyć parafii, / W ogródkach siedzieć malw i szalwii / I czasem w amarantach wojsko / Widzieć jadące drogą polską. / Chcieliby, żeby kołowrotki / Furczały w takt prapolskiej zwrotki / I żeby u nas było sielsko / (Jak choćby nad Zatoką Perską). /

Tłumaczymy ten obłęd

bolszewizmu, hitleryzmu, a swoją homofobię – do Bitwy Warszawskiej 1920 r. Za porównaniami bez sensu kryje się strach. Tłumaczymy ich histerię”.

Czyli jednak strach i histerię „tłumaczymy”, próbujemy zrozumieć, zagłębiać się w odmęty pozornie intelektualnych wywodów. Nie trzeba przekonywać, że zaprzęganie do poważnej nawet publicystyki analizy zachowań i wypowiedzi tłumaczonych językiem chorób umysłowych (a tym wszakże jest obłęd) jest stąpaniem po cienkiej linii w ciemnym korytarzu. Osoby cierpiące na takie zaburzenia nie biorą udziału w debatach filozoficznych, w których przekonujemy się do wykluczających się czy antagonistycznych racji. Osobom takim staramy się pomóc w inny sposób. Moment urwania się z racjonalnej więzi argumentacyjnej, często poprawnie obudowany logicznie, jest trudny do uchwycenia, wystarczy jeden wymyk i wędrujemy ścieżkami absurdu. Ale czy w przypadku prawicowej aktywności umysłowej mamy naprawdę do czynienia z takim odłodem, czy jest to raczej koncepcja, na chłodno skonstruowana taktyka, zamysł i zimny, bezgraniczny cynizm?

Jest to po prostu rejterada z pola walki i sporu, gdzie obowiązują reguły, zasady weryfikacji faktów, gdzie nie ma absolutnej dowolności interpretacyjnej, gdyż na

Z tych wszystkich powodów i z każdego z osobna ostatnią metodą, żeby temu się przeciwstawić, jest debatowanie na „starych” zasadach. Te paradygmaty są jak proste równoległe – nigdy się nie przecinają i nie mają punktu wspólnego. Nie dzieje się tak jednak przez błąd w myśleniu, chwilową pomyłkę czy niedoinformowanie. To polityczny zamysł. Bo jak onegdaj powiedział klasyk, mistrz politycznej manipulacji i człowiek pozbawiony jakichkolwiek hamulców etycznych w swoim działaniu, Jacek Kurski: „Ciemny lud to kupi”. Tradycyjnie więc na manowce sprowadza zwykłych ludzi elita, która sufluje abrakadabry i konstrukcje intelektualne wzięte z kapelusza. Cynicznie. Bo na tym polu niczego „wyjaśnić się nie da, to nie jest pole do myślenia, to jest pole do udeptania i rządzenia”.

Pisał swego czasu Miłosz w „Traktacie moralnym”: „Strzeż się wariatów. Ci są mili, / Póki w zakładach ich więzili, / Albo trzymali w zwykłej stajni. / Są dziś wariaci m i a r o d a j n i. / I każdy macha swą pałeczką / I patrzy z góry, moje dziecko. / Zaiste, wariat na swobodzie / Największą klęską jest w przyrodzie”. I doprawiał to „polskim zacadeniem”: „Unikaj tych, co w swoim gronie / Pograwszy w polityczne konie, / Gdy na kominku ogień trzaska, / Wołają: lud a szepczą: miazga, / Wołają: naród, szepczą:

Tak z tym sarmackim animuszem / Kraj zamieszkują m ę t n y c h w z r u s z e ń / I jest to coś na kształt bagniska: / Traf tam, a coraz głębiej wciska”.

No to nas wcisnęło, wystarczyło wysłuchać inauguracyjnego przemówienia Andrzeja Dudy. Dla zjawiska „miarodajne”. Jak się ma własną orbitę, to można polatać nawet bez rakiety. Bo żeby zbudować rakietę, trzeba by wrócić na pole innych sprawdzalnych reguł. Ale to władzy utrzymać nie pozwala. Tak funkcjonował Kościół przez setki lat, tym jest opowieść o Galileuszu, spalonym na stosie Giordanie Brunie. Najdziwniejsze, że to powraca. To mi wyjaśnijcie, a nie ich spreparowany „obłęd”.



Mateusz Mazzini

Południowo-zachodni kraniec Hiszpanii to na mapie Starego Kontynentu współczesne odzwierciedlenie *terra nullius*, ziemi niczyjej. Mianem tym średniowieczni kartografowie określali terytoria nieznane, nieodkryte, nieprzypisane żadnym królestwom ani sferom wpływów. Często wiedzano o nich tylko tyle, że istnieją. Przede wszystkim niespecjalnie interesowały podróżników i zdobywców. Najczęściej były to bezkresne akweny, wielkie pustkowia lub mało atrakcyjne doliny. Za nimi może i coś się kryło, może coś czekało, ale *terra nullius* mogła być co najwyżej przystankiem na drodze po nagrodę, a nie nagrodą samą w sobie.

Zachodnia część Andaluzji pełni dziś bardzo podobną funkcję – ekonomicznie, społecznie i kulturowo. Choć to obszar niemały, niewiele się na nim dzieje. Podróż w kierunku granicy portugalskiej to wielogodzinna jazda, wprawdzie doskonałymi drogami, wybudowanymi za unijne pieniądze, ale przecinającymi co najwyżej ciągnące się po horyzont plantacje oliwek i truskawek czy pola uprawne. To właśnie produkcja żywności jest tu najważniejszym elementem gospodarki, choć ta i tak mocno kuleje. Jak w wielu miejscach na południu Europy głównym problemem zżerającym tkankę społeczną jest bezrobocie. Według statystyk Komisji Europejskiej pracy nie ma tam aż 21,6% osób w wieku produkcyjnym. Jeśli wyjechać na andaluzyjską wieś, sytuacja wygląda jeszcze gorzej. Problemy tego regionu najlepiej obrazuje prowincja Huelva – ostatni hiszpański przyczółek na Półwyspie Iberyjskim.

Tu bezrobocie regularnie przebija 30%, przynajmniej formalnie. Poza nielicznymi turystami i grupami studentów z programu Erasmus nie zagląda tu nikt, kto nie musi. W samym mieście Huelva, stolicy prowincji, poza neoklasycystyczną katedrą i muzeum Krzysztofa Kolumba do zobaczenia jest zresztą niewiele. Brakuje atrakcji, ale też szans na przyszłość, przynajmniej dla Hiszpanów. Bo dla imigrantów z Afryki Północnej czy Europy Wschodniej to często nadzieja na lepsze jutro. Niestety, wizja ta coraz częściej przeradza się w koszmar.



Owocowe piekło pracy

W Europie w XXI w. nadal istnieją obozy, w których praca jest przymusem

Niektórzy przyjeżdżają z drugiego końca kontynentu, wabieni atrakcyjnymi ofertami w agencjach pracy tymczasowej. Stawki wydają się wysokie, zwłaszcza osobom bez doświadczenia, niebędącym w stanie oszacować swojej wydajności w pracy. Mają być zapewnione nocleg i wyżywienie, czasami zwrot kosztów transportu, ubezpieczenie medyczne, a nawet premie dla najbardziej efektywnych pracowników. Inni trafiają tam, bo to jedyna szansa na uniknięcie powrotu do Afryki. Przez Morze Śródziemne przerzucają ich przemytnicy, którzy każą im od razu zniszczyć lub „zgubić” prawdziwe dokumenty. Brak możliwości ich zidentyfikowania oznacza, że nie wiadomo, z jakiego kraju pochodzą, czyli nie ma dokąd ich deportować. Zostają więc w Europie, na początek w tymczasowych obozach, z których często wychodzą albo uciekają. Szukając zarobku, trafiają jednak do innych obozów – takich, w których

warunki bywają jeszcze gorsze, a lekarzy, wolontariuszy czy urzędników próżno w nich szukać.

Obiecane zakwaterowanie to najczęściej blaszane baraki albo prowizoryczne konstrukcje z folii i kartonu. Wynagrodzenia nie ma w ogóle lub okazuje się szczątkowe, ledwo wystarcza na powrót do domu. Paszport – jeśli ktoś go ma – ląduje pod kłuczem i karabinem. Brakuje tam bieżącej wody, podstawowych środków sanitarnych i elektryczności. Jest natomiast przymus pracy, często po kilkanaście godzin na dobę.

Tak wygląda wiele plantacji i zakładów przetwórstwa spożywczego w okolicach Lepe. To 25-tysięczne miasto tuż przy granicy z Portugalią stało się synonimem współczesnych obozów pracy w Europie. Za granicą znane jest jako europejskie zagłębienie truskawek, zaopatrujące duże sieci supermarketów praktycznie na całym kontynencie. Dla organizacji walczących o prawa migrantów



Slamsy robotników rolnych w Lepe, niedaleko Huelvy w południowej Hiszpanii, 29 lipca 2020 r.

praktycznie bez kontaktu ze światem zewnętrznym. W tym roku mogło być ich jeszcze więcej, bo zabrakło robotników pracujących legalnie. A zbiorów odłożyć w czasie się nie dało. Obawy o zaburzenie łańcucha dostaw były wówczas ogromne, zbyt duże, by przejmować się rządowymi restrykcjami.

Nie trzeba oczywiście przypominać, że na plantacjach wokół Lepe, ale też w innych częściach Hiszpanii, w tym w znacznie bogatszej Katalonii, zbieracze owoców pracowali bez jakiegokolwiek zaplecza sanitarnego. Nie mieli maseczek, płynów do dezynfekcji, a warunki mieszkaniowe były wręcz idealne do namnażania się wirusa. W Lepe i Huelvie pracownicze slamsy bywały oddalone o 10-15 km od najbliższego źródła bieżącej wody. Dopiero po interwencjach organizacji pozarządowych, takich Ethical Consumer (stowarzyszenie walczące o poprawę przestrzegania praw pracowniczych przez dostawców żywności), wodę zaczęła tam dostarczać hiszpańska armia. Na tym jednak obecność państwa

Trudniej działać, kiedy plantacje, na których pracują przybysze z Afryki, Bliskiego Wschodu, Bułgarii i Rumunii, należą do syndykatów kryminalnych. A to wcale nie takie rzadkie zjawisko. Wzdłuż europejskiego wybrzeża Morza Śródziemnego coraz większe wpływy zyskują gangi i mafie afrykańskie, trafiające na Stary Kontynent w ślad za uchodźcami. Ich obecność widoczna jest zwłaszcza we Włoszech, gdzie wynegocjowały już wiele umów o współpracy z miejscowymi organizacjami przestępczymi, ale coraz szerzej działają też w Hiszpanii i we Francji. Do swoich obozów pracy rekrutują w prosty sposób. W grupie uchodźców umieszczają emisariusza, który kuszą nieświadomych ryzyka przybyszy perspektywami zarobku, legalizacji pobytu i możliwości późniejszego sprowadzenia rodziny. Ci uciekają spod opieki wolontariuszy z organizacji pomocowych, często nie zostawiając żadnego śladu. Ich zniknięcia nikt zatem nie zauważył, a na pewno nie zgłosił organom ścigania. W ten sposób gangi zapewniają sobie nieograniczoną siłę roboczą, która w dodatku nigdy się nie zbuntuje przeciwko fatalnym warunkom pracy i życia.

i działaczy na rzecz praw człowieka to jednak piekło na ziemi, dowód nieskuteczności hiszpańskich i unijnych przepisów w tym zakresie.

W ubiegłym roku zbiory truskawek w całej Huelvie przyniosły łączny zysk w wysokości 533 mln euro. 93% owoców trafia na eksport, głównie na rynki krajów unijnych. A tam mało kogo interesuje, jak truskawki są zbierane. Zgodnie z raportem Philipa Alstona, specjalnego sprawozdawcy ONZ ds. ubóstwa, pracujący na te wielomilionowe zyski migranci i uchodźcy zarabiają często nie więcej niż 20 euro dziennie, z czego pracodawca zwykle i tak zabiera pokaźną część. Niektórzy w ogóle nie dostają zapłaty, bo właściciele traktują to jako odpracowanie noclegu i wyżywienia.

Istnienie plantacji i zakładów funkcjonujących praktycznie na zasadach obozów pracy uwypukliła pandemia koronawirusa. Podczas gdy wszystkie przedsiębiorstwa stopniowo się zamykały lub ograniczały produkcję i zatrudnienie, w wielu z tych miejsc dobowy rytm pracy pozostawał niezakłócony. Oczywiście pracowali w nich przede wszystkim ci, którzy nie mieli alternatywy. Według informacji Alstona w zbiorach truskawek w Huelvie uczestniczy co roku nawet 2,5-3 tys. osób, które mieszkają w slamsach na plantacjach,

W Lepe i Huelvie pracownicze slamsy bywały oddalone o 10-15 km od najbliższego źródła bieżącej wody.

się skończyła, bo żadna inna służba nie zajęła się pozostałymi problemami, z brakiem dostępu do opieki medycznej i prawnej na czele.

Migranci i uchodźcy próbują organizować się sami. Ci, którzy trafili lepiej, mają swobodę przemieszczania się i kontakt ze światem zewnętrznym, starają się wspólnie organizować i nagłaśniać najgorsze przypadki zaniechań i łamania praw człowieka. Do takich grup należy Kolektyw Robotników Afrykańskich (CAW), nieformalne zrzeszenie pochodzących z Afryki pracowników sektora spożywczego w Hiszpanii. Trudno go jeszcze nazwać związkiem zawodowym, bo jego zdolność negocjacyjna jest ograniczona, a władze publiczne niekoniecznie widzą w nim równego partnera do rozmów. Jednak sam fakt jego istnienia pokazuje, że problem wyzysku przestaje być w Europie niewidzialny.

Przymusowe obozy pracy na południu Europy nie są problemem ani czasów pandemii, ani ostatnich kilku lat. W wielu miejscach istnieją od dziesięcioleci, przy cichym przyzwoleniu władz lokalnych. Co najwyżej raz na jakiś czas napisze o nich zaangażowany reporter i odwiedzą je obrońcy praw człowieka. Ich funkcjonowanie jest bowiem na rękę wielu uczestnikom tego procederu. Od gangów i półlegalnych plantatorów, piorących w nich pieniądze, przez przedsiębiorców mających pewne i niekosztowne źródło dostaw, po samorządowców, popularyzujących swoje regiony jako zagłębia taniej siły roboczej. Tracą tylko ci, od których łańcuch ten się zaczyna. Zważeni obietnicą lepszego jutra, trafiają do takiego samego koszmaru, przed którym uciekali. A że forma jest nieco inna, to mało znaczący szczegół.

Nadziei nigdy nie straciliśmy

Rozdzielaliśmy po dwie łyżeczki tuńczyka dziennie,
potem jedliśmy raz na dobę, jeszcze później co 78 godzin
– 69 dni w zawalonej kopalni



Claudio Acuna został wydobyty jako 26. górnik.

Joanna Broniewska
Korespondencja z Santiago

5 sierpnia minęło 10 lat od tąpnięcia w kopalni San José na pustyni Atakama. 33 górników uwięzionych pod ziemią przez 69 dni i tłumy oczekujące ich na powierzchni łączyło jedno – nadzieja. Ta zaczęła umierać dopiero po oficjalnym happy endzie.

700 m pod ziemią

Jest kilka minut po godz. 14. Ważący ponad 700 ton blok skalny odrywa się, powodując zawalenie części kopalni San José. Zniszczeniu ulegają wszelkie drogi ewakuacyjne, znaczna część chodników i szyby wentylacyjne. Mówi się o 33 uwięzionych pod ziemią górnikach. Przedsiębiorstwo San Esteban Primera, do którego należy kopalnia, milczy. Dopiero o 19.30 jego reprezentanci informują o zawaleniu służby ratunkowej i rodziny górników. Kilka godzin później na miejsce zjeżdżają straż pożarna, policja i pracownicy firm specjalizujących się

w przemyśle wydobywczym. Przyjeżdżają także bliscy tych, którzy zostali 700 m pod ziemią. Podobno górnicy mają szansę na przeżycie, jeżeli dotarli do schronu. Czy dotarli – nie wiadomo. Pedro Simunovic, prezes przedsiębiorstwa, mówi o zapasach jedzenia, wody i tlenu, które miałyby się znajdować na dole. Potem okazało się, że z zapasów zostały tylko niezdatne do picia mleko, parę litrów wody i tuńczyk w puszcze. Resztę zapasów już dawno rozkradziono, ale to tylko jedno z wielu niedopatrzeń zarządu.

Dzień później informacja o katastrofie obiega media. Na miejscu pracuje już 230 osób. Specjaliści z całego kraju zastanawiają się, jak się dostać do środka, i tym samym zapowiadają, że akcja wydobywania górników, żywych lub martwych, potrwa miesiące.

Omar Reygadas ma spokojny głos, kiedy opowiada mi o zawaleniu. Dziś ma 66 lat, wciąż mieszka w Copiapó, niecałą godzinę drogi od kopalni. Nie używa w opowieści wielu słów. Nie mówi o strachu, panice; stara się mówić o faktach.

– Pierwszego dnia spotkaliśmy się w schronie, ale większość z nas w nim nie została, bo nie można było tam wytrzymać z powodu gorąca i wilgoci. Ulokowaliśmy się na rampach. Zaczęliśmy pracować, zabezpieczać miejsce, żeby nie spadły inne skały. Wszystkie były dość luźne. Tego samego dnia pojawiła się wśród nas desperacja, bo nie znaleźliśmy żadnej drogi wyjścia. Gdy minęło kilka dni, zaczęliśmy przyzwyczajając się do ciemności i siebie samych. Poznawaliśmy się, bo wielu z nas wcześniej się nie знаło. Najbardziej bolało nas, że nie mogliśmy skontaktować się z bliskimi, by powiedzieć im, że mamy się dobrze.

Nadzieja

Już od pierwszych dni na górze pojawiają się namioty i przyczepy kempingowe rodzin górników, dziennikarzy, ratowników i pozostałych pracowników kopalni, którzy oferują swoją pomoc służbom ratunkowym. Tworzy się polowe miasteczko – z własną stołówką, łazienkami, poradnią lekarską i kościołem. Nadano mu też nazwę – Esperanza, z hiszpańskiego nadzieja. Dookoła niego na piaszkowych wzgórzach pojawiają się transparenty i napisy z kamieni, w których dominują słowa nadzieja i siła. W niektórych miejscach stoją figurki Matki Boskiej i krzyże. Przy drodze łączącej Copiapó i kopalnię San José stoją zapalone znicze.

W tym samym czasie trwa planowanie akcji ratunkowej i przygotowywanie drogi dla ośmiu sond, które mają przebić się w różne miejsca kopalni. 22 sierpnia, ponad dwa tygodnie od tąpnięcia, jedna z nich dociera do znajdującego się 700 m niżej schronu.

– To było szaleństwo, zwariowaliśmy ze szczęścia, wszyscy zaczęliśmy uderzać w sondę, by na górze usłyszeli, że jesteśmy żywi. W końcu wystaliśmy wiadomość, że „mamy

się dobrze w schronie 33". To był najpiękniejszy moment, kiedy sonda się do nas przebiła – wspomina Omar.

Tego samego dnia pełni radości Chilijczycy wychodzą na ulice. W wielu miejscach słychać hymn narodowy. Po dobrych wiadomościach do kopalni po raz pierwszy przyjeżdża także prezydent republiki, Sebastián Piñera. Niektórzy widzą w tym przejaw prawdziwej nadziei.

Piñera, który stanowisko prezydenta objął w marcu tego samego roku, już od pierwszych dni urzędowania został rzucony na głęboką wodę. Niecałe dwa tygodnie wcześniej Chile nawiedziło jedno z silniejszych trzęsień ziemi, jakie odnotowano

materiałami wybuchowymi, ziemią – wylicza Omar.

Na dole panuje temperatura ok. 30 stopni, jest wysoka wilgotność. Wśród 33 uwięzionych wykształciło się kilku liderów, ale wszelkie decyzje podejmowane są demokratycznie. W grupie panuje spokój. – Staraliśmy się rozluźniać atmosferę, niektórzy opowiadali żarty, inni śpiewali, wymyślali gry. Ja i Carlos Mamani mieliśmy zegarki 24-godzinne. Gdy nadchodziła północ, każdy miał czas na odpoczynek. Pilnowaliśmy pór dnia. Nadziei nigdy nie straciliśmy. Modliliśmy się. Nasza wiara utrzymała nas w spokoju, utrzymała nas zjednoczonych w kopalni z nadzieją na wyjście.

Piliśmy wodę ze starych zbiorników. Była zanieczyszczona olejami, ropą, materiałami wybuchowymi, ziemią.

w tej części świata. Katastrofalna sytuacja wymagała od rządzących szybkich i mądrych decyzji, które miały stopniowo stawiać kraj na nogi. Pojawiło się jednak więcej obietnic niż konkretów. Strategia ta się nie zmieniła, gdy po raz drugi w tym samym roku Chile trafiło na okładki międzynarodowej prasy.

Ówczesny minister górnictwa, Laurence Golborne, jeszcze w dniu katastrofy zapowiedział szczegółowe badania przyczyny śnięcia. O tym samym wielokrotnie mówili Sebastián Piñera i właściciele firmy, którzy pod koniec sierpnia zdecydowali się przeprosić już nie tylko rodziny uwięzionych pod ziemią górników, ale i cały naród, tym razem za „powstałe cierpienie”.

Pedro Simunovic dotaczył się do przeprosin. Nie omieszkął jednak dodać, że katastrofy nie dało się przewidzieć, a spółka San Esteban Primera nie ponosi żadnej odpowiedzialności za to, co się wydarzyło.

Z popiołów

Pięć litrów wody, kilka litrów soku, zepsute mleko i 18 puszek tuńczyka. – Rozdzielaliśmy po dwie łyżeczki tuńczyka dziennie, potem, gdy widzieliśmy, że dużo go już nie zostało, jedliśmy raz na dobę, jeszcze później co 78 godzin. Musieliśmy się nawadniać, więc piliśmy wodę ze starych zbiorników. Była zanieczyszczona olejami, ropą,

Zostawiliśmy nasz los w rękach Boga – mówi spokojnie Omar. Potem powie mi jeszcze, że właśnie tam, 700 m pod ziemią, umocnił swoją wiarę. Zaczął bardziej kochać swoje życie i stał się pokorny.

Fénix 2 ma prawie 4 m wysokości, średnicę 51 cm i chilijskie kolory narodowe. To nie mityczny ptak, lecz wykonana z pomocą NASA kapsuła, która ma wydostać górników spod ziemi jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

Na początku października chilijski minister górnictwa ogłasza jednak, że 33 mężczyzn uda się wydostać już za kilka dni. 12 października wszystko jest gotowe. Euforia panuje zarówno na powierzchni, jak i w głębi kopalni. Kilkadziesiąt minut przed północą pod ziemię zjeżdża jeden z ratowników. Niecałą godzinę później, 13 października, na górze pojawia się pierwszy z 33 uwięzionych, Florencio Ávalos. Kolejni górnicy, po 69 dniach pod ziemią, wychodzą z kapsuły w 40-minutowych odstępach. Omara wydostano jako 17. – Miałem w sobie dużo niepokoju, gdy przyszła moja kolej. Na górze czekał na mnie syn, więc czułem się podekscytowany wyjściem, chciałem go przytulić. Z drugiej strony czułem w sobie sprzeczność: przyzwyczaiłem się do mojego kąta w kopalni, sprawiło mi wiele trudności zostawienie wszystkiego, co tam miałem. Zostawienie miejsca, w którym spędziłem tyle czasu.

Przez pierwsze pięć dni po wyjściu z kopalni górnicy odmawiali kontaktu z mediami. Patrole policji ustawiono zarówno przy szpitalu w Copiapó, jak i przy ich domach. W dniu wydobywania górników spod ziemi na miejscu było ponad 2 tys. dziennikarzy z całego świata.

Oskarżenia

Trzy tygodnie po śnięciu żona jednego z uwięzionych górników pozwała spółkę, by pociągnięto do odpowiedzialności osoby, które zlekceważyły kwestię bezpieczeństwa w kopalni. Dopiero wtedy sąd postanowił zamrozić na kontach przedsiębiorstwa San Esteban Primera 1,8 mln dol., które miały być zabezpieczeniem wypłat odszkodowań górnikom i ich rodzinom. W tym samym czasie zaczęły się pojawiać komentarze osób pracujących wcześniej w kopalni San José, które jednogłośnie wskazywały niedopatrzenia i braki w odgórnie narzuconych wymogach bezpieczeństwa. Wytykały także zbyt intensywną i rabunkową eksploatację złóż, co miało się przyczynić do osunięć i pogarszania się struktury wzgórze, w którym znajduje się kopalnia.

Javier Castillo, sekretarz związku zawodowego górników i były pracownik spółki San Esteban Primera, już lata przed śnięciem mówił o wysokim ryzyku pracy w kopalni San José. W ciągu kilku lat zginęły w niej trzy osoby, na kopalnię nałożono ponad 40 kar za złamanie zasad bezpieczeństwa. W 2007 r. zamknięto ją. Nie na długo jednak – rok później Narodowy Wydział ds. Geologii i Kopalń otworzył San José na nowo, choć nie wprowadzono w niej najważniejszych zmian. Nie zrobiono chociażby dodatkowych wyjść ewakuacyjnych w szybach wentylacyjnych, którymi uwięzieni pod ziemią górnicy mogliby wydostać się na powierzchnię.

I choć oficjalnie politycy, urzędnicy i chilijski świat kopalniany zwywali do szukania winnych, w rzeczywistości jedni spychali odpowiedzialność na drugich. Alejandro Bohn i Marcelo Kemeny, właściciele firmy, oświadczyli, że nie czują się winni katastrofy, a trzy lata później udało im się uciec od odpowiedzialności za zawał, bo chilijska prokuratura

► umorzyła śledztwo, stwierdzając, że tapnięcie było jedynie nieszczęśliwym wypadkiem.

– Prokurator, który prowadził śledztwo, wyraził opinię, że właściciele kopalni nie ponosili żadnej odpowiedzialności za to, co się stało. Że to my byliśmy odpowiedzialni za katastrofę, ponieważ pracowaliśmy w kopani, o której wiedzieliśmy, że nie była bezpieczna. I tak właścicielom nie wymierzono żadnej kary – podkreśla Omar. – Potem firma zniknęła. Po wszystkim nigdy więcej nie odezwali się do nas jej właściciele, nigdy nie dotarł do nas żaden list z przeprosinami, pozdrowieniami czy chociaż wyrażający nadzieję, że mamy się dobrze. Nic.

Właściciele spółki mają jednak o co się martwić, zmuszeni są bowiem oddać państwu znaczną część kosztów akcji ratunkowej, które w całości wyniosły ponad 20 mln dol.

Krzyż, na wszelki wypadek

Z Copiapó, pustynnego miasta, którego egzystencja od zawsze opierała się na górnictwie, to niecała godzina drogi. Po odbiciu od krajowej piątki, słynnej Panaméricany, jeszcze przez chwilę widać kilka drzew, trochę zieleni. Dalej, przez kolejne 40 km, na krajobraz składać się będą już tylko szarość asfaltu, beż pustyni i niebo, przeważnie bezchmurne, choć i tak

jakieś szare. Trasę tę przemierzała kilka razy w tygodniu większość pracowników zatrudnionych w kopalni San José. Dzisiaj jeżdżą nią głównie turyści, w większości krajowi.

Dwa i pół roku po katastrofie na powierzchni byłej kopalni otwarto centrum informacji, swego rodzaju muzeum na wolnym powietrzu poświęcone akcji ratunkowej. To w rzeczywistości siedem kluczowych dla akcji ratunkowej punktów porzucanych na pustyni, po których cztery razy w tygodniu oprowadza Jorge Galleguillos, numer 11. z 33 zasypanych. Jorge opowiada odwiedzającym o 69 dniach spędzonych pod ziemią, o relacjach między uwięzionymi górnikami, o kontakcie z bliskimi, o sile i nadziei. Mówi także o tym, co działo się na powierzchni, podczas gdy on był pod ziemią – o akcji ratunkowej i obozowisku.

Do pierwszego punktu każdy jednak dociera sam. Pojawia się on zaraz po wjeździe na teren kopalni, trudno go nie zauważyć, bo to 33 flagi reprezentujące górników – jedna boliwijska i 32 chilijskie – ustawione na wzgórzu powyżej białego, masywnego krzyża z wykutymi w marmurze słowami: „Mamy się dobrze w schronie 33”. O jego postawieniu, jeszcze bez napisu, zdecydował prezydent Piñera, zanim jeszcze pierwsza sonda dotarła do uwięzionych pod ziemią górników. Tak na wszelki wypadek.

300 zakopanych

Dziesięć lat temu, 5 sierpnia, w kopalni San José praca stanęła. Jeszcze w sierpniu jej władze poinformowały, że nie są w stanie wypłacić pensji ani świadczeń socjalnych swoim pracownikom. Wraz z zakończeniem akcji ratunkowej przyszło oficjalne zamknięcie kopalni. Bez pracy zostało 397 pracowników. 33 dostało milionowe odszkodowania, fundusze z rąk prywatnych, a nawet sfinansowane wakacje za granicą. Wystąpili w dobrze opłacanych wywiadach, filmach i reklamach.

Rok później w wywiadzie dla CIPER, niezależnego chilijskiego medium, Bernardo Mondaca, były górnik kopalni San José, który pracował w niej ćwierć wieku, powiedział: – Historia nie skończyła się sukcesem wydostania naszych 33 znajomych, którzy znaleźli się pod ziemią. Uwolnili 33 i zakopali 300. Jedynie 20% byłych pracowników ma zatrudnienie, podczas gdy 80% zostało zapomnianych przez władze. Żyjemy w dużym niedostatku.

Przy okazji rocznic tego tematu się nie porusza. Media mówią o sukcesie, o akcji ratunkowej, której logistyka pozostaje przykładem dla środowiska górniczego na całym świecie. Światła reflektorów padają na 33, w ich cieniu pozostaje los reszty górników.

Każdego roku powraca także temat bezpieczeństwa w chilijskich kopalniach, którym po 2010 r. zaczęto regularnie się przyglądać. – Pojawiło się wiele zmian. Kładzie się nacisk na kwestie bezpieczeństwa i prewencji, jest więcej kontroli. Oczywiście pod ziemią wciąż zdarzają się wypadki śmiertelne, ale to ryzyko związane z zawodem.

Dwa lata po zawaleniu się kopalni Omar Reygadas wrócił do pracy górnika. Jak mówi, znaczna część zasypanych wróciła, choć o pracę nie jest łatwo. Pytam, czy nie pozostał mu strach.

– Wręcz przeciwnie. Niecały miesiąc po zakończeniu akcji ratunkowej wszedłem do kopalni. W miejscu, gdzie kończy się światło z zewnątrz, usiadłem, by sobie wszystko poukładać, żeby sprawdzić, jak będę się czuł. I poczułem spokój.

Joanna Broniewska



www.wydawnictwomg.pl

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Najazd

znowu mieliśmy powstanie warszawskie jak się patrzy, z każdym rokiem ono nam potężnieje, jakbyśmy jakimś cudem nie oddalali się od niego, ale zbliżali do tej pięknej katastrofy. Po brzegach rocznicy, z graniem trąb i łośkotem werbli, obwożeni są dogorywający starcy, ostatni żywi uczestnicy powstania. Tu wzmożenie patriotyczne PiS się udaje. Bo niepisowcy, nawet wrogowie PiS, by nie oddać mu powstania, też się wzmagają. Obie strony więc wzmagają się patriotycznie. A tyse pały z karkami świętują najgłośniej. Choć przecież ich gesty, ich ciasne narodowe myślenie są bliźniacze temu, które zrodziło hitleryzm.

„Rośnie generacja analfabetów nie tylko intelektualnych, ale społecznych i moralnych – mówi w rozmowie z Przemysławem Szubartowiczem prof. Marcin Król. – PiS trafiło nie tyle na dobrą koniunkturę gospodarczą, ile mentalną Polaków. 20 lat temu, kiedy wykształcenie, wiedza, czytanie itd. były ambicją powszechną, nie miałyby takich szans. Obecnie trafiło na pierwszy rzut zaniedbanej generacji, która nie ma żadnych ambicji – dodaje. – Nie gardzę prostym człowiekiem, znam ich zresztą bardzo wielu. Uważam tylko, że oni się zmienili. Przestali dążyć do cegokolwiek poza osiągnięciem statusu finansowego – podkreśla. – Rośnie nowe zjawisko. Co pewien czas cywilizacje padały pod naciskiem barbarzyńców, którzy przyjeżdżali z zewnątrz. Teraz jest inaczej. Ci barbarzyńcy są wśród nas – z nas – i niszczą nas od wewnątrz”. Brzmi to interesująco i przekonująco. Ale przecież to nieprawda, to odruch idealizowania przeszłości. Cały wiek XX to barbarzyństwo od wewnątrz, dwie apokaliptyczne wojny światowe, komunizm, faszyzm.

Pogrzeb M., miał 88 lat, cierpiał, chciał odejść, natykał się xanaksu, nie wiedział biedak, że musiałby połknąć tysiąc pastylek, by odlecieć w nicość. To jedyna wada xanaksu, a tak to ma same zalety. Gdy się obudził w szpitalu, uznano, że może wracać do domu. Powiedział, że nie chce. I zaraz umarł. Jakby na własne życzenie. Zostawił wzruszający list pożegnalny, ładne, młode pismo. Uroczystość w drewnianym, wiejskim kościółku. Moi synkowie odczytali z otłarza swoje pożegnania wujka. Franio słodko sepleniąc. Potem kilka godzin w rajskim ogrodzie leśnego domu córki zmarłego. Bardzo ładny i przyjemny pogrzeb. Jestem gorącym zwolennikiem tego, by w skrajnej sytu-

acji można było odejść na własne życzenie. Wtedy, gdy życie traci sens i staje się cierpieniem.

W Halo Radio rozmawiam o eutanazji z moim „holenderskim korespondentem” Piotrem Perczyńskim. Mieszka w Holandii, ma holenderską rodzinę, wyklada historię idei w Lejdzie. Serdecznie mu zazdroszczę tej pięknej holenderskiej ramy. Świetnie myśli i mówi. Opowiada, jak wygląda w Holandii „mordowanie starców”, czym straszył Kaczyński. Ci starcy mają w popłochu uciekać ze zbrodniczego Zachodu do Polski. A jak to wygląda naprawdę? Jest sześć koniecznych warunków. Przede wszystkim brak jakiejkolwiek szansy na wyzdrowienie. Cierpienie musi być trudne do zniesienia. Musi to być jednoznaczna prośba chorego, z udziałem dwóch lekarzy, w tym jednego rodzinnego, którzy nie mogą znać się nawzajem. Jest jeszcze kilka warunków, więc karkotomie trudno dostać zgodę na uwolnienie się od życia. Współczesna medycyna gwarantuje nam długie, żałosne konanie. Śmierć jest puentą życia. Kiepska puenta zepsuje najlepszy film i najlepsze życie.

Miliony czują i myślą tak samo i nie są to letnie uczucia.

Z Warszawy na Wybrzeże, mała wioska na tyle oddalona od morza i plaży, że do tej pory nie było tu najazdu turystów. Tego roku jest

najazd. Ludzie wypuszczeni z klatek bardziej się ruszają, ale to też szukanie miejsc jeszcze relatywnie pustych. Gdy wieść niesie, że jest miejsce, gdzie nie ma tłoku, zaczyna walić tam tłum. Nasz gospodarz, Kaszub, niestety nieobecny – wielka strata, bo niezwykły z niego gawędziarz, a jego antypisowskie tyrady są niezwykle soczyste i barwne. Czyści właśnie teraz w Warnie kotły w kadłubach statków. Jego dawne wiejskie gospodarstwo zostało przerobione na kompleks turystyczny, który ciągle się rozwija. Od tego roku w dawnym budynku gospodarczym stoi stół do ping-ponga i jest bilard. W ogrodzie w obszernej altanie grupa letników debatuje, to prawdziwe antypisowskie bachanalie przy piwie. Ileż w tym ognia, pasji i gniewu. Ktoś mówi: chciałbym dożyć stu lat, by zobaczyć ich koniec. Jesteśmy świadkami fajdactwa i podłości na ogólnonarodową skalę. Co za parada kreatur. Nie tylko ja, nie tylko Janusz Gajos – nagle wedle PiS to nie aktor, ale marionetka – miliony czują i myślą tak samo i nie są to letnie uczucia.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Konserwator Hawany

Eusebio Leal Spengler
cenił wysokie kwalifikacje
polskich naukowców i ducha
rebelii warszawiaków

Lech Miodek



Eusebio Leal Spengler, przyjaciel Warszawy i warszawiaków, zmarł w Hawanie, w wieku 77 lat. Wieloletni historyk i konserwator Hawany należał do grupy najwybitniejszych intelektualistów kubańskich i regionu Karaibów. Był człowiekiem emanującym dobrocią i zrozumieniem dla innych, skromnym mimo odpowiedzialnej roli, jaką mu powierzyło miasto. Podziwianym i lubianym przez mieszkańców kubańskiej stolicy, którą tylko fizycznie opuścił. Już nie przyjdzie do Biura Historyka Miasta, aby kierować pracami nad odzyskaniem przez Hawanę jej półtysiącletniego dziedzictwa.

Jego optymizm i gotowość do podejmowania się tytanicznych zadań, takich jak restauracja historycznego centrum Hawany, wpisanego na Listę światowego dziedzictwa UNESCO w 1982 r., uczyniły go wyjątkową osobistością w historii stolicy. Żegnając się z życiem, przyznał, że tak jak każdy w młodości miał marzenia, które zamierzał realizować z myślą o człowieku. Otrzymał ponad 30 medali i odznaczeń. Ostatnie i najwyższe przyznawane obcokrajowcom dostał od króla Hiszpanii i prezydenta Włoch w uznaniu za pracę nad odbudową Hawany. Był ambasadorem dobrej woli Organizacji Narodów Zjednoczonych, doradcą oenztowskiego programu rozwoju.

W sobotę, 1 sierpnia, na balkonach i dachach budynków Hawany w hołdzie dla restauratora miasta pojawiły się białe prześcieradła. Symbolika prześcieradeł wiszących na balkonach wywodzi się z popularnego dzieła kubańskiego kompozytora i piosenkarza Gerarda Alfonsa, a odzwierciedla nieskrępowanego i szczerego ducha Kubańczyków, ich przywiązanie do miasta. Pośmiertny hołd Lealowi będą mogli oddać także na Kapitolu, w którego odnowę włożył tyle serca. Prezydent Miguel Díaz-Canel ogłosił w kraju jednodniową żałobę. Nazwał Leala Spenglera zbawcą Hawany, dodając, że „jego nazwisko przestało być jego nazwiskiem, a stało się synonimem miasta”. Bo to dzięki renowacji budynków, parków, placów i innych charakterystycznych przestrzeni miejskich Hawana odzyskuje dawny blask.

Poznałem Eusebia osobiście, z miejsca ujął mnie erudycja i osobowością. Jego wspomnienia z pobytów w Warszawie opublikował PRZEGLĄD w ubiegłym roku (40/2019). Nigdy nie spotkałem się z tym, aby jakkolwiek członek delegacji zagranicznej, przybывая do Warszawy, odłączył się od grupy, aby, jak w przypadku Eusebia, pomóc w odbudowie Zamku Królewskiego i pracować przy niej przez parę dni razem z architektami i robotnikami. Nigdy też nie miałem okazji poznać obcokrajowca, który po przylocie do Warszawy pierwsze kroki kierowałby na Powązki, aby złożyć wiązanek na grobie prof. Stanisława Lorentza. Eusebio niezwykle cenił wysokie kwalifikacje polskich naukowców i ducha rebelii warszawiaków. Dwie cegły z Zamku Królewskiego zabrał do Hawany, aby wmurować je we fronton biura, w którym pracował.

Z okazji 500-lecia Hawany zwróciłem się do prezydenta Warszawy z prośbą o rozważenie możliwości wysłania listu okolicznościowego do Eusebia i podziękowania mu za niezwykle stosunek do naszego miasta, które było dla niego inspiracją w odbudowie Hawany. Niestety, mimo początkowej obietnicy do spotkania nie doszło i żaden list nie został wysłany. Polityka jeszcze raz okazała się brutalna i nieczuła wobec człowieka czynu.

Eusebio, Przyjacielu, obiecuję Ci, ja, warszawiak, że przy najbliższej okazji złożę wiązanek na Twoim grobie. ■

Rozmawia Anna Brzeska

Podobno lada chwila będziemy produkować w Polsce skuteczny lek na COVID-19, przygotowywany na bazie osocza ozdrowieńców. Jak duże nadzieje możemy z nim wiązać?

– Zaczniemy od tego, że tylko w szerokim rozumieniu można go nazwać lekiem, jednak nie jest nim z definicji. Ten preparat biologiczny to immunoglobuliny pozyskane od dawców z ich surowicy. Osocze ozdrowieńców już w tej chwili stosuje się w leczeniu, teraz będzie dostępny jego ekstrakt. Środek ten rzeczywiście zwalcza wirusa, jednak nie jest to żadna nowa koncepcja. Już wcześniej korzystano z przeciwciał ozdrowieńców w leczeniu różnych chorób.

Jaką skuteczność może mieć ten środek? Doniesienia prasowe brzmiały obiecująco.

– Absolutnie nie można mówić o żadnym przełomie. To nie jest lek, który można podać we wczesnej fazie czy w domu, ale dopiero w szpitalu, już po rozpoznaniu choroby. Jednak przy braku lepszego leku na pewno ważne jest, że mamy taki środek wspomagający.

Udało się zmierzyć skuteczność takiego leczenia?

– O skuteczności leku można mówić dopiero wtedy, gdy prowadzi się badania na dużych grupach pacjentów. Niestety, ten lek – jeśli już używamy tego określenia – może być stosowany tylko w niewielkiej grupie, ponieważ nie mamy nieskończonej liczby dawców, w związku z czym ograniczona jest liczba kuracji. Nie jest możliwe zmagazynowanie dużej ilości takich preparatów.

Co z lekami, nad którymi trwają badania za granicą? Czy tam jest szansa na jakiś przełom?

– Nie ma na razie żadnych doniesień o nowych lekach. Mamy remdesivir – amerykański lek antywirusowy, oraz deksametazon – lek sterydowy, wykorzystywany w ciężkich przypadkach, czyli u osób rozpoczynających terapię respiratorową. I to tyle.

Te leki, jak rozumiem, działają w pewnym stopniu, ale nie są żadnymi cudownymi środkami.

Nie ma przełomu w leczeniu COVID-19

Obecnie testuje się ponad 150 substancji, ale jeszcze nie wynaleziono nic, czym można by się pochwalić

– Deksametazon jest przełomowy z punktu widzenia statystyki – zmniejsza śmiertelność u chorych na COVID-19 o 30%. Nie jest to jednak przełom medyczny, gdyż ten lek stosuje się już od 50 lat w leczeniu różnych stanów zapalnych. Teraz świetnie nam się dopasował do wskazań przy COVID-19. Ugruntowaną wiedzą jest już bowiem to, że w trakcie tej choroby dochodzi do fazy zapalnej, gdzie istotne staje się leczenie nie przeciwwirusowe, lecz właśnie przeciwzapalne.

Jeśli chodzi o remdeswir, mamy do czynienia z 20-procentową poprawą rokowania u pacjentów z ciężkimi objawami. Ten lek bardziej jednak się

– Zdementowano już pogłoski, że mogą być skuteczne. Liczne badania pokazały, że chlorochina i jej pochodne nie działają. Podobnie jest z lekami na HIV – nie osiągnięto znaczących rezultatów.

Co natomiast słychać w kwestii badań nad mniejszą śmiertelnością chorych na COVID-19 w tych społeczeństwach, gdzie wysoki jest odsetek szczepionych przeciw gruźlicy? Były doniesienia sugerujące, że to może mieć znaczenie.

– Wciąż nie ma żadnych eksperymentalnych potwierdzeń tej hipotezy. Na razie są to tylko obserwacje

Zdementowano już pogłoski, że leki na HIV czy malarię mogą być skuteczne w przypadku COVID-19.

sprawdza w kwestii np. skrócenia czasu pobytu w szpitalu.

Słyszał pan o jakimś zupełnie nowym leku, nad którym trwają prace, a który naprawdę dawałby nadzieję rozprawienia się z COVID-19?

– Na razie nie ma niczego takiego na rynku. Oczywiście testuje się obecnie ponad 150 substancji, ale jeszcze nic nowego z tych testów nie wynikło. Nie wynaleziono niczego, czym można by się pochwalić.

To są głównie nowe substancje czy też leki, które już istnieją, badane pod kątem przydatności w leczeniu COVID-19?

– Bardzo z tym różnie. Są wśród nich nowe leki, które miałyby powodować tzw. nieprawidłowe analogi, czyli nieprawidłową syntezę materiału genetycznego wirusa, ale i te stare, wcześniej wykorzystywane. Ich potencjalna przydatność jest analizowana przez komputery.

Słyszałam, że badano też leki na HIV czy malarię. Jaki rezultat?

statystyczne. Trwają badania. Nie ma jednak żadnych, które wykazałyby, że osoby szczepione na gruźlicę mają większą odporność na COVID-19. Szczerze mówiąc, wątpię, by to się potwierdziło. Musielibyśmy mieć 30-, 40-letnią pamięć immunologiczną po szczepieniu przeciw gruźlicy, byśmy teraz byli chronieni.

Nie ma żadnych badań, które wykazałyby, że osoby szczepione na gruźlicę mają większą odporność na koronawirusa.

Wiele krajów Europy Zachodniej zaprzestało już tych szczepień, a wiadomo, że właśnie ich obywatele żyją średnio najdłużej. Większy jest więc tam procent osób starszych, a to wśród nich śmiertelność z powodu wirusa jest zdecydowanie najwyższa. Może stąd korelacja między mniejszą śmiertelnością na COVID-19 a wysoką wyszczepialnością?



DR N. MED. PAWEŁ GRZESIOWSKI

– pediatra i immunolog, prezes Fundacji Instytut Profilaktyki Zakażeń

– Właśnie. Z całą pewnością starsze społeczeństwa mają większe ryzyko powikłań covidowych. Hipoteza „szczepieniowa” związana z gruźlicą czy też wiążąca niższą odporność z wysokim poziomem higieny to wciąż nie jest żadna konkretna, potwierdzona wiedza.

Z niektórych doniesień wynika, że lada chwila pojawi się szczepionka przeciw koronawirusowi. Chwalą się tym m.in. Rosjanie.

– Moim zdaniem to wszystko fake newsy i pompowanie medialnej bańki, by zgłaszali się inwestorzy. Póki nie będzie ugruntowanych

publikacji, nie możemy mówić o niczym pewnym. Im więcej jest tych doniesień w głównych mediach, a jednocześnie niewiele w naukowych, tym bardziej to wszystko niepokojące. Jeśli ktoś miałby już dobry preparat, dlaczego nie publikuje badań w prasie naukowej, tylko chwali się w mediach ogólnych?

Wywiad nie był autoryzowany.

Kto odpowiada za katastrofę

Mikołajczyk dopuścił się niełojalności wobec Rządu. Nie było ani głosowania, ani żadnego postanowienia w sprawie powstania

Prof. Janusz Kazimierz Zawodny wykonał ogromną pracę w dokumentowaniu powstania warszawskiego. Ludzie o nim decydujący ufali temu emigracyjnemu historykowi i choć bronili swoich racji, to mówili prawdę. Sam Zawodny w książce „Powstanie warszawskie w walce i dyplomacji” (Warszawa 1994) nie różni się od największych jego obrońców. Choć gen. Mariana Kukieła prosi o pomoc i radę w dochodzeniu do prawdy, nie staje po jej stronie. Dlaczego? Może ze strachu przed ostracyzmem środowiska emigracyjnego? Może na emigracji nadal działały struktury egzekucyjne zorganizowane na wzór mafijny przez Piłsudskiego do „brudnej roboty”?

Ze spuścizny prof. Zawodnego przytaczamy fragmenty dwóch rozmów/wypowiedzi. Wyjaśniają one, jak się robi wielką politykę, jak funkcjonuje władza. Ktoś, kto zajmuje się przeszłością, rzadko ma okazję obejrzeć ją od kuchni. Jedną z najważniejszych przesłanek podjęcia decyzji o walkach w stolicy była uchwała Rady Ministrów upoważniająca kraj do rozpoczęcia walki.

W wydanych przez Polską Akademię Umiejętności „Protokołach posiedzeń Rady Ministrów Rzeczypospolitej Polskiej, t. VII, maj-listopad 1944 r.” w protokole posiedzenia RM z 25 VII 1944 r.¹ (s. 220) czytamy: „Rada Ministrów uchwaliła upoważnić Delegata Rządu do powzięcia wszystkich decyzji wymaganych tempem ofensywy sowieckiej, w razie konieczności bez uprzedniego porozumienia się z Rządem”. Ta uchwała nawiązywała do dyskusji, czy w ramach „Burzy” ogłaszać w Polsce powstanie powszechne, a nie walki w Warszawie.

Natomiast w tomie IV, „Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945” (Londyn 1977, s. 12), znajduje się pismo premiera Mikołajczyka do ministra spraw wewnętrznych, by wysłał delegatowi depeszę o treści: „Delegat Rządu. Na posiedzeniu Rządu RP zgodnie zapadła uchwała upoważniająca Was do ogłoszenia powstania w momencie przez Was wybranym. Jeżeli możliwe – powiadomcie nas przedtem. Odpis przez wojsko² do Komendanta AK. Stem”. Jak to się działo faktycznie, mówią świadkowie.

Konflikt

Mikołajczyk-Sosnkowski

Nazwisko i imię: Kopański, Stanisław.

Stopień: generał.

Funkcja: Szef Sztabu przy Komendzie Głównej, 1944.

Data wywiadu: 10.5.1965. London.

(...) W 1943 i w 1944 roku nastąpił rozdziewiek między Mikołajczykiem a Rządem *versus* Sosnkowski. Mikołajczyka cechowała gotowość ratowania naszej niepodległości oraz organizacji podziemnych. Sosnkowski był przeciwnikiem współpracy z Rosją.

Bór-Komorowski i Jankowski poszli raczej po linii poglądu Mikołajczyka aniżeli Sosnkowskiego, szczególnie w wypadku ujawnienia się, po Powstaniu, Armii Krajowej.

Między Mikołajczykiem a Sosnkowskim była atmosfera wzajemnej nieufności, rozmowy między nimi były rzadkie. Karygodną rzeczą było, że ci obaj ludzie nie porozumieli się ze sobą, a jeżeli to czynili, to tylko piśmiennie. A przecież obydwaj mieli samochody.

Konstytucja z 1935 roku określiła stosunki Prezydent – Rząd – Naczelnny Wódz. Uchwały Rządu nie

obowiązywały Naczelnego Wodza prawie wcale. Miał on nieograniczone prawo działania. Rolą Prezydenta było koordynowanie czuwania nad tym, aby nie zachodziły rozbieżności.

Z jednej strony mieliśmy Mikołajczyka, z drugiej Sosnkowskiego. Mikołajczyka umysł nie dorastał do wizji politycznej, ale usiłował on grać koniunkturalnie. Postawa Sosnkowskiego może być tak zobrażowana: „Ustalenie zasad, zamknięcie ich w gablotce i powiedzenie: »Jestem niezłomny!«”.

Dowódca AK wiedział, że dopóki nie było lotnisk alianckich nad Renem, nie mogło być mowy o pomocy dla powstania.

Wielkim mężem stanu nie był żaden z nich. Mikołajczykowi brakowało intelektu, Sosnkowskiemu umiejętności brania ryzyka. Na Sosnkowskim ciążył cień Piłsudskiego. Piłsudski był mężem stanu, był wielkim człowiekiem. Gdy Chrystus odszedł – został św. Piotr. Sosnkowski był Naczelnym Wodzem, do którego nie należały kwestie polityczne – ale on objął spuściznę po Chrystusie – Piłsudskim.

W lipcu 1944 roku, kiedy Sowiety były na ziemiach polskich,

Sosnkowski wyjechał z Londynu. Kukieł, Mikołajczyk i Prezydent odradzali mu ten wyjazd. Domyślano się, że Sosnkowski chciał jechać do Włoch, aby tam manewrować Andersa.

Kto miał prawo decydować o walce w kraju? To nie była tylko odpowiedzialność Naczelnego Wodza – tu musiał decydować Rząd, gdyż powstanie było zagadnieniem polityczno-wojskowym. Tylko wspólnie należało pobrać decyzję.

Depesza Naczelnego Wodza z dnia 7 lipca 1944 powinna by-

ła wydać decyzję: zgadzam się na „Burzę” i na powstanie lub nie zgadzam się. A właśnie wtedy Sosnkowski wyjeżdża z Londynu. Był on zdecydowany na zaszachowanie Prezydenta, aby przeciwstawić się polityce Mikołajczyka.

Sosnkowski, wyjeżdżając, nie zostawił mi żadnych pełnomocnictw. Ja porozumiewałem się z Prezydentem. Jeśli poglądy Rządu i Sosnkowskiego różniły się, to w wypadkach wątpliwych odwoływałem się do Prezydenta.



Naczelnny wódz gen. Kazimierz Sosnkowski (w środku) z gen. Marianem Kukiem (z lewej) i gen. Stanisławem Kopańskim.

Prezydent Raczkiewicz: wzorowy, wyższy urzędnik. Elegancki, duże poczucie obowiązku, umysł urzędnika, a nie męża stanu. Nie był on politykiem ani mężem stanu, brakowało mu silnej woli, ale miał poczucie obowiązku. (...)

Mikołajczyk: siedł on na rozmowy ze Stalinem i chciał osiągnąć polityczny atut dla powstania. 25 lipca Mikołajczyk dopuścił się nielojalności wobec Rządu. Nie było ani głosowania, ani żadnego postanowienia w sprawie powstania. Ale jednak Mikołajczyk dał Banaczkowi depeszę upoważniającą rozpoczęcie akcji „Burza” w kraju i powstania w Warszawie. Ani Kukiel, ani Kwapiński, ani ja nic nie wiedzieliśmy o tej depeszy. (...)

Sosnkowski pojechał do Włoch, aby ratować Polskę, przygotowując bunt w II Korpusie. Rozkaz na wykonanie „Burzy” i na powstanie musiałby dać w porozumieniu z Rządem. Nie zrobił tego – i tu zawiódł.

Dowódca AK wiedział, że dopóki nie było lotnisk alianckich nad Renem, nie mogło być mowy o pomocy dla powstania. Zarówno my sami, jak i Anglicy zostaliśmy zaskoczeni powstaniem. (...)

Teheran: W grudniu 1943 roku nasze czynniki polityczne wiedziały, że

wschodnie ziemie Polski zostały nam zabrane. Czy wiadomości te zostały przesłane do Bora – nie wiem. (...)

Depesza zniekształcona przez ludzi Mikołajczyka

Wywiad z gen. Marianem Kukiem nt. planu „Burza”, wiosna 1965 r.

Nazwisko i imię: Kukiel, Marian.

Stopień: generał dywizji.

Funkcja: Minister Obrony Narodowej od jesieni 1942 roku.

Data wywiadu: wiosna 1965. London.

Zawodny: Panie Generale, czy informowaliście Bora, że nam rozdarto Polskę w Teheranie w 1943 roku?

Kukiel: Niepokój o to, co zostało postanowione w Teheranie, był bardzo duży, wobec kompletnej niechęci informowania nas. Ja dowiedziałem się prawdy dopiero z pamiętników Churchilla. My obawialiśmy się, że Europa zostanie podzielona według obszaru operacyjnego oraz okupacji. I przenikało do nas powoli, że Europa po Łabę przeznaczona została na obszar operacyjny sowiecki. W lutym 1944 roku Churchill przedstawił swoją koncepcję co do Sowietów

i odpowiedź, jaką przygotował dla nas. Już wtedy jasnym było, że planem Churchilla było przyjęcie linii Curzona, w zamian za co obiecywał on ratować naszą niepodległość. (...)

Zawodny: Czy depesza z 25 lipca 1944 upoważniła Bora do (wszczęcia?) Powstania? Była wystana z Rady Ministrów – czyli Rząd?

Kukiel: Sprawa weszła na porządek dzienny w ten sposób: na wniosek Szefa Sztabu i jego zastępcy do spraw krajowych, którzy żądali, aby na wypadek odcięcia łączności z krajem dano im (w kraju) upoważnienie do pobierania decyzji zależnych od postępów sił sowieckich w Polsce. I to tak było przez nas rozumiane. To znaczy, że tylko wtedy, kiedy kontakt będzie zerwany. Ten projekt był inspirowany przez Prezydenta Raczkiewicza, który mówił, że trzeba, aby te pełnomocnictwa były jak największe, bo oni tam tak rozumnie i zgodnie pracują. Ten wniosek był sformułowany u Prezydenta, w obecności Kopańskiego, Tabora i mojej, ale na Radzie Ministrów byłem obecny tylko ja. Na posiedzeniu sprawa ta weszła wśród bardzo ożywionych dyskusji nad wyjazdem premiera i nad sytuacją, jaką on tam może zastać. Nastąpiła żywa wymiana zdań.

Zawodny: Czy to dotyczy także ewentualności Powstania powszechnego?

Kukiel: Tak, ale myśmy wychodzili z założenia, że nie było już kontaktu z władzami. W nomenklaturze krajowej ta walka to było rozszerzenie pojęcia „Burzy”. Przez rozkaz z dnia 7 lipca, gdzie wyraźnie była mowa o dążeniu do opanowania wszelkich środków o znaczeniu politycznym, co dla mnie znaczyło podjęcie walki o Warszawę. Zapobiec temu nie mogły najlepsze instrukcje do Powstania powszechnego. Trudno mi powiedzieć, czy uchwała ta przesądziła sprawę Powstania powszechnego. Ono zawsze uzależnione było od załamania się Niemców. Z drugiej strony ta uchwała nie mogła ograniczyć podjęcia walki o Warszawę.

Zawodny: Czy ta depesza „Stema”, czyli Mikołajczyka, odzwierciedlała wiernie treść depeszy uzgodnionej 25 lipca na Radzie Ministrów w Londynie?

Kukiel: Przeinaczała sens decyzji powziętej poprzednio. Zamiast powiedzieć: że gdybyście nie mogli

- się z nami skontaktować, to możecie ogłosić Powstanie – redakcja jej została odwrotnie skomponowana. (...)

Dzień 28 lipca:

Przyniosłem właśnie „instrukcję dla kraju” i gdy zaczęliśmy mówić o niej, podnosi się Banaczyk, wychodzi do sekretariatu i powraca z depezą „Stema” z dnia 25 lipca:

Chciałem depeszować, że są w Rządzie wątpliwości co do Powstania, są różnice między Rządem a Naczelnym Wodzem.

„to wcale niepotrzebne, bo Premier już wysłał taki telegram”. Nastąpiła konsternacja, natychmiast zażądano przedłożenia protokołu z posiedzenia 25 lipca. Nie było jeszcze tego protokołu w ostatecznej formie. Wobec tego 28 lipca przyjęto jako fakt dokonany, że taka depesza została wysłana. Chciałem depeszować, że są w Rządzie rozbieżności zdań, są wątpliwości co do Powstania, są różnice między Rządem a Naczelnym Wodzem: rozmawiałem na ten temat z wicepremierem Kwapińskim. Ta

depesza została zniekształcona przez ludzi Mikołajczyka. Już po Powstaniu przyszła odpowiedź: „Nie rozumiemy żadnych rozbieżności. Nie robimy powstania, a robimy Burzę”. (...)

Zawodny: „Burza” na wschodnich terenach Polski? Pańska opinia?

Kukiel: Po pierwszych aresztowaniach w Wilnie dałem depezę z kraju

jest człowiekiem bez charakteru, ale naciski na niego były okropne. (...)

Zawodny: Jak Pan Generał widzi ówczesny Polski Rząd na Emigracji teraz?

Kukiel: Wiele nieszczęść mogło być ominiętych. Tak jak było za czasów Sikorskiego. Wojna nowoczesna – wojsko jest instrumentem polityki. Brak było koordynacji. Istniały dwa ośrodki: Rząd i Naczelnny Wódz, i Prezydent nie współpracują, kiedy stosunki między nimi są nieporęczne i źle zsynchronizowane. (...)

Przytoczone dokumenty wraz ze wstępem do nich znalazły się w wydanym właśnie przez PRZEGŁĄD piątym tomie „Zakłamanej historii powstania”.

¹ W tym protokole zachował się niewielki pośredni ślad wskazujący na związek decyzji o powstaniu w Warszawie z utworzeniem PKWN i wyjazdem premiera Mikołajczyka na zaproszenie Stalina do Moskwy.

² Czyli przez naczelnego wodza. Nie uczyniono tego.

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

DROGA DO TRAGEDII NIEZNANE DOKUMENTY PAŃSTWA PODZIEMNEGO



W PAKIECIE TANIEJ ~~210 zł~~ 159 zł



Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nieresztrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

✉ Kto był okupantem?

Z przykrością stwierdzam, że pan prezydent Andrzej Duda z zadziwiającym uporem informuje swoich zagranicznych rozmówców, że „żył pod okupacją sowiecką”. Chciałbym za pośrednictwem PRZEGŁĄDU zadedykować panu prezydentowi słowa wybitnego Polaka, nienachalnie wielbiącego PRL, byłego szefa Wolnej Europy, Jana Nowaka-Jeziorańskiego, który w licznych wywiadach powtarzał: „Nigdy nie twierdziłem, że Polska była pod okupacją sowiecką”. Kard. Stefan Wyszyński głosił z ambony: „Dostaliśmy do wolności przez gruzy”, a papież Jan Paweł II pisał w pamiętnikach: „W nocy 18 stycznia doczekałem się wyzwolenia Krakowa”. Podobnie myślących historyków nie brakuje.

Z prezydentem Andrzejem Dudą żyjemy w jednym kraju, Kraków i Warszawa leżą nad tą samą rzeką, a mamy tak odmienny osąd rzeczywistości: ja nie przeżywałem „okupacji sowieckiej”, chociaż jestem dwa razy starszy od prezydenta. Proponuję, by pan prezydent spisał w detalach cierpienia doznane „pod butem sowieckim” i porównał z moimi doświadczeniami.

Kiedy we wrześniu 1939 r. Niemcy wkraczali do mocno zniszczonej Warszawy, miałem na plecach tornister z podręcznikami do I klasy. Moją szkołę przy ulicy Kowelskiej – najnowocześniejszą na Pradze – zajęło wojsko, a naukę dzieciaków zorganizowano w czynszowych kamienicach. Uczono mnie tylko pisać, czytać i rachować, jako przyszła siła robocza nie musiałem znać historii, geografii czy literatury. Gimnazja, licea i uczelnie zostały zamknięte na kłódkę. Lekcje odrabiałem przy karbidówce, ponieważ okupant ciągle wyłączał prąd.

Moje dorosłe rodzeństwo (dwóch braci i trzy siostry) padło ofiarą ulicznych łapanek. Czworo wylądowało w niemieckim przemyśle zbrojeniowym. Najmłodsza siostra, 17-letnia Jasia, trafiła do domu publicznego dla pilotów Luftwaffe na Okęciu. Wróciła po dwóch latach jako strzęp człowieka. Nie doczekała lepszych czasów.

Obowiązywała godzina policyjna, wprowadzono zakaz słuchania radia, kara śmierci groziła prawie za wszystko, nawet za wypiek białego chleba. Codziennym ponurym rytuałem były egzekucje publiczne dokonywane na oczach przechodniów. Żydzi – zanim trafili do getta – chodzili po ulicach oznakowani gwiazdą Dawida. Na widok niemieckiego oficera musieli przejść na drugą stronę ulicy i mocno czapkować okupantom. W tramwajach były wydzielone przedziały „tylko dla Niemców”. Tylko dla nich były też kawiarnie, restauracje, kina, stadiony i hale sportowe. Największe parki, w tym warszawskie Łazienki, także.

W Warszawie wychodziła tylko jedna gazeta – „Nowy Kurier Warszawski”, nazywany gadzinówką. Nie było paszportów, każdy dorosły miał ausweis, ja legitymację szkolną wydaną po niemiecku. Listy wysyłano wyłącznie do „zaprzyjaźnionych krajów”, a można je było nadawać tylko na Poczcie Głównej.

Zanim niemiecki okupant opuścił Warszawę, rozprawił się z powstaniem, wymordował ok. 200 tys. mieszkańców. Zdążył nawet wysadzić w powietrze Zamek Królewski, który po wojnie – jak twierdzi prezydent – został odbudowany wyłącznie wysiłkiem społecznym, a nawet wbrew „komuchom”.

A jak było w Krakowie?

Tadeusz Zakrzewski, Warszawa

f Powstanie nie miało żadnego sensu

Powstanie warszawskie miałoby sens jako skoordynowane z działaniami Armii Czerwonej i berlingowców w trakcie wyzwolenia stolicy, jako np. dywersyjne sianie zamętu na tyłach niemieckich.

Olaf Nowaczyk

AK to nie była jakaś żadna zemsta zbieranina rodem z filmów Tarantina. To było karne wojsko. A w wojsku liczy się rozkaz. Jest rozkaz atakować – się atakuje. Jest rozkaz stać – się stoi. W sierpniu 1944 r. AK nie miała żadnych realnych możliwości atakowania. Jasne było, że akcja „Burza” okazała się niepowodzeniem, a Wehrmacht może i jest pobity, ale nadal uzbrojenie powstańców daje niewielkie szanse na równorzędną walkę. Generalnie żaden dobry dowódca nie podjąłby wówczas decyzji o ataku. Nikt, kto przeczytał ze zrozumieniem Clausewitz’a i przeanalizował historię poprzednich zrywów. I to nie jest wiedza z dzisiejszej perspektywy. Te fakty widział każdy rozsądny strateg już wtedy. Żołnierskie męstwo powstańców jest więc chwalebne, ale dowodzenie mierne.

Kordian Chizhevsky

f Zmierzch Cesarstwa Amerykańskiego

Prof. Andrzej Szahaj ubolewa nad upadkiem Ameryki. A niech upada. Tym bardziej że na własne życzenie – argumenty w tekście. To państwo od czasów II wojny światowej spowodowało śmierć ponad 30 mln ludzi w wojnach, w których brało udział, jest więc jednym wielkim zagrożeniem dla świata. Bajki o obronie demokracji są z półki największych fałszerstw świata.

Upada oligarchiczne, neokonserwatywne imperium z ogromnym arsenałem konwencjonalnym i atomowym. Neoliberalizm to początek końca demokratycznych państw (Francuzi i Niemcy zaczynają to rozumieć). Stany Zjednoczone korupcją, zdradą, ogniem i mieczem wprowadzały tę najszkodliwszą neoliberalną ideę pod pozorami demokracji. Polska, niestety, podążyła za nimi. Dzisiaj już wiemy, jak wielkie szkody narobił Balcerowicz, podobnie jak wszystkie neoliberalne rządy z SLD włącznie. Pisowskie władze (błędnie przyrównywane do „komuny”) idą tą coraz węższą ścieżką. Dlatego za wszelką cenę chcą sprowdzić wojska w swoim charakterze okupacyjne, które staną w obronie neokonserwatywnego porządku, gdyby zniszczona i zaniedbana polska armia miała się zbuntować. Ambasador USA w Polsce zaczyna się zachowywać jak gubernator. Teraz będzie miała do dyspozycji własne wojsko.

Autor pisze o krótkotrwałych efektach reaganomiki i thatcheryzmu na świecie. W Polsce obserwujemy takie same skutki. USA i Polska dobrowolnie zniszczyły własne siły wytwórcze – chociaż z innych pobudek ideologicznych – co doprowadziło do zubożenia i rozwarstwienia społeczeństwa. To rodzi bunt. W USA objawia się on zachowaniami wręcz rewolucyjnymi, a w Polsce sprzeciwem wobec neoliberalizmu było głosowanie na populizm PiS. Ale do społeczeństwa nie dociera fakt, że PO i PiS to ta sama neokonserwatywna ideologia. Było źle, będzie jeszcze gorzej!

Marek Głowinkowski



Pani Zuzanno, proszę zostać z nami

Czasem trzeba robić coś nie dlatego, że przyniesie nam korzyść, ale dlatego, że to jest słuszne

Bogdan Galwas

W 31. numerze PRZEGŁĄDU przeczytałem list do 16-letniej Zuzanny, napisany przez jej ojca, Sławomira Czapnika. Bardzo smutny i przygnębiający tekst, jedna z wielu refleksji po ogłoszeniu rezultatu ostatnich wyborów prezydenckich. Wpisuje się on na listę konkluzji: jest złe, będzie jeszcze gorzej. Wielu autorów widzi przyszłość jako ponurą drogę prowadzącą nas na peryferie cywilizowanego świata. Przeczytałem też wiele tekstów oceniających błędy kampanii wyborczej, roztrząsań: gdyby nasz kandydat zrobił coś inaczej, a czegoś nie zrobił, wynik mógłby być inny, a wtedy przyszłość naszego kraju rysowałaby się jaśniej. Niektóre z tych spóźnionych recept przeczają sobie nawzajem, ale rozumiem, że wielu z nas przeżywa gorzkie dni po poniesionej porażce.

Oglądałem też transmisję pewnej uroczystości na Zamku Królewskim, triumfował i radował się obóz zwycięzców. Hasło zwycięzców jest proste: „To nie koniec, to dopiero koniec początku wielkiej zmiany,

Emigracja młodych, wykształconych i zdolnych ludzi osłabia nas i utrudni nam zmiany w dobrym kierunku.

którą wam przygotowaliśmy”. Jest czego się bać!

Zgadzam się z opinią, że ostatnie wybory miały dla naszej przyszłości wielką wagę. Duża część z nas uświadomiła sobie, że droga, którą idziemy, prowadzi nas w złą stronę, że zaszliśmy za daleko, że najwyższy czas zawrócić. Już w roku 2007 powstał obóz, który postanowił zmienić kierunek marszu wytyczony przez naszą prawicę. Mobilizacja roku 2007 dała dobry wynik, odetchnęliśmy



z ulgą, okres 2005-2007 wydawał się epizodem. To jednak nie był epizod. Teraz konieczność zmiany stała się palącą. Myśląc w ten sposób zmobilizowali się, skrzyknęli i poszli do urn z nadzieją, że zaczną od zmiany prezydenta. Zdawali sobie sprawę, że będzie trudno. Było trudniej, niż oczekiwali. Niestety, nie udało się. Nie będzie zmian, jeszcze nie teraz. Wszystko wskazuje, że następnym razem będzie jeszcze trudniej.

Mój tekst jest kolejnym składającym się na wspólną refleksję: i co teraz, i co dalej? Najpierw uwagi, że być może jest gorzej, niż nam się wydaje. Bardzo mnie smuci wynik pierwszej tury i rezultat uzyskany przez Roberta Biedronia (Panie Robercie, bardzo dziękujemy). Pół miliona głosów to twardy elektorat lewicy. Nic więcej. Pół miliona obywateli uważa, że model naszego państwa powinien być inny, że powinno to być państwo służące ludziom,

wszystkim ludziom. Ani PiS, ani PO nie myślą o takim modelu. Ale ludzi lewicy jest tylko pół miliona. Nazywani są lewactwem (niech kojarzą się z robactwem), ich poglądy są neobolszewizmem. Przykład USA pokazuje nam, że temu globalnemu wzorcowi demokracji nie jest potrzebna lewica. Mówią nam: USA to wzorzec, powinniśmy iść w tę stronę. Jak widać – idziemy. Oczywiście w kolejnych wyborach więcej głosów może zostać oddanych na kandydatów lewicy, jeśli będą mili, sympatyczni, odpowiedzialni, przygotowani przez specjalistów od zdobywania głosów. Ale to oni zdobędą te głosy, a nie ich programy ani cele, które chcą osiągnąć.

Wybory ostatnich miesięcy pokazały nam, że idziemy w stronę modelu politycznego z dwiema partiami, takiego jak w USA. Wielu polityków w naszym kraju uważa, że taki model powinien być docelowy w Polsce. Głosy o konieczności wprowadzenia jednomandatowych okręgów wyborczych to sygnał popularności tego modelu. System dwupartyjny w naszych realiach oznacza praktyczną eliminację lewicy z życia politycznego w Polsce. Druga tura ostatnich wyborów pokazała istotne różnice między kandydatami popieranymi przez PiS i PO. Jednakże model polityczny naszego państwa oparty na wyborze między PiS a PO zamknąłby nam wiele kierunków rozwoju. Czy kolejne lata rządów PO znów przygotują grunt pod zwycięstwo kościelnie i nacjonalistycznie myślącej prawicy? Wielu z nas obawia się, że jesteśmy bliżej modelu dwupartyjnego niż trzy lata temu.

Na liście zmartwień jest jeszcze jeden punkt, który każe nam się zastanowić nad przyszłością. Internet i media społecznościowe wytworzyły mnogość narzędzi i kanałów informacyjnych, aby wpłynąć na nasz punkt widzenia. Poznajemy świat nie

taki, jaki jest, ale taki, jaki nam pokazują. Wśród docierających do nas informacji dominują głośnie. A ta głośność zależy od pieniędzy i władzy posiadanych przez tych, którzy emitują informacje. Wiele prawdziwych informacji ginie w szumie. Ile zostało

wyboru przywódcy/partii, którzy otrzymają tą drogą władzę kierowania państwem przez jedną kadencję. Czy mechanizm „wolnego wyboru” jest dla nas jeszcze dostępny? Wielu uważa, że można go naprawić tylko przez katastrofę.

robimy. Wojciech Młynarski powiedział nam: „Róbmy swoje”. To prosta i dobra rada. Droga do zmian i ulepszenia państwa prowadzi przez edukację, przez zmianę świadomości naszego społeczeństwa, przez dyskusje i debaty, przez publikacje i lektury. PRZEGLĄD stwarza nam forum dyskusji nad kierunkami zmian, wykorzystajmy to. Bardzo liczę na młodą generację, jej wykształcenie i aktywność. Emigracja młodych, wykształconych i zdolnych ludzi osłabia nas i utrudni nam zmiany w dobrym kierunku. Rozumiem argumentację Sławomira Czapnika, gdy radzi Zuzannie, by wyjechała, jednak nie podzielam tej konkluzji. Proszę Panią Zuzannę, by pozostała i pracowała z nami nad naszą wspólną przyszłością.

System dwupartyjny w naszych realiach oznacza eliminację lewicy z życia politycznego w Polsce.

miejsca na naszą indywidualną ocenę? Czy docierają do nas obiektywne obrazy rzeczywistości, aby zgodnie z naszą wiedzą i systemem wartości przyjąć właściwą ocenę? Jaka liczba fałszywych obrazów jest w stanie zmienić naszą decyzję o wyborze? Współczesna praktyka pokazuje, że zmiana decyzji przez kilka procent głosujących zmienia wynik wyborów dwubiegunowych.

Liczba kanałów, jakimi można do nas dotrzeć, aby wpłynąć na nasz punkt widzenia i podjęcie końcowej decyzji przy urnie wyborczej, jest znaczna. Wiedzą o tym ci, którzy obsługują media społecznościowe i za pieniądze gotowi są dzielić się tą wiedzą z innymi. Systemy informacyjne zgromadziły wielką dokumentację o naszych upodobaniach, polubieniach. My nawet nie wiemy, kto i co o nas wie. Istotą demokracji jest możliwość dokonania wolnego

Musimy przyjąć do wiadomości, że my, społeczeństwo ludzi mieszkających nad Wisłą, nie jesteśmy teraz w stanie stworzyć lepszego modelu państwa niż to, co uzyskaliśmy po serii ostatnich wyborów. Godzimy się z tym, że poziom naszej piłkarskiej Ekstraklasy jest znacznie niższy od angielskiej czy niemieckiej.

Poznajemy świat nie taki, jaki jest, ale taki, jaki nam pokazują.

Podobnie wygląda sprawa z instytucjami naszego państwa, mechanizmem podejmowania decyzji przez Sejm, stanem naszego systemu ochrony zdrowia, systemu edukacji i kilku innych. Ta ocena nie jest rezultatem kompleksu niższości, bo go nie mam.

Stoimy przed koniecznością odpowiedzi na pytanie, co teraz

Pozdrawiam serdecznie Pana Sławomira i kończę tekst Jego zdaniem: „Czasem trzeba robić coś nie dlatego, że przyniesie nam korzyść, materialną czy niematerialną, ale dlatego, że to jest słuszne”.

Bogdan Galwas jest emerytowanym profesorem Politechniki Warszawskiej i wieloletnim członkiem Komitetu Prognoz PAN

LIST

Do Pana Sławomira Czapnika

Wyjątkowo mnie zmartwił i zaniepokoił Pana list do córki (PRZEGLĄD nr 31). Wniosek z niego płynie bowiem jeden: ponieważ Polacy są z natury źli, a „Polska to kraj agresji i alkoholu”, ta część młodzieży, której bliskie są wartości, powinna z Polski wyemigrować (jako ewentualne cele tej emigracji wymienia Pan Szwecję i Holandię) i nigdy do niej nie wracać.

Zacznę od tego, że w tym liście cały czas Pan generalizuje, oceniając Polaków jako nietolerancyjnych, gdyż m.in. potępiają piercing i weganizm („Polak musi jeść schab i popijać go wódką albo piwem”). Aczkolwiek moje doświadczenia życiowe skłaniałyby mnie do postawienia tezy akurat odwrotnej, tj. że Polacy są w większości dobrzy i pełni empatii, nie stawiam jej, gdyż sądzę, że żadne uogólnienia nie są w tym wypadku trafne. Nasz stosunek do innych ludzi kształtuje bowiem przede wszystkim to, czy zaliczamy ich do swojego „stada” (rodziny, narodu...). Jeśli tak, to są swoi, a wobec nich jesteśmy tolerancyjni i najczęściej życzliwi, jeśli nie – są obcy i tym

samym groźni, zasługują więc na niechęć, pogardę, a w skrajnym wypadku nienawiść. Nic więc dziwnego, że Pana córka, tak świadomie kształtująca wygląd na zasadzie odmienności wobec stereotypu polskiego dziewczęcia (piercing), spotyka się z odrzuceniem, zwłaszcza przez ludzi starszych, nieznających świata poza własną okolicą. Stanowisko Kościoła, obawiającego się utraty „owieczek”, a także PiS, bazującego na podsycaniu lęku przed liberalizmem i umacnianą załączki nacjonalizmu, sprzyjają ksenofobii.

Emigracja z Polski tych spraw bynajmniej nie rozwiązuje. Owszem – w jakimś dużym skupisku miejskim wszyscy są w pewnym sensie obcy, ich „odmienność” więc zanika, spotykają się z obojętnością. Ale są sami i bardzo często z tego powodu nieszcześliwi. A po ich wyjeździe z kraju dzieje się przeważnie tak jak po Holokauście czy wyrzuceniu z Polski Żydów w 1968 r. – prawie nie ma Żydów, lecz antysemityzm rozwija się i kwitnie, a Zachód staje się zgniły. Nie tędy chyba zatem droga, raczej poprzez oswojenie rodaków z odmiennością i różnorodnością.

Anna Martuszczyńska, Sopot

Jak się kochają na świecie

Seks może być kluczem do zrozumienia wielu aspektów kulturowych społeczeństw

Rozmawia Rafał Piłkuła

Twoja poprzednia książka „Seks, betel i czary” była nazywana re-interpretacją „Życia seksualnego dzikich” Bronisława Malinowskiego. W nowej książce skupiasz się na życiu seksualnym „cywilizowanych”, mieszkańców megametropolii.

– Nie powiedziałabym, że mieszkańcy Trobriandów nie są cywilizowani. Raczej widzę to jako kontynuację, z tym że chronologicznie najpierw zaczęłam opisywać życie seksualne wielkich miast – w 2007 r. wyruszyłam w podróż dookoła świata, skąd przesyłałam reportaże do „Dużego Formatu”. Na trasie były Kair, Hongkong, Tokio, Nowy Jork i jeszcze pięć innych miast. Dwa lata później pojechałam pierwszy raz na Trobriandy śladem Bronisława Malinowskiego, ale to tę książkę ukończyłam jako pierwszą.

Wyruszyłeś 135 lat po Fileasie Foggu, bohaterze powieści Juliusza Verne’a „W 80 dni dookoła świata”.

Chciałeś powtórzyć tę trasę?

– Chciałam pokazać, jak przez te 135 lat od podróży Fogga świat się zmienił, zmniejszył. To była dodatkowa perspektywa dla tej książki. Kolejną był przełom w historii ludzkości. W roku 2007 ludzie zaczęli w większości mieszkać w miastach.

W Singapurze tylko małżeństwa mogą kupić mieszkanie.

Megamiasta takie jak Tokio czy Bombaj mają ludność porównywalną z wieloma krajami, są megaorganizmami. Nowy Jork może być równie luźny jak Szanghaj, ale oba miasta są zupełnie inne, różne jest też w nich podejście do seksu i miłości.

– Często miasta dają poczucie anonimowości, wolności. Ogrom Londynu drastycznie zmniejsza



ALEKSANDRA GUMOWSKA

– autorka książki „Seks w wielkich miastach”

prawdopodobieństwo, że na Oxford Street przypadkiem wpadniesz na osobę, z którą pluskałeś się nago w jacuzzi. Z drugiej strony w miastach takich jak Kalkuta czy Kair żyje się bardziej w tradycyjnych wspólnotach rodzinnych. Młodzi kairczycy z klasy średniej wyższej jeżdżą do Aleksandrii czy kurortów turystycznych, bo tam mogą się poczuć wolni i wiedzą, że nikt ich potem nie zapyta, co tam robili.

Skąd w ogóle pomysł, żeby zająć się właśnie życiem intymnym?

– Z antropologii kulturowej, którą mam we krwi i dla której jest jasne, że to, jak łączymy się w pary, jest warunkowane społecznie. I odwrotnie, nasz stosunek do małżeństwa, do związków jednoosobowych, do wychowania dzieci bardzo dużo mówi o naszej kulturze i ma wpływ na to, jak wygląda społeczeństwo. Kultura, w której żyjemy, kształtuje nasze podejście do miłości i seksu.



Rozumiem, że zgodziłaś się powtórzyć za Malinowskim, że seks jest raczej siłą socjologiczną i kulturalną niż czysto fizycznym związkiem dwojga osobników.

– Właśnie dlatego przywołałam w mojej książce te słowa Bronisława Malinowskiego. Seks może

być kluczem do zrozumienia wielu aspektów kulturowych i socjologicznych. Może być punktem wyjścia do szerszych obserwacji.

Czytając historie z Indii, Chin czy Egiptu, odnosi się wrażenie – jakże smutne – że seks i relacje są bardzo mocno powiązane z pieniędzmi. Jednak Europa jest bardziej romantyczna?

– W wielu krajach seks jest powiązany z małżeństwem, z zasady nie ma seksu pomiędzy kobietą i mężczyzną, którzy nie są poślubieni, a małżeństwo zawiera się według określonych zasad. W kairskiej klasie średniej tradycja mówi, że mężczyzna powinien małżonce zapewnić

życie przynajmniej na takim poziomie, jaki miała w domu rodzinnym, a najlepiej na wyższym. To ojciec narzeczonej uzgadnia warunki z narzeczonym i jego rodziną. W Indiach zaś to kobiety są zobowiązane do wniesienia dużego posagu i wielu rodziców całe życie zbiera pieniądze,

Młodzi kairczycy z klasy średniej wyższej jeżdżą do kurortów turystycznych, bo tam mogą poczuć się wolni.

żeby wydać córkę za mąż. To nie ma nic wspólnego z romantyzmem. Ale oczywiście istnieją tam również związki romantyczne.

W kulturze egipskiej to mężczyzna musi się starać. Bohaterki twojej książki mówią, że mieszkanie powinno mieć minimum 150 m kw.

– I to na początek. Nie ma mowy o dzieciach, jeśli nie przeprowadzą się do większego lokum, za które znów ma zapłacić on. Nie ma opcji wspólnego dorabiania się majątku. W Singapurze tylko małżeństwa mogą kupić mieszkanie, a narzeczeni mogą jedynie ubiegać się o prawo do zakupu.

Powiązanie ekonomii z seksem i wykluczenie wielu mężczyzn z możliwości korzystania z miłosnego szczęścia może skutkować przemocą seksualną. Czy liberalizacja podejścia do związków albo wręcz rewolucja seksualna nie jest tutaj rozwiązaniem?

– Rozwiązaniem jest to, żeby mężczyźni nie krzywdzili kobiet. Kropka. Kiedy dochodzi do przemocy seksualnej, powody mało mnie interesują. Przemoc jest nie do zaakceptowania. Niech sobie znajdą wentyl, dzięki któremu frustracje znajdą ujście. Wiele społeczności daje taki wentyl, którym jest seks mężczyzny z mężczyzną albo kobiety z kobietą, a który nie jest uważany za homoseksualizm. Są również

Japończycy tak dużo pracują, że nie mają ochoty ani czasu na seks.

prostitutki. W Indiach z powodu wszechobecnego molestowania stworzono specjalne wagony dla kobiet. **Michel Houellebecq w „Poszerzeniu pola walki” pisał, że seks podlega takim samym regułom w kapitalistycznym świecie jak inne produkty i jest tak samo wrażliwy**

na problemy kapitalizmu: nierówności i bariery dostępności.

– Kwestia dostępności to nie tylko problem kapitalizmu. Także w tradycyjnych, przednowoczesnych społeczeństwach istniał problem nierówności seksualnych. Kapitalizm tylko zmienił reguły tej dostępności. Już

nie tyle status, ile majątek decyduje o twoich „szansach” seksualnych.

Nie zawsze bogactwo gwarantuje udane życie seksualne. Japończycy są przecież dosyć zamożnym społeczeństwem, a bodajże co trzeci



W Indiach to kobiety są zobowiązane do wniesienia dużego posagu i wielu rodziców całe życie zbiera pieniądze, żeby wydać córkę za mąż.

mieszkaniec tego kraju, z tych przed 30. rokiem życia, nie ma żadnego doświadczenia seksualnego.

– Okazuje się, że tak dużo pracują, że nie mają ani ochoty, ani czasu na seks. Mają duży problem z tworzeniem związków i nie czują potrzeby zakładania rodziny. To jedna strona. Bo z drugiej strony tokijczycy mają dość naturalne, niezobowiązujące podejście do seksu. Jeśli dwie osoby podobają się sobie, po kolacji idą do hotelu miłości. **Dla wielu młodych ludzi, nie tylko w Japonii, ale generalnie wychowanych w zachodniej kulturze, seks jest przyjemnością, epizodycznym doświadczeniem, nie jest elementem cementowania związku.**

– Nie widzę powodu, żeby seks służył cementowaniu czegośkolwiek. Tak samo jak nie musi służyć do rozrodczości. Absolutnie może funkcjonować poza stałym związkiem i może stały związek umacniać. Jedno drugiego nie wyklucza – wybierz, która opcja ci pasuje.

Zdaniem Houellebecqa winą za zdrady, rozwody i kryzysy w związkach ponosi właśnie monogamia?

– Bardziej chodzi o to, że monogamiczny związek kobiety i mężczyzny nie powinien być jedyną sankcjonowaną przez państwo formą związku. Według niego nie ma powodu, żeby związki homoseksualne, poligamia, poliandria, poliamoria nie mogły być sankcjonowane przez państwo.

Tvoja książka kończy się próbą opisu przyszłości. Jest rok 2030 i Fileas Fogg trafia do świata inteligentnych androidów stworzonych do spełniania zachcianek. W tym świecie seks jest już kompletnie oddzielony od miłości i prokreacji. Czy uważasz, że tak może wyglądać przyszłość?

– To nie jest świat androidów. To nadal świat ludzi, którzy w jeszcze większym stopniu porozumiewają się za pomocą środków elektronicznych i seks jest możliwy na odległość kilku tysięcy kilometrów. Te zmiany już się rozpoczęły, więc część ludzi pewnie wybierze właśnie taki seks i miłość. Bo uważam, że miłość będzie możliwa. ■

FESTIWAL

26. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce

MICHAŁ URBANIAK – ORGANATOR

„Urbanator”, pierwsza płyta długofalowego projektu Michała Urbaniaka, który jazz połączył z hip-hopem, ukazała się już 26 lat temu. Tym razem międzynarodowej sławy skrzypek, saksofonista, kompozytor i aranżer pojawi się na warszawskiej Starówce z „Organatorem”. Na organach Hammonda grać będzie wirtuoz tego instrumentu, Wojciech Karolak, na gitarze Gabriel Niedziela, a skład uzupełnią dwaj Amerykanie: Michael Patches Stewart (trąbka) i Frank Parker (perkusja).

Urbaniak zaśląnął, nagrywając płytę „Tutu” z Milesem Davisem. Występował w zespołach Krzysztofa Komedy, Zbigniewa Namysłowskiego i Andrzeja Trzaskowskiego. Współpracował z takimi sławami jak Quincy Jones, Stéphane Grappelli, Joe Zawinul, Herbie Hancock, Wayne Shorter czy Jacob Pastorius. Od lat związany jest też z filmem i teatrem. Otrzymał główne nagrody na festiwalu w Gdyni za muzykę do „Długu”, „Pożegnania jesieni” i „Edenu”. Jest pierwszym na świecie



skrzypkiem wynalazcą, który zagrał na pięciostrunowych skrzypcach zbudowanych według własnego pomysłu.

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 15 SIERPNIĄ, GODZ. 19

(ap)

SERIAL



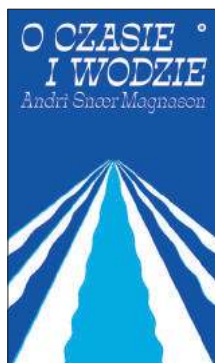
DRWALE
National Geographic,
w niedzielę,
godz. 22.00

Twórcy pierwszego historycznego serialu fabularnego NatGeo chcą opowiadać o rzezi sprzed dekad i komentować rzeczywistość zza okna. O dziwo, nieże im to wychodzi. Przybyli do Nowej Francji osadnicy łupią tę ziemię, nie bacząc na konsekwencje dla środowiska i autochtonów, którzy

tylko czekają, by pokazać nieproszonym gościom, dlaczego przez lata to przed ich ludem biły pokłony inne plemiona. Koloniści dostają po łapach, ale w starciu z tubylcami liczymy, że przynajmniej kilku ulubionych białych bohaterów ocaleje. Ciekawie potraktowano wątek ludzi niechcianych: rabusiów, morderców i upośledzonych, których wywieziono za ocean, by tam mogli odkupić grzechy jako tytułowi drwale. W rzeczywistości są tanią siłą roboczą, czym nie różnią się od... królewskich córek. Te mają tylko jedno zadanie: ku chwale Boga i Francji rodzić nowych osadników. Ekranizacja powieści Annie Proulx ma szeroki socjologiczny ogląd, ale i skłonność do wizualnego rozpasań. Sprawdzą się jako materiał edukacyjny i rozrywkowy.

Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI



Andri Snaer Magnason
O czasie i wodzie
tłum. Jacek Godek
Karakter, Kraków 2020

Koniec świata to wdzięczny temat literacki. W tzw. literaturze gatunkowej wyraża się on w formie apokaliptycznej, rozpisany na kataklizmy i katastrofy. Można go ująć też intymnie, czule, uważnie. Tak jak to zrobił Andri Snaer Magnason w książce tą-

czącej esej z reportażem, islandzką mitologią i poezją z rodzinną opowieścią, codzienne zgryzoty bliskich z problemami planety. Pryzmatem refleksji Magnasona są dwa żywioły: czas i woda. To przeszłość, ale i przyszłość, w której będziemy żyli w pamięci naszych dzieci i wnuków. A także topniejące islandzkie i himalajskie lodowce, coraz bardziej zakwaszone oceany. To

nasze babcie, które zdobywały lodowce, i wnuki, które być może nie zobaczą ich nigdy. Dzięki lokalnej, intymnej perspektywie „O czasie i wodzie” przemawia do wyobraźni i serca dużo sugestywniej niż popularnonaukowe opracowanie o kryzysie klimatycznym. Książka pisana empatią, czułością, miłością. Do bliskich, do Ziemi i do życia.

Rafał Piłkuła

NA EKRANACH

REWERS POD CHMURKĄ

W Józefostawiu nie ma kina. Możliwość śledzenia tego, co się dzieje w filmie artystycznym, była więc tylko jedna – DKF Rewers. Rzecz w tym, że w czasie pandemii i z niego musiano zrezygnować. Letnia aura pozwoliła jednak stworzyć bezpieczne warunki oglądania na świeżym powietrzu. Repertuar ustalili sami widzowie, którzy w specjalnej ankiecie wybierali, co chcieliby obejrzeć na ogromnym



ekranie. Wygrały komedie, bo w niespokojnych czasach kino traktujemy jako odskocznnię od problemów. Pomogą w tym Will Smith i Keira Knightley z „Ukrytego piękna” o odradzaniu się z tragedii do miłości, Włoszki Valeria Bruni Tedeschi i Micaela Ramazzotti jako przyjaciółki uciekające ze szpitala psychiatrycznego oraz Noomi Rapace i Glenn Close, czyli obsada „Siedmiu siostr”. Do końca sierpnia w Józefostawiu.

(Az)

Kolumnę przygotowała
Agata Gogolkiewicz



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Smutek wyprowadzacza psów

Powiem panu, że teraz to ja najbardziej nienawidzę tej, k... kultury.

Takie wyznanie o bladym świecie szarawy człowiek z osobistą jamniczką na skwerku poczynił wobec mojego kumpla; pogawędkę chciał tylko uciąć, a uciął boleśnie w samo sedno. Kumpel, artysta prekariusz, ostatnio jest na utrzymaniu psów, które bierze pod opiekę na czas kanikuły właścicieli.

Piesek to icebreaker co się zowie, *small talk* wyprowadzaczy to jest socjologiczny fenomen, wszelkie właśnie plemienne są wzięte w nawias trawniczka i okolic, ludzie z psami na smyczkach od razu się łączą w tria, kwartety, orkiestry smyczkowe i od wstępnego „chłopczyk czy dziewczynka” przechodzą do problemów natury uniwersalnej. Kumpel jest kontaktowy, od ludzi nie stroni, więc nasłuchuje się i nagada codziennie, nikomu dobrego słowa nie poskąpi, w pogawarki wchodzi bez rozgrzewki. Pieski lepiej się wypróżniają, jak panowie i pańce, zamiast śpiesznie ciągnąć byle wokół skwerku i do domu, zagadają się z kimś po drodze. Tym razem jednak zaniemówił; gdyby miał ogon, toby go podkulił. Odciągnął swojego zwierza, dał znać na migi, że gryzący, nietowarzystki, i poszedł w milczeniu swoją drogą.

Swoją drogą, niezwykle, jak szybko pies z pandemicznego obiektu pożądania stał się na powrót kosztownym kłopotem. Wystarczyło przywyknąć do relatywnej grozy wykresów i liczb zakażeń, wystarczyło, że rząd krzywoustami Morawieckiego powiedział, że bać się nie należy – i już nikt się nie boi, choćby nawet rekordy padały. Wszyscy teraz: na Mielno! Na Międzyzdroje! Na Krupówki! Ale bez psów, bo jak-gdzie-po co w taki tłum – chciało się mieć hybrydę zaczepno-obrońną, to teraz z nią ani rusz na wakacje, z pitbullteriermastifem zdobermanionym, no gdzie z nim na plażę, nie wolno. Hotele dla zwierząt: ach nienienie, toż to azyl, co z tego, że tymczasowy, zębaty pupil miałby traumę do końca życia, on musi zostać w domku, żeby się nie stresować. To już lepszy pan do piesków, co się kłom nie kłania, doświadczenie ma, siwi i referencje. Skądinąd siwi sobie wypracował błyskawicznie; za życia, czyli przed covidem, był artystą scenicznym, od marca na utrzymaniu żony, od maja w separacji, bo żonie skończyła się cierpliwość, musiał znaleźć nową robotę. Kiedy go pytają:

„Jak pan to robi, że się nie boi takich wielkich psów?”, odpowiada: „Boję się. Ale jestem aktorem. Potrafię im zagrać, że się nie boję”.

Bierze wszystko, także miksty psio-kocie, bo szczęśliwie nie ma alergii, bierze najchętniej z mieszkaniem, przyszedł sezon, więc przebiera w ofertach, bo pieski wyją i drapią, kiedy same w domu. Klucze ma od kilku rezydencji, sypia w tej najbardziej luksusowej; żona, niezdecydowana jeszcze na ostateczne rozstanie, zadzwoniła dopytać z troską: „Gdzie ty się w ogóle podziewasz?”, to przełączył ją na tryb wideo i oprowadził po włościach. Nie zdążył wytłumaczyć, że to tylko na chwilę, u piesków, wściekła się, bo sama została na niespłaconych 40 m, nazajutrz zdecydowała się złożyć wniosek rozwodowy.

Kumpel zatem ostatnio posmutniał z wielu powodów, ale pan, który mu szczerze i dobroduszenie wyznał,

że nienawidzi kultury, zasmutił go już do szczętu. Nie spodziewałem się, że pisowska szczujnia ma tak błyskawiczne przełożenie na lęki i pragnienia

Władza kaczystowska od początku atakowała elity kulturalne, bo swoich nie ma.

swojego ludu. Władza kaczystowska od początku atakowała elity kulturalne, bo swoich nie ma – ale teraz, kiedy w chórze nienawistników minister dziewictwa narodowego szczuje osobiście na najwybitniejszego żyjącego aktora polskiego, legendę teatru i kina, ostrzegając, że dla kaczystów nie ma świętych krów, to mnie też się włącza tryb *ad hitlerum*, choćbym nie wiem jak tego nie chciał.

Tembr wicepremiera przypomina jako żywo głos sturmbannführera, który podczas Sonderaktion Krakau ogłaszał w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego zgromadzonym podstępnie profesorom, że nie są świętymi krowami, za wrogość wobec niemieckiej nauki zostaną osadzeni w obozie. Kumpel, aktor od psów, lamentuje: – Mnie już słów brak. To znaczy cisną się na usta, jak tłumy mielneńskie i międzyzdrojskie, a jakże, cisną się określenia precyzyjne. Chciałoby się rzucić mięsem w kierunku Glińskiego, Terleckiego i Mazurek, ale się nie może, bo w przeciwieństwie do tych nikczemników reprezentuje się kulturę. Także tę, której z ich inspiracji szary człowiek teraz k... nienawidzi.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Humanoidy i przyszłość ewolucji

Dlaczego istoty pozaziemskie w fantastyce naukowej są podobne do nas?



Juan Luis Arsuaga

Zadajmy sobie pytanie: dlaczego prawie wszystkie istoty pozaziemskie pojawiające się w fantastyce naukowej są podobne do nas? Jakie formy inteligencji alternatywnej dla naszej są możliwe z biologicznego punktu widzenia na innej planecie? (...)

Jeśli chodzi o istoty pozaziemskie, Edward O. Wilson stwierdza, że istoty pozaziemskie, o ile istnieją na innych planetach istoty inteligentne, nieodczownie będą takie jak my praktycznie pod każdym kluczowym względem. (...) Przytaczam opis istot pozaziemskich sporządzony przez Wilsona, co brzmi jak fantastyka naukowa.

Istoty pozaziemskie są zasadniczo lądowe, nie wodne, ponieważ w końcowej fazie ewolucji, w drodze ku inteligencji i cywilizacji, muszą umieć panować nad ogniem lub innym źródłem łatwej do przeniesienia energii, aby rozwinąć technologię, wyjść poza etapy początkowe (kolejny raz jako czynnik nieodzowny wskazuje się opanowanie ognia). Są zwierzętami stosunkowo dużymi. Zasadniczo posługują się wzrokiem i słuchem (należy pamiętać, że większość zwierząt lądowych posługuje się przede wszystkim zmysłami chemicznymi: węchem i smakiem). Mają głowę zróżnicowaną i dużą, umieszczoną na szczycie ciała, z przodu, a ciało

wydłużone o symetrii dwubocznej. Szczęki i zęby mają małe lub średnie, ponieważ są wszystkożerne i nie muszą przeżuwać twardych albo włóknistych pokarmów, by je przyswoić.

Nie mają wielkich kłów ani rogów (to uwaga dla pisarzy fantastyki naukowej, rysowników komiksów i reżyserów), ponieważ broń ta służy do obrony przed drapieżnikami i do walki pomiędzy członkami danego gatunku, a istoty pozaziemskie nie walczą ze sobą fizycznie w swoich rozwiniętych społeczeństwach. Posiadają bardzo wysoki stopień inteligencji społecznej. Mają niewielką liczbę przydatków ruchowych, stabilnie podtrzymywanych przez wewnętrzny szkielet (jak nasze kości) lub przez szkielet zewnętrzny (jak u stawonogów). (...) Są ponadto istotami moralnymi.

To ostatnie jest zabezpieczeniem na wypadek, gdyby nas odwiedzili, ale E.O. Wilson, choć wierzy w ich istnienie (jak twierdzi, na podstawie wyliczeń prawdopodobieństwa), nie spodziewa się, że kiedykolwiek przybędą na Ziemię. Powodem jest mikrobiota, masa symbiotycznych mikroorganizmów (złożona przede wszystkim z bakterii jelitowych), którą noszą w sobie wszystkie zwierzęta i my, ludzie. Mikrobiota uważana jest dziś przez medycynę za narząd ludzkiego ciała, ważący mniej więcej 3 kg, a jego dobry stan ma kluczowe znaczenie dla zdrowia. Wilson zakłada, że istoty pozaziemskie również po-

siadałyby swoją mikrobiotę, złożoną z mikroorganizmów, które są w stanie przeżyć tylko na planecie pochodzenia. Z wyjątkiem sytuacji eliminacji całego istniejącego życia i zastąpienia go swoją biosferą kolonizacja nowych światów przez istoty pozaziemskie nie jest możliwa, uważa Wilson. Dotyczy to, dodaje, ewolucji wyłącznie biologicznej, ponieważ istoty pozaziemskie mogły zmodyfikować siebie same w znacznym stopniu za pomocą inżynierii genetycznej, jeśli posiadały odpowiednią technologię, i obdarzyć się nową naturą. Ale Wilson nie sądzi, by to zrobili. Nie spodziewa się również, by coś podobnego wydarzyło się z człowiekiem, poza czysto medycznym zastosowaniem naszej niedawno nabytej umiejętności ingerowania w geny. Gatunek ludzki pozostanie niezmieniony, ale prawie nieśmiertelny, twierdzi.

Niewielu ludzi o tym wie, ale znacznie wcześniej od Wilsona, w 1959 r., świetny amerykański antropolog William Howells zadał już sobie pytanie, jak mogą wyglądać istoty pozaziemskie. W tym eksperymencie myślowym szukał odpowiedzi na pytanie, czy było nieuniknione, by ewolucja wykształciła istoty takie jak my tutaj, na Ziemi. Howells był pewien, że w Kosmosie żyją inni ludzie, gdy wziąć pod uwagę olbrzymią ilość światów podobnych do naszego, których istnienie astronomowie tamtej epoki podejrzewali

we Wszechświecie w takim mnóstwie galaktyk, jakie jest, choćby szanse na utworzenie się przy gwiazdzie planety o cechach zbliżonych do Ziemi były bardzo niskie.

Należy wyjść od zera, bez założeń, wskazywał Howells w swoim eksperymencie myślowym, zakładając jedynie to, że oni są inteligentni, co oznacza, że są ludzcy, a więc mają kulturę, przekazują sobie idee i współpracują. Na podstawie tych założeń doszedł do wniosku, że istoty pozaziemskie nie różniłyby się od nas zbyt wiele w kwestii układów organizmu i że miałyby głowę, w której znajdowałby się otwór gębowy i narządy zmysłów, a poza tym mózg, z pewnością bardzo rozwinięty. Ten ostatni jest niezbędny do tego, by zachowanie nie było sztywne i instynktowne (zaprogramowane), jak u owadów, ale elastyczne i oparte na zdolności uczenia się (to znaczy zaprogramowane na uczenie się). Możliwie, że postrzegałyby świat niezupełnie tak jak my, że widziałyby rzeczy, które my czujemy, a czułyby to, co my widzimy, mówi Howells.

Sądzi również, że możliwe, iż dzieliłyby się na dwie płci (trzy lub większa liczba są możliwe, ale mało praktyczne, dość trudne jest znaleźć jednego partnera). Nie wyobraża sobie, żeby kosmici byli bardzo wielcy albo bardzo mali. W tym drugim przypadku mózg byłby niewystarczających rozmiarów, a w pierwszym

byłyby zwierzętami czworonożnymi, zamiast mieć sześć nóg, jak owady. Mając zaledwie cztery kończyny i potrzebując dłoni uwolnionych od udziału w poruszaniu się, aby rozwijać technologię, zostaliśmy zmuszeni do postawy dwunożnej, co nie wydaje mu się zaletą, ale jedynym możliwym rozwiązaniem. Gdybyśmy mieli cztery nogi w miejsce dwóch, moglibyśmy być więksi, na przykład jak koń. Bylibyśmy centaurami.

Inteligencja to ważny temat w ewolucji. Jest bardzo rozwinięta u delfinów, morświnów, słoni i niektórych ptaków.

Jak wszyscy, którzy spekulowali na ten temat, Howells nie wierzy, że w morzu mogłaby powstać cywilizacja: „Woda jest środowiskiem znacznie mniej obiecującym dla tworzenia i komunikacji, choć być może nie są one wykluczone”. (...) Obecnie wiemy, że walenie doskonale porozumiewają się akustycznie, w dodatku z wielkich odległości, więc argument ten wydaje mi się już nieaktualny. (...)

Zróbmy przegląd klasyków fantastyki naukowej w literaturze, kinie czy komiksie i zobaczymy, jakie rozwiązania problemu proponują. (...) O ile wiem, nie istnieje obcy, który zniósłby poważną analizę biologiczną, z wyjątkiem humanoidów takich jak te, które pojawiają się w sadze „Star Trek” (one zawsze wydają nam się tym, czym są: przebranymi ludźmi).

przodków, o których mówi się, że były dwunożne, ale bardzo niezdarne. Może tak rzadko poruszały się po lądzie, były przede wszystkim nadrzewne, że to niedoskonałe poruszanie się na nogach w zupełności im wystarczało w tych krótkich chwilach, gdy schodziły na ląd.

Około 7 mln lat temu, szmat drogi od Afryki, na terenach dzisiejszej Toskanii i Sardynii (stanowiących wtedy zespół wysp Morza Śród-

ziemnego), żyły oreopiteki, naczelnice bardzo daleko spokrewnione z ludźmi, szympanсами, gorylami, orangutanami i gibonami (z tej samej grupy, z nadrodziny człowiekowatych). Podobnie jak ardipiteki prowadziły nadrzewny tryb życia, ale niektóre elementy szkieletu wskazują, że gdy schodziły na ziemię, zapewne rzadko, poruszały się na dwóch nogach – choć w sposób bardzo nieporadny w porównaniu z australopitekami czy ludźmi. Na wyspach tokańskich nie było drapieżników zagrażających im, gdy schodziły z drzew, dzięki czemu łatwiej im było w ten sposób, choć niezadarny, rozwiązać problem poruszania się na lądzie.

Inteligencja to z pewnością ogromnie ważny temat w odniesieniu do naszej ewolucji. Jest bardzo rozwinięta u waleni zębowców (*odontoceti*), takich jak delfiny i morświny, i u słoni. Inteligentne są również niektóre ptaki, zwłaszcza krukowate, które w dodatku wykazują zaskakujące zdolności posługiwania się narzędziami, szczególnie kruki z Nowej Kaledonii. Jednak na tej podstawie nikt nie próbuje argumentować, że kruk mógłby przekształcić się w gatunek cywilizowany, taki jak nasz. Nie. Oznacza to jedynie, że znalezienie jednego z wierzchołków inteligencji w hiperprzestrzeni projektu mózgowego nie jest czymś wyjątkowym, ale nieuniknionym u zwierząt ciepłokrwistych. (...)

Niektóre ptaki, zwłaszcza kruki z Nowej Kaledonii, wykazują zaskakujące zdolności posługiwania się narzędziami.

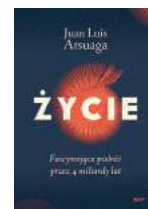
kończyny podtrzymujące ciało musiałyby się stać bardzo masywne, jak u słoni (żyrafy mają szczupłe nogi, ale ważą o wiele mniej). Z pewnością mieliby dłonie z palcami (co najmniej pięcioma), ale niekoniecznie musieliby być dwunożni.

Howells sądzi, że nic nie stoi na przeszkodzie, żeby mieli sześć kończyn – dwie górne z dłońmi zakończonymi palcami umożliwiającymi manipulowanie przedmiotami. Tak mogłoby być i z nami (ale wtedy człekokształtne wyglądałyby inaczej), gdyby nasi wodni przodkowie posiadali trzy pary płetw brzusznych zamiast dwóch (piersiowych i miednicowych). Dlatego pierwsze lądowe kręgowce (od których pochodzimy)

Jest jednak tak, że na tej planecie nie ma, ani nie było, żadnych innych humanoidów oprócz naszej linii. (...) Nikt poza nami nie zajmuje naszej niszy ekologicznej. Nie ma żadnego kangura, ptaka czy jaszczurki, które byłyby do nas podobne. Czy należy wnioskować zatem, że nasze pojawienie się było bardzo mało prawdopodobne? (...)

Nasza dwunożna postawa jest rzeczywiście wyjątkowa wśród ssaków łozyskowych, a przypadek ptaków i kangurów nie jest zupełnie tym samym. Jednak postawa dwunożna mogła się pojawić wśród naczelników więcej niż jeden raz. Widzieliśmy już przypadek ardipitek, prawdopodobnie naszych bezpośrednich

Fragmenty książki
Juana Luisa Arsuagi
**Życie. Fascynująca podróż
przez 4 miliardy lat,**
tłum. Ewa Ratajczyk,
Znak, Kraków 2020



Marcin Szumowski

Zombie osa i groźne szerszenie

Szerszenie lubią zajmować budki dla ptaków. Jeśli tylko mogą, budują w nich gniazda

Obudziłem się z lekkim bólem głowy. Spojrzałem za okno. Pogoda nie zachęcała do wyjścia na zewnątrz. Duża kałuża na chodniku przed leśniczówką świadczyła, że padało co najmniej od wczesnego ranka. Ciężkie stalowe chmury powoli przetaczały się po niebie. (...) Nie było jednak czasu na leniuchowanie. Miałem sporo planów, które mimo niesprzyjającej aury zamierzałem zrealizować. Najpierw trzeba było uporządkować notatki. Przez kilka dni pobytu u Kazia zebrało się ich sporo. Zajęło mi to prawie godzinę. Później przyszedł czas na śniadanie. (...) Gdy czyściłem talerz kromką chleba, do domku zajrzał leśniczy Kazek Nóżka.

– Chodź do leśniczówki na dobrą kawę, bo mi tu zmarzniesz w tę pieruńską pogodę – rzucił już od wejścia. (...)

Weszliśmy do biura. Ogień palił się w kominku. Było ciepło i przytulnie. Kazek podał kawę po baligrodzku, czyli czarną jak smołę ciecz w wysokich szklankach. Na stole leżał talerz z czterema pączkami.

– W taką pogodę tylko cukier może poprawić humor. – Kazek uśmiechnął się pod wąsem. Usiedliśmy przy małym stoliku i popijając kawę, oglądaliśmy filmy oraz zdjęcia, które leśniczy nakręcił latem. Oj, było tego sporo. Nagle zatrzymał się przy jednym filmie. Na ekranie komputera widać było gniazdo szerszeni.

– Z tymi owadami miałem dość przykrą historię. – Leśniczy wypił tyk kawy. – Było to dwa lata temu, chyba pod koniec czerwca, jeśli dobrze pamiętam. Wracałem z lasu jednym ze szlaków zrywkowych. Nagle ciągnik, który jechał przede mną, zawadził przyczepą o spróchniałą olszę, w której – jak się okazało – miały gniazdo szerszenie. I się zaczęło. Przypuściły na mnie tak błyskawiczny atak, że nie mogłem się w żaden sposób obronić. Choć osłoniłem się bluzą, dostałem przez nią cztery użądlenia w głowę i dwa w rękę. Wszystko w ciągu zaledwie minuty. Po krótkiej szamotaninie udało mi się jakoś

zrzucić z siebie te owady i wskoczyłem do ciągnika. A one za mną. Walily w szyby jak oszalałe. Coś niewiarygodnego! Nigdy wcześniej nie doświadczyłem takiego ataku i nie wiedziałem, że te owady mogą być tak niebezpieczne. Uspokoiłem się dopiero, gdy odjechaliśmy kilkaset metrów. Wtedy z kolei pojawił się piekielny, rozrywający czaszkę ból głowy. Widocznie jad zaczął działać. Najgorszemu wrogowi nie życzę tego, co ja przeżyłem tamtego dnia.



Szerszenie są zmorą pszczelarzy. Gdy zlokalizują pszczelą rodzinę, zabijają robotnice.

Boleć mnie przestało dopiero wieczorem. Na szczęście udało się bez pomocy lekarzy i szpitala. Od tamtej pory obchodzę szerszenie szerokim łukiem. I każdemu też to radzę. – Kazek ugryzł pączka i popił kawą.

Ta historia przypomniła mi lata mojego dzieciństwa. Jako młody chłopak byłem harcerzem. Moja drużyna latem obozowała nad jeziorem Olszanowo. Harcerz, jak wiadomo, zdobywa sprawności. Jedną z nich było zbudowanie szałasów i spędzenie w nim nocy. Wraz z całym zastępem wybraliśmy się na poszukiwanie dobrego miejsca. Szałasy zbudowaliśmy

nad strumieniem, który płynął między starymi potężnymi dębami. Gdy nasza budowa była prawie na ukończeniu, kilkanaście metrów od nas, w brzozie zauważyłem sporych rozmiarów dziuplę. Była na wysokości dwóch metrów. Co chwila wlatywały do niej i wylatywały szerszenie, a przed wejściem wartę pełniła dwójka strażników.

Sprawdzanie tych, co chcieli wejść do środka, polegało na szczegółowym przeszukiwaniu gościa czułkami. Wyglądało na to, że wewnątrz zamieszkała potężna szerszenia rodzina. Bardzo się wystraszyliśmy, byliśmy nawet skłonni przenieść nasz szałas w inny rejon lasu. Po alarmie, który podnieśliśmy, przyjechał komendant obozu i zdecydował, że możemy zostać, ale zakazał nam podchodzić w rejon gniazda, żeby nie denerwować owadów. Oczywiście nic nikomu się nie stało, spokojnie przespaliśmy noc, pamiętam jednak, z jakim strachem wychodziłem rano po wodę do strumienia. W oddali widoczna była owa brzoza i dwóch szerszenich strażników. Od tamtej pory – podobnie jak Kazek – czuję respekt przed tymi owadami, choć nigdy żaden z nich mnie nie użądlił.

Szerszenie lubią zajmować budki dla ptaków. Jeśli tylko mogą, budują w nich swoje gniazda, a wtedy takie ptasie domki wypadają z sezonu lęgowego. Żaden ptak tam przecież nie wejdzie. Podobną sytuację miałem w ogrodzie. W kwietniu zauważyłem, że obok budki dla sikorek kręci się szerszeń. Po krótkiej obserwacji zdecydowałem się działać. Ponieważ owad był tylko jeden – zapewne królowa, która próbowała założyć gniazdo – pod jej nieobecność



otworzyłem domek. Miałem nosa, wewnątrz już były zbudowane początki gniazda.

Postanowiłem zdjąć budkę i schować ją na jakiś czas. Po pół godzinie szerszeń wrócił. Zdezorientowany krążył wokół świerku, na którym niedawno wisiał drewniany domek. Obserwowałem go przy tym drzewie jeszcze następnego dnia. Potem odleciał, a ja oczyściłem budkę i ponownie ją powiesiłem. Niedługo potem zdomowały się w niej bogatki i wyprowadziły całe stadko przeuroczych sikorzątek. Tym razem zdążyłem i przechrzyłem szerszenia. Gdybym nie zauważył tych prób budowy gniazda, za parę tygodni miałbym kilkadziesiąt szerszeni za sąsiadów i poważny problem. I tak jednak gdzieś w pobliżu zbudowały gniazdo, bo przylatywały potem na jabłonkę i strasznie obgryzały mi jabłka. Większość z nich nie nadawała się do zjedzenia, tak były „oskubane”.

Te owady są też zmorą pszczelarzy. Już jeden potrafi narobić w ulu niezłego rabanu. Gdy szerszenie zlokalizują pszczelą rodzinę, wdzierają się do środka i zabijają robotnice, po czym porywają pszczele larwy, którymi z kolei żywią swój czerw. Ponieważ szerszenie mają

Z osy zombie wyrasta grzyb, który nią steruje.

mocny chitynowy pancerz, bezpośredni atak z użyciem żądeł nie wchodzi w grę. Mądre pszczoły opracowały zatem ciekawy sposób na załatwienie intruza. Można go określić „kupą mości panowie”. Gdy szerszeń wdrze się do ula, pszczoły go otaczają i tworzą wokół niego coś w rodzaju szczelnej kuli. Temperatura w jej wnętrzu sięga ponad 40 st. i intruz zwyczajnie się gotuje. Żaden szerszeń nie jest w stanie przeżyć takiej obrony.

Jeśli jednak ul zaatakują kilka lub kilkanaście szerszeni, los pszczoł jest przesądzony. Intruzi mordują całą pszczelą rodzinę i niczym zdobywcy warownego zamku ogołacają go ze wszystkiego, co nadaje się do spożycia.

Równie zajadłe w obronie swojego gniazda jak szerszenie potrafią być zwykłe osy. Kiedyś podczas spaceru z psem miałem dość przykre spotkanie z tymi małymi, kąśliwymi owadami. Abra, bokserka, brykała sobie nad oczkiem wodnym. W pewnym momencie wbiegła w gęste krzaki i zniknęła mi z oczu. Chwilę

później usłyszałem z nich rozpaczliwe skomlenie. Gdy dobiegłem na miejsce, zobaczyłem psa szamoczącego się w walce z niewidzialnym wrogiem. Podskakiwała, kłapała zębami w powietrzu, obracała się wokół, tarzała i wciąż piszcziała. Nie wyglądało to dobrze, tym bardziej że zachowanie psa było coraz bardziej szalone. Kilkanaście os siedzących na ciele Abry nie zostawiało wątpliwości, kto jest atakowanym, a kto atakującym. Zacząłem odganiać wściekle atakujące owady kurtką, chwyciłem psa za obroź i natychmiast wybiegliśmy z zarośli.

Chwilę później musiałem zdejmować z niej kolejne osy, które zdążyły się wczepić w sierść podczas naszej ucieczki. W sumie naliczyłem 11 owadów i tyleż użądleń. Pies ledwo stał na łapach. Na szczęście miałem niedaleko zaparkowane auto i w miarę szybko dotarliśmy do znajomego weterynarza. Odpowiednie leki zażegnały niebezpieczeństwo wstrząsu. Okazało się, że osy zdomowały się w norze nornicy. Później, gdy już sam przeszedłem się w tamto miejsce, zaobserwowałem tor ich lotu. Wychodził z nory i prowadził między krzakami w stronę oczka wodnego. Nora była nienaruszona, co więc spowodowało tak agresywny atak os, do dziś nie mam pojęcia.

Gdy skończyliśmy historię o żądłacych owadach, Kazek zaczął wyświetlać kolejne filmy, a ja zajadałem się paczkami. Deszcz bębnił w dach leśniczówki, a my w naszym wirtualnym świecie mieliśmy ciepłe wakacje. (...) Kazek zatrzymał się w pewnej chwili nad jednym ze zdjęć, które właśnie przeglądał.

– A to widziałeś? – Zmarszczył brwi, podkreślając wagę znaleziska.

Spojrzałem na fotografię. Była dziwna. Bardzo dziwna. Właściwie widziałem coś takiego pierwszy raz w życiu. Przedstawiała osę leżącą na uschłym liście. Z jej głowy wyrastał... grzyb. Z początku myślałem, że coś mi się przywidziało, albo że to pułapka, którą zastawił na mnie Kazek. Serio, nie dowierzałem temu, co miałem przed oczami. Spojrzałem jeszcze raz na fotografię. Tak. Z głowy osy wychodził regularny owocnik grzyba.

– Boże, co to jest? Jakaś chimera? Strasznie to, Kaziu, wygląda... – Skrzywiłem się.

– Zombie osa. – Kazek puścił oko.
 – Zombie osa? – powtórzyłem prawie automatycznie.
 – Tak. Ten grzyb ją zabija i nią steruje – Kazek mówił coraz bardziej tajemnicze rzeczy, a ja robiłem coraz większe oczy. – Scelina ją znalazł, zadzwonił do niego, niech ci opowie szczegóły, bo ja coś mogę pomieszać. – Leśniczy zabrał jakieś dokumenty z biurka i na chwilę wyszedł z leśniczówki, a ja chwyciłem za słuchawkę.
 Marcin Scelina od razu wiedział, o co chodzi. Zdjęcie, które zrobił przed własnym domem, stało się

niezwykle popularne. Po zamieszczeniu go na profilu nadleśnictwa szybko zostało podchwycone przez internautów i poszło w świat, bo i sytuacja, którą Scelina uwiecznił, nie była zwyczajna. Fotografia przedstawiała osę zabita przez maczużnika należącego do rodziny *Cordycipitaceae*, tzw. grzybów entomopatogenicznych

Równie zajadłe w obronie swojego gniazda jak szerszenie potrafią być zwykłe osy.

– Wnikają do wnętrza owada lub innego bezkręgowca i całkowicie przejmują metabolizm. Rzeczywiście można to porównać do funkcjonowania zombie. Grzyby rozwijają się kosztem organów wewnętrznych i przejmują kontrolę nad zainfekowanymi owadami – tłumaczył mi Marcin. – Może to dziwnie zabrzmieć, ale owad wykonuje dokładnie to, czego chce grzyb. W ostatecznej fazie zainfekowana osa czy mrówka wchodzi na eksponowane miejsce, mocno chwyta się liścia lub gałęzi i wtedy grzyb ją zabija. A właściwie wychodzi z ciała, bo zabił ją już wcześniej. Wówczas owocnik, który wyrasta z ciała ofiary, ma szansę rozsypać zarodniki. Niedługo potem połyka je kolejny owad, zaraża się i cały cykl zaczyna się od nowa. Trzeba mieć dużo szczęścia, żeby trafić na ofiarę maczużnika, bo grzyb się szybko rozrasta i zasłania swoją tkanką ciało żywiciela. Poza tym ofiary sterowane biologią grzyba zazwyczaj chowają się w miejscach mało widocznych i trudno dostępnych. Wiele czasu spędzam na podglądaniu owadów i kwiatów, a podobnego grzyba widziałem tylko dwa razy w życiu. Raz wyrastającego z muchy i później z konika polnego – opowiadał mi przez telefon Scelina.

W Azji od setek lat medycyna ludowa na różne sposoby wykorzystuje właściwości występującego tam maczużnika chińskiego. Chińscy naukowcy przeprowadzili badania, które potwierdzają korzystny wpływ tych grzybów na układy immunologiczny, oddechowy i krwionośny. Za najważniejsze funkcje uznaje się działanie immunostymulujące i przeciwnowotworowe. Za wszystko ma odpowiadać kordycepin – związek o właściwościach leczniczych, który można pozyskać z grzyba. Nad Wisłą też można spotkać naszego rodzimego maczużnika, ale nie jest aż tak powszechny, dlatego zdjęcie osy z grzybem wyrastającym z głowy można traktować w kategorii biologicznego rarytasu. (...)

Fragmenty książki
 Marcina Szumowskiego
Wilczy gang i nowe historie
 Kazimierza Nózki,
 Oficyna 4eM,
 Warszawa 2020



Doktryna Trumpa i brukselki

Zgadnijcie, drogie panie i drodzy panowie, co w ostatnich dniach wywołało największe zgorzelenie w środowiskach ludzi MSZ? Deklaracja ministra Czaputowicza, że odchodzi? Owszem, jest ona gorsząca, bo jeżeli przebudowa rządu ma się dokonać na przełomie września i października, to przez najbliższe dwa miesiące MSZ będzie *de facto* bez szefa. Na pewno więc deklaracja Czaputowicza była niemądra. Ale przebiły ją inne słowa – że przyszły szef MSZ nie może być postacią wyrazistą, bo wszystko już jest podzielone. Polityką europejską zajmuje się Kancelaria Prezesa Rady Ministrów, a polityką transatlantycką – Kancelaria Prezydenta, to jego domena. Dla MSZ nie ma już więc miejsca.

Halo! Naprawdę dla MSZ nie ma już miejsca? To nasza polityka zagraniczna kończy się na dwóch kierunkach? Reszta jest bez znaczenia?

Te słowa wprowadziły sporą grupę ludzi MSZ w stan ostupienia. Taka deklaracja jasno określa, że Polska *de facto* rezygnuje z polityki zagranicznej, że cofamy się do lat 50. XX w. Bo ograniczamy starania do dwóch spraw: do Unii Europejskiej, czyli do „wyciskania brukselki” (a będzie to coraz trudniejsze), i do nadskakiwania USA. Czyli do samowasalizacji. Co zresztą ciekawe, 4 listopada będą w Stanach Zjednoczonych wybory prezydenckie. Czy w takim razie prezydent Duda jest przygotowany na to, że wygra je Joe Biden? I jak sobie wyobraża współpracę z demokratami? Czy już wie, jak oni mogą go potraktować? A on z kolei – czy też będzie tak nadskakujący jak wobec Trumpa?

Może więc się okazać, że te dwa główne cele polskiej polityki zagranicznej lada moment się rozsypią. Że Unia zdecydowanie powiąże sprawy przestrzegania zasad europejskich z finansowaniem. W tym kierunku przez coraz więcej państw unijnych, warto zwrócić uwagę na

ostatnią wypowiedź francuskiego ministra ds. europejskich Clémenta Beaune’a, który na łamach brytyjskiego „Financial Timesa” oświadczył, że „nie można oczekiwać solidarności finansowej w Europie, nie przejmując się poszanowaniem podstawowych zasad demokracji, wolności mediów i równych praw”. Beaune określa też działania Polski i Węgier jako „bezcenną próbę” dalszego naruszania praworządności.

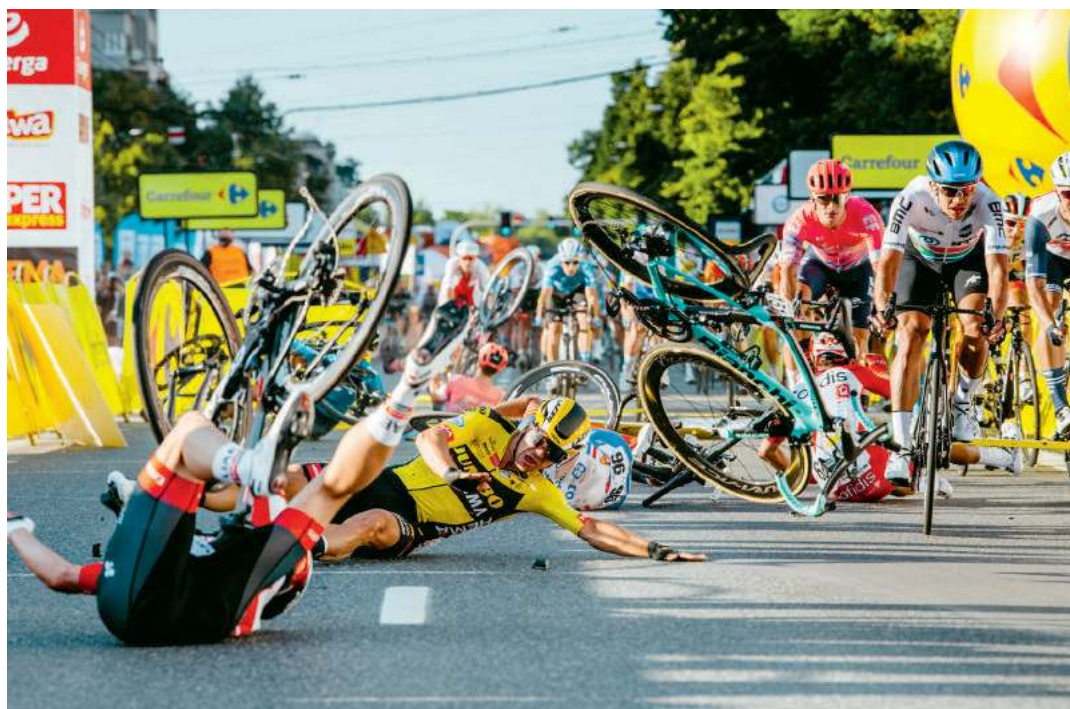
No, zdaje się, że czas przemykania oczu przez Unię minął. Skończyć się może też czas Trumpa. A demokraci i Biden będą mieli zupełnie inną politykę wobec Europy oraz wobec Polski.

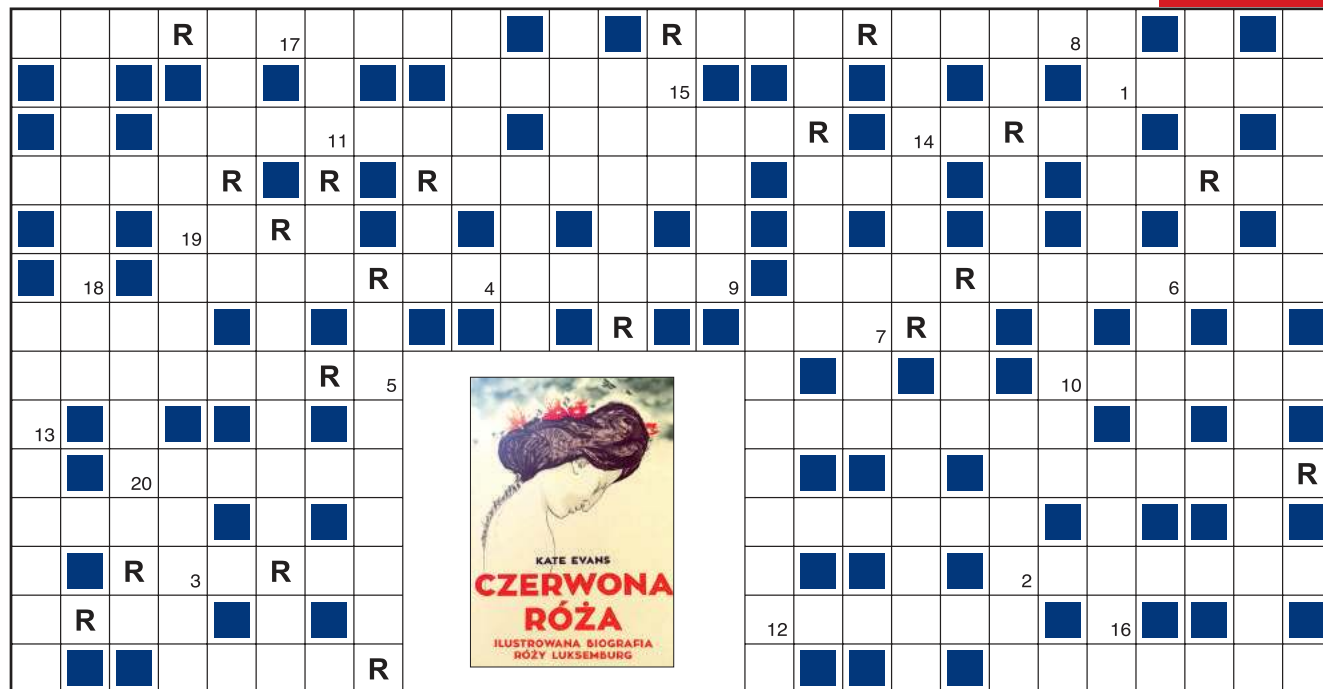
Widzimy więc, że takie zdefiniowanie polityki zagranicznej – Unia i USA – to bardziej zamki na piasku niż solidna budowla. Takie działania robią z Polski zaścianek. Bo gdzie jest polityka wschodnia? Oczywiście wiemy, że od lat jej nie ma. Ale może warto sobie o niej przypomnieć? A Międzymorze? OK – wszyscy wiemy, i my, i ludzie PiS, że to propagandowy humbug. Wróćmy więc do spraw realnych – gdzie jest dwustronna polityka wobec Niemiec? Przez lata całe w PRL panowała niepisana zasada, że specjalistą od spraw niemieckich powinien być co najmniej wiceminister. Wiadomo, to był kluczowy kierunek polskiej dyplomacji i polskiego wywiadu. Czy dziś to się zmieniło?

W czasach PRL nasz kraj odgrywał też znaczącą rolę w organizacjach międzynarodowych, miał swoje atuty w państwach arabskich, w Indiach, w Chinach... Tę listę można ciągnąć. Polska jest państwem, któremu w ostatnich 50 latach zdarzało się parokrotnie grać na arenie międzynarodowej mocno ponad nasz stan – i bardzo to się nam opłacało. Dlaczego więc PiS chce się z tego wycofywać?

Attaché

Miało być święto kolarstwa, niestety na finiszu pierwszego etapu 77. Tour de Pologne doszło do tragicznego wypadku. Katowice, 5 sierpnia.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pół po- numerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- ile zrobisz, tyle zarobisz
- dokumentacja
- dawniej o położniku
- film Formana z Tomem Hulce'em w roli kompozytora
- „...z naszej klasy”
- z wierszykami
- Proudhon lub Bakunin
- odwaga i zapał, werwa
- córka Eris, bogini zaślepienia pchającego do zbrodni

- certyfikat wyrobu
- lekkie dreszcze, mrowienie
- buraczkowy dodatek do mięs
- nadzorował pracę w polu
- mały tradycyjnej komórki
- można go obsadzić lub zamrozić
- styl z dojrzalego i późnego średniowiecza

- bielugi – na czarny kawior
- będziemy go mieli, gdy się podzieli
- ozdoba pierwsza litera
- jak ona lubi mącić i plotkować
- z kwiatarni lub stoiska ze słodyczkami
- imię badaczki szympanśów i aktywistki
- latem grany na warszawskiej Starówce
- Etgar, izraelsko-polski poeta, prozaik
- „Umarła...” Kantora
- zwyczaj towarzyski
- La w tablicy Mendelegiewa
- pod Warszawą lub nocne

- urodził się tam Juliusz Verne
- tasienka lub galon na mundurze
- z ambrozją na ucztach bogów
- dyplomatycznie o gafie
- motyla w przekleństwie
- dyplomatyczny naszego Atlaché
- Okrągłego Stołu, Sejmu
- korekcyjne albo przeciwstyczne
- bielik junior
- uczeń ją przybije lub dostanie z klasówki
- swatanie, polecenie
- fraszka Kochanowskiego czytana na dwa sposoby
- obsypuje się z żelastwa
- zatrudniona w radiu lub wydawnictwie
- idzie w kamasze
- jest nim np. pudło skrzypiec

- „...wieśniacza”, opera Mascagniego
- kłępa, locha lub lwica
- z pilotem, pasażerami i stewardesami
- na uczelni kończy się sesją
- najstarszy w rodzinie
- jego zagadkę rozwiązał Edyp
- na bungee lub o tycze
- serialowe wspańiało albo Winnych
- zniszczone, niepotrzebne przedmioty
- łamany przez kryptologa
- potocznie o kierowcy z postoju
- cieni albo lalek
- mówi zięciowi cześć
- synowie Uranosa i Gai
- grekokatolicy
- pętla ze sznura, z drutu na zwierzyńię
- zmyślone wytłumaczenie

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-973”. Do rozlosowania powieści graficzne „Czerwona Róża” ufundowane przez Wydawnictwo Ekonomiczne Heterodox. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 16 sierpnia 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-970” z 26 lipca: *Pamięć to dobry schowek.*
Nagrody otrzymują: Barbara Kursa z Chełma, Barbara Rej z Suchedniowa, Stanisław Robak z Paczkowa.

PENETRACJE

Frankfurter Allgemeine
ZEITUNG FÜR DEUTSCHLAND

MARIAN TURSKI,
WICEPREZYDENT
MIĘDZYNARODOWEGO
KOMITETU

OŚWIĘCIMSKEGO, REDAKTOR „POLITYKI”

Rzymianie mawiali: *caveant consules!* Niech ci, co dzierżą władzę, będą szczególnie czuli i wrażliwi! Pan, Panie Zuckerberg, jest jednym z potentatów władzy, tzw. czwartej władzy. Gdyby na Facebooku ktoś podzegał do zabicia mnie, Mariana Turskiego, wierzę, że Pan z pewnością uznałby to za niedopuszczalne. A ludzie dziś zaprzeczający Holocaustowi kontynuują i przenoszą do współczesnego młodego pokolenia ideologię, która spowodowała śmierć 6 mln Marianów Turskich. Dlatego apeluję do Pana, by Pan – nie przeciw demokracji, lecz dla dobrej demokracji – nie dopuszczał do zaistnienia na Facebooku tzw. *Holocaust denial*.

charaktery
magazyn psychologiczny

**PROF. TOMASZ
MARUSZEWSKI,**
PSYCHOLOG

Oglądając w telewizji czy internecie te same twarze, klepiące „przekazy dnia”, czasami od razu zasypiamy albo też odczuwamy coraz mniej przyjemną... nudę. Jedynie komunikatory internetowe dostarczają namiastki normalnych kontaktów społecznych. Mam na myśli nie tylko pracę zdalną (w moim przypadku nauczanie *online*), lecz także normalne kontakty towarzyskie. Rozpowszechniły się przyjęcia *online*, kiedy to razem można zająć się ciastem, pić kawę i wino. Niektórzy grają w klasyczne gry planszowe. Jednak

to wszystko jest mniej satysfakcjonujące niż spotkania w realu. Wypowiedzi innych docierają do nas z pewnym opóźnieniem. Nasze mózgi przyzwyczyły się do szybkiej wymiany informacji w kontaktach bezpośrednich, a podczas kontaktów za pośrednictwem internetu muszą działać niejako w zwolnionym rytmie.

PANI **TOMASZ SEKIELSKI,**
DZIENNIKARZ

Świadomość społeczna się zmienia i dziś film o Janie Pawle II może wydawać się szaleństwem, ale może za rok – bo wtedy planujemy premierę – będzie inaczej. Chciałbym, żebyśmy wywołali rzeczową dyskusję o tym, co papież wiedział i czego nie wiedział, co zrobił, a czego nie zrobił, żeby ścigać przestępców seksualnych w Kościele. Wiem, że niektórzy nie dopuszczają możliwości, że na wizerunku Jana Pawła II może być jakakolwiek skaza, ale nawet święci byli ludźmi, też popełniali błędy i grzeszyli. Z prawdą trzeba się mierzyć i dyskutować na niewygodne tematy.

STYL

JOANNA SZCZEPKOWSKA,
AKTORKA

Mam opór przed sprzedawaniem samej siebie na Facebooku i Instagramie. Odrzuciłam wiele ról w filmach, które potem zostały hitami. Nie grałam w reklamach, bo zawsze odrzucał mnie język, którego używa świat marketingu. W tym świecie ludzie kochają się w szamponach i w sosie do makaronu. Żadne pieniądze nie są warte takiej miłości.

Aby język giętki...

PROF. KRZYSZTOF SIMON
O NIENOSZENIU MASECZEK

Jeśli ktoś nie boi się wirusa, to jest idiotą.

ANDRZEJ STASIUK
O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Mistrz ludzkich małości potrafił straszyć pół narodu.

SŁAWOMIR MIZERSKI
**O PRAWORZĄDNOŚCI POWIĄZANEJ
Z FUNDUSZAMI**

Morawiecki uspokaja, że ten nie-ludzki mechanizm już Polsce nie zagraża. I zapewnia, że powrotu do praworządności w Polsce nie ma.

DOROTA MASŁOWSKA
O BEACIE KOZIDRAK

W branży, która od dawna nie wybaczła kobietom powyżej 23 lat, ona wciąż jednym ruchem ręki wyciąga z kapelusza ponadczasowe hity.

HANNA BANASZAK O SOBIE

Nie chcę być dzisiaj infantylną 60-latką, opowiadającą, że „pod bluzeczką lilaróż wciąż puka mi zakochane serduszek”.

EDWIN BENDYK O WYBORACH

Potwierdziła się katastrofa Lewicy, co jest dramatem formacji, a nie tylko jej kandydata.

ANNA AXER-FIJAŁKOWSKA
O MĘŻU GRZEGORZU JARZYNIE

To jest moje wielkie szczęście, że żyję z bardzo ciekawym, fascynującym człowiekiem, wielkim artystą. Bardzo lubię z nim pracować. Wzajemnie się napędzamy.

JAN NOWICKI
O ZAWIŚCI, GDY ZACZĄŁ PISAĆ

Wchodzi jakaś tchudra aktorska z opinią babiarza i śmie wydawać książki.

MARCIN DOROCIŃSKI
O PIERWSZYM ZAWODZIE

Jestem technikiem obsługi skrawaniem. Bardzo mnie rajcuje ciężarówka i stare amerykańskie samochody.

DOROTA SUMIŃSKA
**O PIERWSZYM WYPOWIEDZIANYM
SŁOWIE**

Waż. Waż. Bo mój tata, weterynarz, straszył wężem czy żmiją rodzinę w czasie przyjęć.



Niech żyje zakrzywo-przysiężenie! Klaudia Jachira w Sejmie podczas zaprzysiężenia prezydenta Andrzeja Dudy na drugą kadencję.

FOT. PIOTR MOŁĘCKI/EAST NEWS

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Knajpa pod napięciem

W jednym z pubów w angielskiej Kornwalii utrzymywanie dystansu społecznego wymusza pastuch elektryczny, czyli linka pod napięciem wokół kontuaru. – Klienci zmieniają się pod wpływem alkoholu. Dzięki ogrodzeniu zachowują się jak owieczki – chwali rozwiązanie Johnny McFadden, właściciel Star Inn w St Just. To jego odpowiedź na zachowanie baranów, którzy nie przestrzegali minimalnego odstępów lub nie stosowali się do limitu osób w lokalu. Może wreszcie do nich dotrze, że takie zachowanie jest be(e...).

Bo pieniądze to nie wszystko

Kibic Borussia Mönchengladbach, drużyny piłkarskiej z Nadrenii Północnej-Westfalii, wolał odpaść z teletur-nieju, niż przyznać, że lokalny rywal jego klubu, 1. FC Köln, wygrał ligę. W kwizie zorganizowanym przez te-lewizję ARD za każdą prawidłową odpowiedź zdobywa się 500 euro, błąd lub brak reakcji oznacza koniec gry. Gdy wspomniany uczestnik usłyszał pytanie, która z drużyn zajęła pierwsze miejsce w 2. Bundeslidze w sezo-nie 2018/2019, powiedział tylko, że „nie przejdzie mu to przez gardło”. Postawa mężczyzny została dostrzeżona przez jego ukochany klub, który chce nagrodzić miłość tak wielką, że aż odbiera mowę.

Spółta działa

O tym, że są rzeczy cenniejsze niż stan konta, zaświadczył swoją postawą także Tom Cook z Wisconsin. W 1992 r. on i jego przyjaciel Joe Feeney zawarli uroczysty pakt, przy-pieczętowany uściskiem dłoni, że jeśli któryś wygra na



loterii Powerball, podzielią się nagrodą. Kiedy po niemal trzech dekadach do Cooka uśmiechnęło się szczęście, jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobił, był telefon do dru-ha z przypomnieniem o umowie. Każdy z panów zabierze do domu ok. 5,7 mln dol., a pytani o plany informują, że będą spędzać jak najwięcej czasu ze swoimi rodzinami. Dla siebie nawzajem, coś nam mówi, też go znajdą!

Bierzcie i jedzcie (od przyszłego roku)

Przedsiębiorstwo nasienne z obwodu astrachańskiego ogłosiło, że wyhodowało arbuza z białym mięszem o smaku wanilii. To pierwszy w Rosji jadalny biały kawon – podkreśla firma, zachwalając jednocześnie jego smak. Dumny szef biznesu Artem Sokołow zapowiedział starania o uzyskanie odmiany z mięszem zielonym, a przy okazji przypomniat, że jego ojciec Siergiej wyhodował arbuzy pomarańczowe i żółte. Nasiona białego, ponadprzeciętnie słodkiego owocu mają trafić do sprzedaży już w 2021 r.

Ale odlot!

Kina plenerowe, samochodowe, a nawet na wodzie prze-stały już budzić zdziwienie, co jednak powiecie na kino... samolotowe? Pod koniec lipca na płycie lotniska w Pile pi-loci wraz z osobami towarzyszącymi mieli okazję obejrzeć film „Kochając Pabla, nienawidząc Escobara”. Więcej na temat przedsięwzięcia Aeroklubu Ziemi Pilskiej można się dowiedzieć na facebookowym profilu Kino Samolotowe APRON ALFA Lotnisko Piła – EPPI, na którym niedawno

MEMY BEZ ŚCIEMY





A gdyby tak zatańczyć tango? Młode grizzły na brzegu jeziora Chilko w Kolumbii Brytyjskiej w Kanadzie i wiewiórki ziemne w Parku Narodowym Kgalagadi w RPA.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Beata Igelska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Piłkuła,
Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest,
Bronisław Tumiłowicz, Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski,
Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzytorzy: Magdalena Głuska,

Karina Krystosiak, Rafał Pyznar

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Katarzyna Chilecka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPLP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



odbyła się pierwsza licytacja biletów adresowana do kinomanów, którzy nie mają własnych samolotów.

Trochę chodaki, trochę kurczaki

W kilka minut wyprzedano limitowaną kolekcję chodaków z pianki, których głównymi wyróżnikami były breloczek o zapachu smażonego kurczaka oraz kolorystyka nawiązująca do drobiowych kubeków serwowanych w restauracjach sieci KFC. Nabywcy nietypowego modelu obuwia marki Crocs zrobili niezły interes, bo już teraz jego wartość kolekcjonerska jest kilkakrotnie większa niż 60 dol., jakie musieli za nie zapłacić.

Meksykańska fala z amerykańskiego komputera

Telewizja Fox Sports eksperymentuje z komputerowym dorabianiem kibiców do transmitowanych przez siebie na żywo wydarzeń sportowych. Firma SportsMedia Technology współpracująca ze stacją chce jej umożliwić nie tylko kontrolowanie poziomu wypełnienia stadionów dzięki tworzeniu realistycznych animowanych widzów, ale również symulowanie dźwięków wydawanych przez wirtualny tłum. Rozwiązanie już jest testowane podczas relacji z rozgrywek ligi bejsbolowej. Czy nieistniejący kibice z czasem zupełnie zastąpią tych z krwi i kości? Być może, pod warunkiem że zaczną kupować klubowe gadżety oraz hot dogi.





Łowy smakosza



Amor pozdrawia

patronat **PRZEGLĄDU**

Oskar Weiss **GastroComics**

O tym, że jedzenie jest najprawdziwszą sztuką, wiemy od dawna. A za sprawą utalentowanego rysownika Oskara Weissa, cieszącego się popularnością nie tylko w rodzinnej Szwajcarii i docenianego przez gremia jurorskie w całej Europie, przenosimy się do regionu kuszącego mnogością smaków, wyrafinowanych, ale i tych sprawdzonych od pokoleń, sąsiadującego z mityczną Kukanią – krainą pieczonych gołąbków. Tu – w odróżnieniu od Kukanii, gdzie czekano jedynie, by pieczone samo wpadło w usta – wszyscy

uwijają się przy pozyskiwaniu smakotyków (łowiąc je w sieci, na wędkę lub polując), gotowaniu, serwowaniu rarytasów, uprawianiu cudownych roślin, a przynajmniej przy ich spożywaniu. Wydaje się też, że bohaterowie Weissa delectują się potrawami i wcale nie jedzą nadmiernie.

Muzeum Karykatury im. Eryka Lipińskiego
Warszawa, ul. Kozia 11
do 30 sierpnia

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Szlachectwo zobowiązuje



Podwójna przyjemność



DEAUVILLE
44^e FESTIVAL DU CINÉMA AMÉRICAIN
KONKURS GŁÓWNY

KONKURS GŁÓWNY
CANNES CLASSICS
FESTIVAL DE CANNES

Telluride
Film Festival



BIOGRAFIA KOBIETY, KTÓRA ZMieniŁA HISTORIĘ X MUZY



NARRACJA JODIE FOSTER

BĄDŹ SOBĄ,

CZYLI NIEPOWIEDZIANA HISTORIA ALICE GUY - BLACHÉ

W KINACH OD 14 SIERPNIA

DYSTRYBUCJA



FUNDACJA
NICHROME
OBRAZ

• TEATR CAPITOL •



AUTOR
FRANCIS VEBER

REŻYSERIA
MARCIN SŁAWIŃSKI

PRZEKŁAD
BARBARA
GRZEGORZEWSKA



OLGA PASZKOWSKA JOANNA KORONIEWSKA DARIA WIDAWSKA MICHALINA SOSNA

WOJCIECH SOLARZ PAWEŁ KOŚLIK ŁUKASZ NOWICKI ANDRZEJ DESKUR



• KUP  •

www.teatrcapitol.pl

PREMIERA WRZESIEŃ 2020